

Gnatowski Jan

LUCIFER

*LUCIFER
GWIAZDKA W BAEDEKERZE*

*Pastele:
KTO ON
W OTCHŁAŃ*

LUCIFER

Przyszedłem przed innymi.
Stół zastawiony był w pierwszym pokoju, w którym
Zieniewicz miał nie tyle
pracownię, ile artystyczne atelier. Już się był wtedy rozszedł z
Niną i w
mieszkanu gospodarował bezkarnie malec groom, największy
z latawców i urwisów,
wraz ze starą flondrą Leokadyą, która była dawniej u Niny
jako »ciotka«, potem
jako kucharka, a w końcu pozostała po niej w spadku. To też
ogromna izba, pełna
wspaniałych makat i gobelinów, mosiężnych pajaków i
renesansowych bronzów,
przypominała w malowniczym swym nieładzie niezamiataną i
niewietrzoną knajpę.
Potężne wachlarzowe palmy po kątach żółciły się
zeschniętymi i pokrzywionymi

liśćmi, na mozaikowych stołach leżała gruba warstwa kurzu,
na perskich dywanach
walało się wczorajsze śmiecie. Zaraz przy drzwiach, po
wielkiej szczyrbie
majolikowego wazonu, poznałem ślad wprawnej ręki Józka, a
brak paru
terrakotowych figurek i talerzy z saskiej porcelany na
ściennych półkach
przekonał mnie, że śladów tych jest więcej.
Ale jeżeli w kątach, wypełnionych cieniem, znać było
opuszczenie i brak kobiecej
ręki, środek pokoju zalewała fala światła, barw, woni. Ponad

rzeźbionymi kandelabrami i bogatą zastawą sreber i
kryształów wznosiły się
piramidy storczyków, pęki hyacyntów i kamelii. Od śnieżnej
bieli adamszkowego
obrusa odbijały wieńce z róż, leśnych konwalii i fijołków,
oplatające gierydony
z owocami, kosze cukrów a nawet amfory z winem i srebrne
wanienki, w których
mroził się szampan. Ponad garściami płonących świec i
słrzelistemi łądygami
tuberoz górowała w środku stołu znana dobrze bronzowa
grupa z neapolitańskiego
Museo Nazionale: pijany Dyonizos wśród szalejących
bachantek.
To już sam on musiał urządzać...
Ale on właśnie wychodził do mnie i rękę mi podawał.
— Pogawędzimy tymczasem tutaj — wołał, wciągając mnie w
głęb. — Tamci spóźnią

się z pewnością.

Atelier i zarazem pokój gościnny Zieniewicza w tym starym,
poklasztornym gmachu
był kiedyś zapewne kapitularem: wskazywały na to jego
sześciokątny kształt i
krzyżowe sklepienie, nadające się dobrze do dekoracyi, w jaką
ją ubrał
wykwintny, choć w pomysłach swych nieraz tak dziwaczny
esteta. Drugą izbę
tworzyły dwie celki zakonne, połączone szeroką arkadą, i nic
w nich nie było z
cacek i bric-a-brac'u pierwszej. Nic, prócz dębowych szaf z
książkami i kilku
dzieł sztuki: prawdziwa pracownia myśliciela i pisarza.
Zieniewicz sam powiadał,
że tu dopiero zasługuje

na przydomek, jakiego używał w naszym gronie: w atelier
zwlekał skórę Giordana i
stawał się Erazmem z Rotterdamu.
Lubiłem nad wyraz, gdy mnie wprowadzał do tego
sanctuarium, otwierającego się
dla niewielu. Imponowała mi, przygniatając ogromem swym
ku ziemi, jego potężna
inteligencya i genialna twórczość: sugestyonował mnie i jako
pisarz i jako
człowiek. Nie mogłem przecie zapomnieć, jak za szkolnych
jeszcze lat serce mi
się tłukło pod mundurkiem, ilekroć na kartach czasopism
spotkałem świeży jeszcze

wówczas, a już pałący duszę, jak rozpieczone żelazo, podpis:
Giordano Bruno, —
jak z entuzjazmem, rozsadzającym piersi, gardłowaliśmy na
uniwersyteckich ławach
o jego sławę przeciw garstce wsteczników, napastujących
»apostatę« i »wywłokę«.
I dziś, jak wtedy, czułem, że jedno spojrzenie tych oczu,
bezdennie posepnych a
głębokich, potrafi mnie powieść na kraj świata, że za jeden
uśmiech tych ust,
nie uśmiechających się nigdy, gotówem oddać część życia.
Zieniewicz usiadł w swem wysokim, skórą obitem krześle,
podobnem do
konfesyonału, przysunął mi fotel i podał cygaro.
Siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu. — Skleciona izba o
ciemnych obiciach i
sztywnych, surowych liniach sprzętów, spowita, była w mrok:
z jednej tylko
strony podniesiona nieco nad lampą umbra otwierała wąską
szczelinę światła na
kawał ściany, wydobywając z cieniów w górze nad sza-

fami kilka bronzowych popiersi: kwadratową twarz Lutra,
ostry profil Husa i
małpi grymas Woltera. Zato w kręgu świetlnym nad Murkiem
jaśniała w całej swej
potwornej a przedziwnej piękności postać Judasza. Znany jest
wszystkim z
niezliczonych reprodukcji ten »paradoks w bronzie«, jak
któryś z krytyków nazwał

arcydzieło Grygiera, — nie wszyscy wiedzą jednak, że
obstalowując go, nietylko
pomysł, ale i dokładny rysunek tego wyidealizowanego i
uszlachetnionego Judasza-
Prometeusza dał Grygierowi sam Zieniewicz.
Postać ta z przenikającym ją wyrazem nadludzkiego cierpienia
miała dla mnie
zawsze dziwny urok. Tym razem za wzrokiem moim poszedł
Zieniewicz.

— Patrzysz na mego Judasza? — rzekł mi — tak: to może
najbardziej udane z moich
dzieł!

Chciałem coś odpowiedzieć. Przerwał mi.

— Protestujesz w imieniu moich prac literackich, a mógłbyś
dodać, że i twórcą

Judasza jest przecie Grygier, nie — ja. Otóż nie! W tem
jednym dziele Grygier
był rzemieślnikiem i narzędziem: myśl, dusza — są moje. I to
tak bardzo moje! W

całej twórczości pióra jest tylko cząstka mojej myśli: tu jestem
ja, ja cały!

Więcej: tu jest ludzkość! Tak! W tym Zdrajcy typowym, w
tym odwiecznym celu
zniewagi i nienawiści wszystkich ludzkich pokoleń, w nim jest
wcielona prastara
niewolnica, wiecznie wyrywająca się ku światłu i woli, i
wiecznie znów odrzucana
w loch i jarzmo

Psyche ludzkości, ta sama, którą filisterski świat przeklina w
Kainie, ta sama,

którą żyły silne duchy wszystkich buntowników, których
twarze otaczają nas w tej
izbie, ta sama, której wyrazem najwyższym, choć w
abstrakcyę ujętym — Szatan!
Wpiłem się weń oczyma. Zdało mi się, że rósł i promieniał
ponurymi blaskami
otchłani. Tak wyglądać musiał Lucifer, gdy wypowiadał bój
Niebiosom!
Z całego naszego grona satanistów, z dekadentyzmu i mody
on jeden w ideę
Carducciego włożył duszę. Był jej fanatykiem. Cały
dogmatyzm jego natury, na
którym klerykalne wychowanie wycisnęło niezatarte piętno,
zwracał się dziś
przeciw staremu Bogu i budował ołtarz nowemu. I ten nowy
bóg — on nie był u
Zieniewicza abstrakcją, choć go tak nazywał; on był nawet
więcej, niż
uosobieniem wyzwalającej się z pętów dogmatu ludzkości: on
był kimś żywym,
znanym, owszem, jakoby bardzo blizkim i drogim. W walce
na życie i śmierć, jaką
prowadził od lat dziesiątka z wyznawanym niegdyś przez się
dogmatem, Zieniewicz
zdawał się spełniać z namaszczeniem i entuzjazmem, czasami
nieledwie z ekstazą,
akt tajemniczego jakiegoś kultu. Nazywano go też często
arcykapłanem Lucifera.
Przez chwilę trwało milczenie. Potem on znów zaczął, idąc za
ulubioną myślą.
— Czas już doprawdy rehabilitować Spotwarzonego. Czas
uczynić zadość za
tyłowiekową

krzywdę i zdruzgotać niegodziwy przesąd, wpojony
pokoleniom przez klechów
wszystkich wyznań i czasów! Szatan nie jest złym duchem:
przeciwnie, jest on
wcieleniem dobra, światła, postępu, jest zaś nim dlatego, bo
jest wcieleniem
buntu, a w naturalnem następstwie — wolności! Przed
dziewiętnastu wiekami w
fatalnej swej pomyłce, która się stała trwającą dotychczas bez
przerwy jej
tragedyą, nieszczęsna ludzkość wymalowała sobie stracha na
dorosłe dzieci, i
dzięki temu skrzywiła się jej droga, wstrzymał postęp i
rozwój, napęłniły się
bez potrzeby trwogą i troską serca milionów, złamało się
bezowocnie szczęście
milionów. Jak struś, chowający głowę w piasku, zamknięto
oczy na niewzruszone
prawo walki o byt i koniecznej przewagi mocniejszego,
zamknięto je i na drugie
prawo, będące przeciwwagą i naprawą tamtego: na wieczne
prawo rozkoszy. Drgające
krwią i życiem ciało odziano we włosiennicę, smagano biczem
poświęcenia i
zaparcia się siebie, pokazano jako ideał — samobójstwo
zmysłów, woli, rozumu. I
po nieśmiertelnie pięknych kształtach Hellady, po wielkiej
myśli Platona i
pieśni Homera przyszło mrozące wszystko tchnienie ciemnic
katakumbowych, i w

katakumby zamieniono świat cały. I trzeba było
kilkudziesięciu zmarnowanych
pokoleń, by wreszcie nadeszła chwila ocknienia z dławiącej
tak długo zmory...
dla niewielu.

Nerwowym ruchem porwał się z krzesła i przeszedł kilka razy
po izbie, patrząc w
ziemię.

— Tak, dla niewielu, bo ogół, nietylko ogółmotłoch, ale ogół
przodującej
inteligencji idzie po staremu ubitym szlakiem: na księży
wygaduje, a dyabła się
boi, choć weń urzędowo nie wierzy. I z tych niewielu... Iluż
naprawdę, z
przekonania... Iluż rozumie Go, jak ja, iluż odczuwa Jego
walkę, Jego krzywdę,
jakby powinni...
Znów przeszedł parę razy, trawiąc się i targając myślą własną,
wreszcie stanął
przedemną i ręce mi oparł na ramionach, wlepiając we mnie
oczy, podobne do
gorejących pochodni.
Uderzyła mnie zmiana, zaszła w jego twarzy. Przed chwilą
poorana bruzdami, ze
ściągniętymi gniewnie brwiami i stalowym połyskiem w
oczach przypominała
groźnego Zeusa lub samego Archanioła, którego chwały i
praw bronił tak
namiętnie. Teraz twarz miał łagodną, obleczoną w smutek
jakiś cichy, a zarazem

promieniejącą, niby w ekstazie.

Nachylił się do mnie i mówił szeptem prawie, jakby mi chciał powierzyć tajemnicę:

— Wiesz! Kiedy tak myślę o nim, o skrzywdzonym i spotwarzonym, i kiedy widzę, że nawet dziś, w dniach bankructwa Krzyża, nie wybiła dlań godzina zadośćuczynienia i sprawiedliwości, wówczas budzi się we mnie stary człowiek, pełen wiary w zaświat i żądy jego, budzi się stare pragnienie Wyższej Istoty i chęć oparcia się o nią, i jak niegdyś przed wizerunkiem Męki, padam na kolana przed tem oknem, otwartem w noc ciemną,

i w noc tę wyciągam dłonie moje do Niego, Niewidzialnego i, ach! Nieistniejącego

wcale, i szukam Go wśród cieniów wzrokiem, myślą, sercem, i wołam doń: »Wierzę,

żeś jest! Wielbię cię i kocham! Twoim, Twoim jestem!

Przyjdź!!!«

Szerokim, hieratycznym ruchem kapłana, podczas ofiary zwracającego się do ludu,

podniósł w górę ręce i głowę i wpatrzył się w gotyckie, ciosowem obramieniem

ujęte okno. Mimo aureoli długich, srebrzejących włosów klasycznie piękny profil,

księżym jeszcze obyczajem pozbawiony zarostu, jaśniał dziwną młodością i

pociągał tajemniczym czarem. I taką jest moc
przyzwyczajenia i pamięć w
dzieciństwie słyszanych powieści, że dreszcz mnie przebiegł
nagły i idąc za jego
wzrokiem, szukałem poza oknem w mrokach nocnej ciszy,
czy mi się tam nie
zarysuje ognistymi liniami posepna postać upadłego
Archanioła.

Tymczasem jednak z poza ciężkich dębowych drzwi zaczęły
dolatywać tłumione echa
szmerów i gwarów. Widocznie zaczęli już się schodzić
goście.

Zieniewicz trwał w milczącej zadumie. Nie przerywałem mu,
wiedząc, że nie miał
zwyczaj unaginać się do ludzi i że nieraz zaproszonym kazał
na siebie długo
czekać.

I teraz odprawił stojącego we drzwiach Józka niecierpliwem
skinieniem ręki.

— Powiedz im, że kończę artykuł — rzekł.

— Uczysz go kłamstwa z miłości dla sztuki,

mistrzu... — zauważyłem z uśmiechem; — boć przecie nie
schowasz mnie i tak, i

prościej było zrzucić to na konferencję ze mną!

— Naprzód nie potrzebuję nosić sów do Aten, — odparł,
ruszając ramionami; —

powtóre, gdybym to nawet czynił w tym wypadku, byłoby to
tylko pomaganie

wrodzonym instynktom natury, czem wyrządziłbym temu
nicponiowi przysługę. Nie

uwierzysz, jak mnie bawi przyglądanie się stopniowemu
rozwojowi instynktów
bezwiednie, odruchowo przewrotnych u tego
czternastoletniego potwora! Dawniej,
gdy przestawszy wierzyć w miłosierdzie, wierzyłem jeszcze w
altruizm,
sposrzeżenia te przerażyłyby mnie: możebym próbował
zabawić się w naprawianie
zepsutej natury: — dziś... Ale dajmy pokój: wartoż myśl
zatrzymywać nad tą
ludzką gniłką? Gorzej, że inni, pozornie lepsi, mądrzy, wielcy
— oni są takimi
samymi Jóźkami...
Zrozumiałem jego myśl. Wiedziałem, że coraz bardziej od
pewnego czasu zniechęcał
się do naszego grona, które dawniej zwał tak chętnie »swoją
szkołą« i był z
niego tak dumnym, bo istotnie tworzyła je garść
najzdolniejszych i
najgłośniejszych w mieście i kraju. Wogóle zresztą znać w
nim było rosnące
szybko zniechęcenie do wszystkiego, co ludzkie.
— Ot i ci wszyscy, którzy tam się rozbijają w oczekiwaniu
wyżerki i pijatyki, —
mówił dalej, rzucając w tył głową z pogardliwym uśmiechem;
co za komplet.
Wierszwił ubiera się w swój sata-

nizm, jak w modnie skrojony frak, otwierający mu drzwi
salonów. Jest to jego

towarzyska racja bytu: bez tego czarnego przybrania
poznano się na jego
piramidalnej głupocie mimo rozgłosu jego pesymistycznych
feljetonów. Dla
Czerlańskiego jest to klucz do buduarów: kobiety przepadają
za tajemniczością
wogóle, a dla histeryczek posmak piekła jest tem samem, co
assafetida dla
zużytego podniebienia. W Grünspahnie i jego nienawiści do
chrystyanizmu tkwi
żyd: kwestya tradycyi i rasy. W Berskim znów z pod
chlamydy i anakreontowego
wieńca róż wygląda koźle kopyto starego satyra. A kobiety!
Nina przynajmniej
była Aspazją w wielkim stylu, a Irmie nie brak rozumu i
zmysłu piękna, ale te
nie przyjdą, tamte zaś! — Dwie porzuciły mężów i żyją po
kolei z członkami i
nieczłonkami naszego kółka, a Mela nie poszła zamąż, żeby
robić to samo. I to ma
się nazywać wyzwoleniem z pętów dogmatu i wiekowej
niewoli ducha! Piękne
wyzwolenie, polegające na upijaniu się koniakiem lub
szampanem i na wygadywaniu
po pijanemu bezeceństw! Fe! Mierzi mnie to wszystko! Czuje,
jak opadają mi
skrzydła, mdleje myśl i tępi się pióro. Bo i po co uganiać się
za nietoperzami
starych zabobonów, kiedy synowie światła nielepsi są od
nich? Poco wytaczać
ciężkie działa i łamać się twardym bojem, gdy na miejsce
starej warowni nie ma

się nic do postawienia? Zatrzymał się, jakby przygnieciony własną myślą.

— Tak, tak, przyjacielu,— kończył po chwili; — z Giordana Bruno strzępki tylko

zostały i coraz ich mniej. Maluczko, a nie zostanie nic.

— A Lucifer? — spytałem z uśmiechem. Zdziwiłem się wrażeniem, jakie nań wywarło to proste pytanie. Porwał się gwałtownie z krzesła i pochylił się ku mnie z

gniewnie zmarszczonem czołem.

— Bez uśmiechu, gdy o Nim mówisz! — syknął przez zaciśnięte usta. — Nie dla żartów odsłoniłem ci głęb mojej myśli! Złudzenie-li to, czy waryacya, dość, że

nią żyję, bo ona jedna dźwiga mnie ponad bezbarwną i trywialną powierzchnię

życia. Ona — i was paru, którzyście się naprawdę stali dziećmi mego ducha. Ale i

wy...

Urwał i milcząc poruszał ustami, jakby coś niedopowiedzianego żuł w sobie...

Zrozumiałem, że cały ten paroksyzm pesymizmu, choć nie rzadki, musi mieć jakąś bezpośrednią przyczynę.

Nie myliłem się..

— Patrz — rzekł po chwili, podając mi bilecik na pół rozerwany; — Parsifal nie

przyjdzie! Czytaj co pisze jego bogobojna pani!

Bilecik był nakreślony drżącetn pismem kobiecem pod wpływem widocznego

podniecenia.

»Szanowny panie! Mąż mój ustąpił moim prośbom i nie przyjdzie do Pana. Stan jego zdrowia, nie mówiąc już o nastroju umysłu, pogarsza się stale od owej nieszczęsnej chwili, w której Pan go pochwycił pod swą władzę. Duszę jego da-

wno mi Pan wydarłeś: teraz wydzierasz życie. Próbowałam odzywać się dawniej do twej litości: odpowiedziałeś mi urąganiem, powołując się na walkę o byt i radząc, bym cię starała się zwyciężyć. Dziś nie przychodzę z prośbą, ale z uprzedzeniem, że Zygmunta słabość przykuwa do domu i że go tam będę strzedz przed Panem i jego adeptami, że nie dopuszczę listów ani posłów, i ufam Bogu, któremu Pan wypowiedziałeś wojnę, że ustrzeżę, że ocale bodaj ostatnie chwile mego Zygmunta przed Wami. Marya Wrzeska«.

— Naiwność rozczulająca! — uśmiechnąłem się, składając bilecik na stole. —

Wypowiada ci wojnę, jak ty Bogu, i odsłania odrazu karty.

— Naiwność, albo pewność siebie, — odparł, chmurząc się bardziej jeszcze. — Ta

kobieta stała zawsze pomiędzy mną a Parsifalem. Trzy lata walczę z nią o duszę

męża i nieprawda, że ją wydarłem! Nie: ja ją tylko na krótko wzięłem w

dzierżawę... I podobno skończył się już mój kontrakt.

Uderzył pięścią w stół, aż zabrząknął masywny brąz Judasza.
— A przecież z was wszystkich, nie gniewaj się, ale sam
wiesz o tem, — on mi był
najdroższym i najbliższym, na nim największe budowałem
nadzieje, w nim widziałem
spadkobiercę mojej myśli! Jego idealizm, który
wyśmiewaliście, jego żądza prawdy
i ciągle rzucanie się w pogoń za tym świętym Graalem,
dalszym od nas, niż

najdalsze gwiazdy, — to właśnie chroniło go od zmysłowego
bagna, w którym tonęła
reszta, to utrzymało w nim wiarę w ludzkość, gdy i mnie już
jej zabrakło, to
było dla mnie rękojmią, że on stać będzie, gdy inni upadną. I
pomyśleć, że jedna
marna pensyonarka z Jazłowca tyle czasu umiała mi go
wydzierać, raz po raz
pieniąc mój posiew, a teraz korzysta z chwili sposobnej, by mi
go odebrać
zupełnie i przywołać do chorego... księdza!
Schwytał list Wrzeskiej, zmiął go i rzucił na ziemię. Potem
wstał i skierował
się ku drzwiom, za którymi robiło się coraz to głośniej.
— Chodźmy, — rzekł. — Menażerya głodna i zaczyna się
niecierpliwic.
Wielki ogień palił się na marmurowym kominie, czerwieniąc
językowatymi płomykami
fantastyczne skręty smoków i wieńców brązowych na kracie.
W pająkach i

kandelabrach jaśniało kilkadziesiąt świec, rozlewając po całej izbie wesele i barwę.

Goście bawili się bez gospodarza wcale dobrze. Grünspahn z Wierszwiłłem zakąsali koniak i zapijali zakąskę przy bocznym stoliku, zastawionym przysmakami. Czerlański z Melą zakopał się w kąt poza gąszcz palm i opowiadał jej coś pocichu, pochylony nad nią i dotykając twarzą jej włosów. Toto Raniecka i Emma Lubrańska, obie mocno dekolowane i w prowokujących tualetach, jedna z pieprzno-arogancką zalotnością semitki, druga z dezynwolturą wielkiej pani, degryngolującej z szy-

kiem i swobodą ruchów, przeglądały albumy i ilustracje, rozmawiając i śmiejąc się głośno, z papierosami w rękach. Przy nich stał, wpijając się oczyma w ich ramiona i dotykając ich co chwila pod pozorem naprawiania kwiatu lub koronki trzęsącemi się, zakrzywionymi w szpony palcami stary Berski, ze swą siwą bródką i mlaskającą wargą. Opodal za stołem, w ulubionej swej, wystudyowanej pozie wielkiego pana, bawiącego się »w lud«, siedział rozwalony na otomanie > Czerwony Hrabia«, od miesiąca główny akcyonaryusz i wydawca naszej »Wolnej myśli«,

socyalista i ateusz z tych samych mniej więcej powodów,
które zrobiły satanistę
z Wierszwiła.

— Witamy gospodarza, witamy!

— Czekaliśmy, myśleliśmy, że już się nie doczekamy!

— Witaj nasz Giordano!

— Evoe, Lucifer.

Powitalne okrzyki krzyżowały się i głużyły nawzajem.

Mężczyźni zbili się koło

Zieniewicza, ściskając mu ręce. Panie ciągnęły go ku sobie
spojrzeniami i

uśmiechami, pełnymi wyrazu. Mógł być sam zniechęcony do
swego kółka, którego

mniejsza część tylko zebrała się u niego w tej chwili; nie
przestał być punktem

środkowym, słońcem, około którego obracały się wszystkie
planety, tworzące to

grono.

Lekki promień rozjaśnił mu zachmurzoną twarz pod wpływem
serdecznego powitania.

— Do stołu, moi państwo — zawołał — do stołu! Życie
krótkie; nie traćmy go na

wstępne ceremonie, oddalające użycie!

— Brawo, brawo! Siadajmy' — przytwierdzono ze wszystkich
stron.

— Czy miejsca wyznaczone? — spytał Czerlański, nie
porzucający boku Meli Luft.

— Nie! Jesteśmy dziś rycerzami okrągłego stołu.

— To ja zabieram sobie mistrza! — zawołała szybko pani
Toto, wsuwając rękę pod

ramię gospodarza i ocierając się o niego z miną rozpieszczonej kotki i z palącym płomieniem swych aksamitnych, bezdennie lubieżnych oczu.
— A ja mieszczę się po drugiej stronie! — dodała Mela, chwytając za krzesło obok Zieniewicza i wskazując przy sobie miejsce Czerlańskiemu. Ale w tejże chwili Emma Lubrańska spokojnym, majestatycznym ruchem podeszła do stołu i zajęła miejsce po prawej stronie gospodarza. Raniecka cofnęła się, czerwona, szarpiąc koronki wachlarza — Impertynentka! — szepnęła przez zaciśnięte usta.
— Junona w separacyi z Jowiszem — rzucił jej z uśmiechem Berski, patrząc na podniesioną dumnie głowę Lubrańskiej.
— Junona napędzona przez Jowisza — poprawiła czarnooka pani, siadając obok niego naprzeciw Zieniewicza.

— Ale profil ma starożytniej kamei! — mruknął stary, wpatrując się w twarz przedziwnie pięknej złotowłosej kobiety, odwróconej od nich w tej chwili do sąsiada.
Roznoszono pasztety i majonezy, rozlewano maderę. Rozmowa zrobiła się ogólną. Mówiono o ostatniej sztuce, będącej clou sezonu. Panie zachwycaly się, panowie nie mieli nic do zganienia. Nie dziw: spacerowało w niej po scenie cztery gatunki widm, czarne, białe, ogniste i popielate, nie licząc gadających drzew,

głosów basowych z pod ziemi i sopranowych z obłoków.
Zdaniem ogólnym, jako
nastrój i sugestywność Maeterlinck wyprzedzony był przez
tych najmłodszych o sto
kilometrów, Wyspiański robił w porównaniu z nimi wrażenie
realistyczne i terre-
a-terre, a Przybyszewski grzeszył nadmiarem moralności i
salonowych parawanów.
— Ależ wszyscy oni są vieux jeu! — oburzała się pani Toto.
Wierszwiłł jednak nie dał sobie nic mówić o Przybyszewskim.
Rzucajcie kogo
chcecie do kosza starych rupieci, byle nie Przybyszewskiego!
Przybyszewski był
podług niego »seraficzny«, a opisy miały barwę perłową.
— A ty sam jesteś spóźnionym o dziesiątek lat impresjonistą
— rzucił mu
Grünspahn.
— Takim już umrę — odparł sentencyjonalnie Wierszwiłł i
pełnym melancholii ruchem
wychylił kieliszek Sauterne'u.

Ale Grünspahn zaczynał już swą zwyczajną filipikę przeciw
modernizmowi. Był to
umysł jasny i trzeźwy, więc nie mógł się pogodzić z
dziwactwami kierunku, a
przeczuwając jego niedalekie bankructwo, widział swój
interes w wypowiedaniu
szczerze zdania. To go robiło pionierem nowej idei. Czuł
przytem specjalną
słabość do Zoli i naturalizmu. Przeciw temu znów protestował
gorąco Berski.

— Użycie powinno być estetyczne, osłonięte różami.
Wspomnij na Greków. Zola
sprowadza je do rynsztoka.
— Bo życie ogółu jest rynsztokiem!
— Tembardziej my powinniśmy się od tego rynsztoku oddalić
i stworzyć dla siebie
użycie odmienne.
— Jako nadludzie, tak!
— Nie, ale jako ludzie używający chustki do nosa i wody
kolońskiej.
— Aryslokracya nowego typu!
— Taka zawsze będzie. I szczęśliwie bardzo dla ludzkości,
inaczej bowiem
szczytem używania dla najlepszych byłaby kiełbasa z kapustą
i piwo drozdowskie.
— Ty-bo za używaniem nic nie widzisz!
— A ty? Tylko że ciebie zadawalnia knajpa, a ambicya góruje
nad zmysłami,
podczas gdy ja potrzebuję trufli i kwiatów.
— Dziękuję ci i zgadzam się. Znaczy to, że u mnie cel życia w
mózgu, a u ciebie
— w żołądku i powonieniu.

— Nie, bo i w oczach, i w uszach, a przez nie odbieram
wrażenia estetyczne, —
niezbędny dodatek do życiowej rozkoszy.
— Jedynem użyciem prawdziwym — miłość! — westchnął
sentymentalnie Czerlański,
ogarniając niezwykłym spojrzeniem Mełę.
— Boski Eros! — Któż temu zaprzeczy? — przytwierdził
Berski. — Ucztę on zastawia

dla bogów, trzeba tylko, by zasiadły do niej i boginie.
Mówiąc to, stary wyjadacz skłonił lekko głowę w stronę
siedzącej obok pani, a
potem pochwycił kilka gałązek mirtu i konwalii i obwinawszy
niemi różę, wsunął
jej bukiet za gors i równocześnie nachylił się ku białemu
ramieniu,
przyciskając do niego usta.
Pani Toto uderzyła go wachlarzem, ale nie obraziła się. Na
zebraniach kółka
satanistów panowała wielka towarzyska swoboda.
— Niepoprawny pan jesteś! — zaśmiała się.
— I będę nim zawsze, ilekroć siądę obok pani — odrzucił,
cmokając ustami.
Czerwony hrabia tymczasem zwracał się przez stół do
Zieniewicza, dmąc w wielki
puzon z okazji jego ostatniego wstępnego artykułu.
Artykuł nosił nagłówek: »Precz ze starym bogiem!« — i
wywołał ogólną sensację.
Był pisany nietylko z siłą, ale z fanatyzmem... — Nawet nasz
wielki Giordano
niewiele miał podobnie porywających akcentów — mówił
swym przeciągłym, nosowym
głosem Orecki. — I nie

wiem doprawdy, czy znam w prasie naszej drugą rzecz tak
potężną i
sugestyonującą czytelnika. Przeczytawszy, zapomina się o
wszystkiem i chciałoby
się chwytać pochodnię i lecieć z nią pod drzwi kościoła.

— Ja też miałem to na celu, — odparł spokojnie Zieniewicz;
— tylko zamiast
pochodni myślałem o bańce z naftą.
— Protestuję przeciw jednemu i drugiemu, — mówił Berski.
— Najprzód, środek to
zbyt gwałtowny, choć jako widowisko nie pozbawiony
estetycznego zacięcia;
powtórę, kościołów, mających artystyczną wartość, byłoby
szkoda, a wreszcie — co
to mnie właściwie obchodzi, że tam kilka starych bab zbiera
się w sali
opatrzonej wieżą lub innym ornamentem, byle nie wyłaziły z
tem na ulicę i nie
przeszkadzały nam żyć, jak chcemy!
— Nie! — przerwał mu nagle donośny głos Zieniewicza.
Wszyscy zwrócili nań oczy, zdziwieni. On krzesło z hałasem
odsunął, pięścią w
stół uderzył, aż zabrzękły głośno kryształły i srebra.
— Nie — powtórzył; — nie i jeszcze raz — nie! Był silnie
wzburzony. Gorące
wypieki wystąpiły mu na twarz. Ogień płonął w oczach.
— Co mu jest? — spytał mnie Orecki, który od niedawna był
w naszym gronie i nie
znał bliżej Giordana. Czy on ma słabą głowę? Bo pił niewiele.
— To nie dlatego — szepnąłem mu. — On

zawsze tak się unosi, ilekroć wspomnieć o chry-styanizmie,
którego nienawidzi z
żywiołową siłą.

— Szczególne! — mruknął pod nosem hrabia. — A przecież
dawny ksiądz!

— Właśnie dlatego!

— I ma takie dziwne zamiłowanie w klerykalnych przyzwyczajeniach! To mieszkanie w klasztorze...

— Skasowanym. Chciał koniecznie nająć kaplicę na salon, ale nie można było, bo tam mieszczą się sądy.

— Bardzo szczególne! Cały jego tryb życia, jak i jego wygląd w tym długim czarnym surducie z wygoloną twarzą, ma silnie klerykalny odcień. Prawda?

— Z wyjątkiem Niny...

— Nina mi mówiła, że to ją właśnie odstręczyło od niego. Miała wrażenie, że przychodzi gotować ją na śmierć.

Tymczasem Zieniewicz przemawiał. Głos jego, harmonijny i z natury swej

oratorski, nabrzmiał był namiętnością i zapalem. Nie słyszałem początku, bo mi przeszkodził Orecki. Teraz mówca dochodził już do konkluzji.

— Więc precz z tymi murami, kazamatami ducha! Póki jedno dziecko na świecie zatruwać będą katechizmem i bałamucić pacierzem, póki w jednym miejscu, przy jednym ołtarzu odprawiać się będą ich gusła i misterya, póty ręce nasze nie powinny spocząć, poty nie wolno nam rzucać na-

szych kilofów, ani gasić pochodni. Aż zniknie z oblicza ziemi ostatni z nich, aż

zniknie ostatni ślad ich pracy, na zgubę ludzkości
prowadzonej od wieków! Wtedy
dopiero będziemy mieli prawo opuścić dłonie i zawołać: »Ave
Rabbi!« do Pasterza,
pozbawionego owiec, do Króla, któremu wydarliśmy ostatni
szmat jego królestwa!

Hrabia w dłonie uderzył.

— Pyszne! Wspaniałe! Prawdziwy zdobywca świata! —
zawołał.

— Ale też i ksiądz, porywający na ambonie tłumy! — dodał
ciszej, nachylając się
ku mnie.

Diskusya rozpalila się. Wierszwiłl bronił dość marnie
wolności indywidualnej,
choćby wolności błędu; Berski krytykował wszelkie arbitralne
i teoretyczne
działania, jako przeciwne życiowemu pięknu i towarzyskiej
harmonii. Zieniewicz z
nieugiętą swą energią i z przekonywującą logiką swych
argumentów obstawał przy
bezwzględny zakazie fałszu i przy zniszczeniu zabobonu
ogniem i mieczem.

— Ależ to dogmatyzm i inkwizycya! — wołał Berski.

— A oczywiście, — odpowiadał z zimną krwią Giordano. —

Średnie wieki miały swe

strony jeśli nie dobre, to mądre i praktyczne. Jak one mówiły?

»Bądź

chrześcijaninem i to według naszej modły, lub idź na stos!« —

Tak i my dziś

musimy napisać na sztandarze »Wolnej myśli«: »Wyrzecz się

starego Boga, lub idź

na latarnię!«

— Póki nie postawimy gilotyny! — mruknął w siwą bródkę Berski.

— Nie! Póki nie zaczniemy wytepiać mas opornych dynamitem: gilotyna jest za stara i za powolna! — odrzucił Zieniewicz, który dosłyszał uwagę Berskiego.

I uniesiony zapalem, zaczął cytować słowa Pisma o doszczętnem wytepieniu przez Jozuego mieszkańców Kanaanu, aż do ostatniego dziecięcia, a potem znów ustęp z Sekwencyi żałobnej o oczyszczeniu świata przez ogień, stosując słowa te do naszych czasów i do zadań nowoczesnego postępu. Raniecka pożerała go oczyma, Mela Luft drżała całym ciałem, jakby w przystępie histeryi.

Atmosfera robiła się coraz gorętsza. Roznoszono kuropatwy i wyjmowano z wanienek butelki. Korki zaczynały strzelać. Przedtem wszyscy już pili dużo; teraz szampan, perlący się w kielichach, dodawał nowej energii i fantazyi.

— Na ostateczny tryumf »Wolnej myśli«, pod przewodnictwem naszego Mistrza, Giordana! — krzyknął, podnosząc pieniący się kielich Orecki.
— I na pohybel ostatniemu klesze! — dorzucił pijany już całkiem Wierszwił.

— Z wyjątkiem gospodarza, — uśmiechnął się Berski. Zieniewicz znów go dosłyszał.

— Tak, księdzem jestem i cieszę się tem, bo nikt, jak ksiądz, nie potrafi bić

klerykalizmu własną jego bronią! Gdyby nie był księdzem,
Gior-

dano Bruno miałby podcięte skrzydła. Ale jestem nim, i dlatego drżą nasze wrogi, dlatego chwieje się ich warownia! Jestem, i tak dalece jestem, że strój księży zachowałem, że zachowałem księże przebrania, potrzebne przy ich obrzędach, jak zachowałem księżą postać i klerykalne ramy życia, bo to wszystko razem daje mi natchnienie!

Wszyscy słuchali zdziwieni, nie rozumiejąc. Mnie tylko przypomniało się jakieś gadanie Niny, do którego nie przywiązywałem wówczas wagi ani wiary, myśląc, że to jedna z plotek, mających upozorować zerwanie z Zieniewiczem.

A on mówił dalej, uniesiony winem i myślą własną.
— Przychodzą na mnie, jak na każdego, chwile zniechęcenia, słabości, niewiary w siebie, w ideę moją i pracę, której oddałem życie. Dawniej zdarzały się rzadko: teraz są częstsze, coraz częstsze... Co, myślicie, robię wtedy? Oto zamykam drzwi z pracowni do tego magazynu świecideł i cacek, dobywam z szafy starą sutannę, komżę wytartą od używania i spłowiałą stułę, w której niegdyś mawiałem kazania, słuchałem spowiedzi takich, jak sam byłem, głupców i... rozdawałem...

Jednym słowem zwykły kostium klerykalnego arlekina,
przygotowującego się do
swego hocus pocus... W przebraniu tem siadam do roboty. I
czy uwierzycie? Od
razu, jak ręką odjął, znika małoduszność, milkną głosy
wewnętrznej krytyki i
oporu, na ich miejsce zjawia się, niewiadomo skąd, siła
dziwna, jakby nie moja,

duszę mi zapełnia wiara, pewność siebie i pewność
zwycięstwa, w piórze czuję
werwę, świeżość, władzę nad tłumem. I tak bywa zawsze, i
tylko wtedy...

Było w słowach tych coś tak dziwnego, że mężczyzn
obecnych przeniknął dreszcz.

Nawet w chłodnej twarzy Oreckiego dostrzegłem wrażenie, a
Czerlański zrobił się
trupio blady i oglądał się bojaźliwie, czy za krzesłem
Zieniewicza nie stoi,
podszeptując mu natchnienie, Król Nocy. Ale panie wzięły
rzecz z innej strony.

Zajęła je kwestya stroju.

— Nie, to byłoby przecie paradne widzieć Mistrza w sutannie!

— zawołała pani

Emma.

— I w stule! — dodała Mela, śmiejąc się. Piękna Toto złożyła
ręce jak do
pacierza.

— Zlituj się, Mistrzu! Zrób nam tę łaskę! Przebierz się!
Przecież to karnawał!

Emma i Mela zaczęły klaskać i na krzesłach podskakiwać z radości. Były już wszystkie mocno podochocone i oczy świeciły im, jak wilcze ślepia.

— Ach, dobrze, bardzo dobrze! Koniecznie! Musisz to zrobić dla nas, Mistrzu, musisz! Nie puścimy cię inaczej!

Mówiąc to, Mela przytuliła się do niego, przyciskając śliczną główkę do jego piersi i podnosząc ku niemu oczy chabrowe, świdrujące i przenikliwe, niby sztylety. Pani Emma bez ceremonii otoczyła mu szyję obnażonym ramieniem i podane naprzód usta zbliżyła do jego twarzy.

— No, całuj i idź! — szepnęła namiętym, rozkazującym głosem.

Zieniewicz stał zmieszany trochę i niezdecydowany. Od rozejścia się z Niną, Lubrańska wywierała na niego dużo wpływu. Pociągała swą naturą silną i prostą, mimo towarzyskiego wyrafinowania, a brutalną przy wytwornych pozorach. Ulegał jej, ilekroć zaczęła go magnetyzować oczyma. Tym razem wahał się. Uważał widocznie strój ten za rodzaj talizmanu, którego nie godziło się robić przedmiotem próżnej ciekawości i zabawy. Z mężczyzn niektórzy, specyjalni czciciele Mistrza, oburzyli się na propozycję pań.

— Cokolwiek związane jest z twórczością Giordana, —
zawołał Wierszwiłł — nie
powinno być przedmiotem żartów i karnawałowej maskarady!
— I ja tak sędzę, — przytwierdził Orecki, przejęty gorliwością
neofity.
Berski i Grünspahn byli tego samego zdania. Tylko Czerlański
milczał, nie chcąc
narazić ,się sąsiadce.
Ale panie nie dawały za wygraną. Otoczyły Zieniewicza,
zaczęły go ścisnąć i miny
pocieszne stroić, aż wreszcie postawiły na swoim.
— Niechże tak będzie — rzekł, wstając ciężko od stołu. — I
bodajby to tylko nie
zaszkodziło memu talizmanowi!
Za chwilę drzwi od gabinetu otwarły się i uka-

zał się w nich poważny duchowny w birecie na głowie i
złocistej stule na białym
muślinie komży. Bez zamiaru, ani świadomości twarz mu się
dostroiła do ubioru.
Zawsze poważny i namaszczony, teraz stał się nim podwójnie,
i kiedy tak szedł do
nas z rękami skrzyżowanymi na piersiach, zdawało się, że
podchodzi do ołtarza.
— Jestem więc, — rzekł niepewnym trochę głosem. —
Przypatrzcie mi się i
powiedzcie, gdy będzie dla was dość.
Całe towarzystwo otoczyło go, podnosząc w górę świeżo
nalane kielichy.
— Niech żyje nasz arcykapłan »Wolnej Myśli!«
— Niech żyje arcykapłan Lucifera!

— Niech mu długo służy jego kościelna szata przy sprawowaniu naszych obrzędów.

— A gdy się zedrze na posługach naszego kościoła, niech sobie sprawi inną!

Było wesoło i gwarno, ale przy tem wszystkim mieliśmy szczególne uczucie:

zdawało się nam, jakby zamiast Zieniewicza był między nami ktoś obcy. ktoś z

innego zupełnie brzegu, przed kim nie godziło się sypać dwuznacznikami i bawić

sąsiadki, jak się je bawi po szóstej flaszce szampana.

— Pozwolicie mi teraz odejść? — spytał naraz Zieniewicz.

— Ależ nie! Za nic! Nigdy! Teraz dopiero musisz zasiąść z nami i przewodniczyć

naszej bachanalii! Teraz dopiero: »ça aura un haut gout!«

Zmuszono go zająć jego miejsce i uczta roz-

poczęła się na nowo, albo raczej orgia już, bo wszyscy, nie wyłączając

gospodarza, byli w różnym stopniu pijani. Wszczął się hałas niesłychany:

wznoszono toasty, których nikt nie słuchał, oblewano się winem i rzucano na

siebie kwiaty i cukierki; Wszyscy mówili naraz, gestykułując, z twarzami

zaczerwienionymi i jarzącymi jak pochodnie oczyma. Zwykle pandemonium, w jakie

zamienia się koniec tego rodzaju wesołej kolacyi.

Służący dawno odeszli, pochwytawszy część zapasowych butelek z kredensów. Mimo

wielkich rozmiarów sali powietrze zrobiło się duszne. Dym cygar, wonie kwiatów i perfum, wyziewy ludzkie, zapachy potraw i napojów zmieszały się w tę gryzącą a mdlą atmosferę, znaną tak dobrze gościom »chambres séparées«.

Zieniewicz już się nie wybierał do pracowni: siedział rozpromieniony, wsparty jedną ręką na krześle Emmy, i prawił jej jakieś rzeczy widocznie przyjemne, bo złotowłosa uśmiechała się rozkosznie z pod wachlarza, rzucając złośliwe spojrzenia na przeciwną stronę stołu ku czarnookiej żydówce i ciesząc się jej widoczną irytacją.

Wtem ktoś zaczął tak silnie uderzać trzonkiem noża o szklanę, aż szkło rozprysło się w kawały.

Był to Grünspahn. Odrzucił krzesło, które z hałasem zważyło się na ziemię i stał z rozwichrzoną kędzierzawą czupryną, trzymając się obydwojema rękami za brzeg stołu, żeby nie upaść.

— Panowie i panie! — zaczął.

— Protestuję. — Przerwał bełkocząc Czerlański. — Mówi się: panie i panowie!

— Wszystko jedno! Tu nie o frazesy, ale o poważną rzecz idzie. Proponuję, by nam teraz Zieniewicz, nasz gospodarz i mistrz, odprawił mszę!

— Co? Co on mówi? — rozległo się zewsząd. — Co ma zrobić Zieniewicz?

— Poprosto mszę odprawić dla nas. To przecie wszyscy księża robią, a on ksiądz.

— Jakież on ksiądz, bój się Boga! — próbował go reflektować Orecki.

— Boga się nie boję, bo go niema, a księdzem on jest, to wiem dobrze, bo u nich to jest rzecz, co się przykleja do człowieka tak, że jej nie odlepić nie potrafi. I to wiem także, że podług ich wiary nie potrzeba do spełnienia ofiary, jak zwą swoje gusła, nic prócz chleba i wina i tych kilku słów, które on umie i które on jeden wśród nas wymówić potrafi.

Propozycja Grünspahna była tak dziwna, że na chwilę wszyscy nietylko uciszyli się, ale oprzytomnieli. Jeden Zieniewicz zdawał się jej nie rozumieć. Siedział jak przedtem, obejmując ramieniem poręcz krzesła Lubrańskiej, i bezmyślnym, szklistym wzrokiem wpatrywał się w rozognioną twarz Grünspahna.

A ten mówił dalej, coraz przytomniej i coraz namiętniej.

— Tu jest chleb, tu jest wino, stula na tobie, światła palą się na tym ołtarzu:
cóż ci przeszkadza?

W wiekach średnich i później bywałyż przecież msze takie: nazywano je

»czarnemi«. Były wyzwaniem, najwyższą zniewagą,
błuznierstwem przeciw wielkiemu
Nieistniejącemu, ofiarą uwielbienia i zadośćuczynienia na
cześć innego
Nieistniejącego,, tego, którego nauczyłeś nas także czcić, jako
wcielenie walk
wyzwalającej się ludzkości. To, co tamci czynili w ciemności,
jeden zabobon
zastępując drugim, uczynimy w świetle, a ty bądź nam
arcykapłanem!
— Zrób to! — zawołała nagle czarnooka Toto, porywając się,
ona także, i wpijając
oczy w błąd, twarz Zieniewicza.
On nareszcie zdawał się rozumieć i poruszył się niespokojnie.
— Sam nie wiesz, czego chcesz... — odparł niechętnie,
odwracając oczy od wzroku
Grünspahna. — Go za dziwaczny koncept!
— Ależ to nie koncept, to sprawa seryo, to usilna prośba, to
żądanie nasze!
— Zrób to! — powtórzyła Toto, przesywając go oczyma.
— Wymyślcie sobie inną zabawkę i wybierzcie kogo chcecie
za pajaca! — zawołał
gniewnie Zieniewicz. — Ja nim nie myślę być!
— Musisz być! — krzyknął w uniesieniu Grünspahn.
— Zrób to, zrób! — powtórzyła raz jeszcze Raniecka.
Mela oczyma i całym wyrazem mówiła to samo. Na twarzy
Lubrańskiej odbiła się
krótka walka.

Nie chciała, żeby Zieniewicz posłuchał pani Toto, a
równocześnie jej

neuropatyczna, zwyrodniała natura rwała się do niezwykłego
wrażenia. Nachyliła
się do jego twarzy, dotykając go oddechem.
— Nie dla niej: — dla mnie... — szepnęła.
— Ależ zlitujcie się, o co wam chodzi? — bronił się
Zieniewicz. — Przecie nikt z
nas nie wierzy w Boga ni dyabła: jakież znaczenie może mieć
dla was ta komedia?
W średnich wiekach, co innego: wierzono, bano się, miano
jakieś nadzieje, ale
my! Przecie wiecie tak dobrze, jak i ja, że choćbym dziesięć
razy wymawiał nad
tym stołem formułkę konsekracyjną, chleb pozostanie
chlebem, wino — winem! Więc
pocóż?
— A pocóż ty się wzdragasz i boisz się to zrobić, jeśli to są
tylko czcze słowa
bez znaczenia i następstw? — odrzekł z naciskiem, nie
spuszczając zeń oczu,
Grünspahn.
— Powiedziałem wam, że nie chcę być waszym pajacem i
grać dla waszej fantazyi
komedyi!
— Czy dlatego, że to dla ciebie komedia, czy dlatego może,
że to dla ciebie
rzeczywistość? — bąknął półgłosem w brodę Grünspahn.
Ale Emma Lubrańska zasłoniła w tej chwili twarzą swą
Zieniewicza. Błada,
przejęta jakąś myślą, która zdawała się ją pochłaniać,
pochyliła się ku niemu,
kładąc mu obie ręce na ramiona i wpatrując się weń szeroko
rozwartymi źrenicami.

— Rozumiem cię — szepnęła. — Masz słuszność. Tego nie można czynić dla żartu, dla przyjaźni,

dla miłości nawet. Tak, nawet dla mnie — nie! Rozumiem i przyznaję. Ale...

Urwała i wciąż wpijała się w Zieniewicza swemi bezdennie głębokimi, chabrowemi oczyma.

On poruszył się niespokojnie.

— Ale co? — wyrwało mu się, jakby mimo woli.

— Ale... dla Niego!

Słowa te wymówiła głośniej. Dosłyszano je dokoła i zrobiło się naraz zupełnie cicho.

Zrozumieli, że w słowach młodej kobiety było coś, co dla Zieniewicza znaczyło więcej, niż wszystko, co mówiono dotąd, i czekali z zapartym oddechem, co mistrz odpowie.

Alę mistrz milczał, zdając się pić słowa Emmy, ona zaś pochyliła się ku niemu jeszcze bliżej, tak, że niemal ustami dotykała jego twarzy i znów zaczęła mówić.

Głos jej płynął, jak srebro, coraz dźwięczniej, coraz namiętniej i bardziej nakazująco.

— Słuchaj mnie! — mówiła. — Ty w niego wierzysz, prawda? I ty go miłujesz? Ty jeden! I nikt prócz ciebie! Nikt weń nie wierzy, prócz tych, którzy mu bluźnią,

nikt go nie kocha i nie składa mu ofiary. Złóż ją ty! Niedość
przeczyć staremu
Bogu: trzeba dać świadectwo temu, który jest Jego wrogiem
odwiecznym, trzeba
oddać cześć temu, którego miłujesz!
On wciąż jeszcze milczał. Lubrańska przycisnęła dłoń do
piersi, nabierając
oddechu i dokończyła:

— Nie, dla nich, mój Giordano! Nie dla nich! Dla niego!
Zieniewicz zerwał się i ciężkie krzesło daleko od siebie
odrzucał na ziemię.
Zmienił się zupełnie. Twarz mu pałała, w oczach grały ognie,
promieniał cały,
jak człowiek, ogarnięty ekstazą lub szałem.
— Tak, masz słuszność! — krzyknął. — Ty jedna masz
słuszność! I zrobię to,
zrobię... dla niego!
Twarz skrył na chwilę w dłonie: gdy je odjął, był już zupełnie
spokojny, tylko
usta zaciśnięte silnie zdradzały wysiłek woli.
— Zamknijcie drzwi, żeby kto ze służby nie nadszedł —
rzekł.
— Służba pijana, chrapie... — odpowiedział Wierszwił. —
Północ dawno minęła!
— Dobrze! Dajcie mi teraz chleba kawał i trochę stołowego
wina.
Rzucono się wykonać rozkaz.
— Chleba dosyć w koszach, — rzekł po chwili Germański; —
i wina nie brak we
flaszkach na kredensie, ale jest tylko madera, reńskie...

- Ja potrzebuję stołowego.
- Nie było go.
- Te obce, droższe, bywają zwykle fałszowane, a do tego potrzeba czystego wina.
- Chyba posłać!
- Zbudzić Józka, niech przyniesie z piwnicy czy ze sklepu.
- Czekać, — wmieszał się Grünspahn. —

Niech Józek śpi. Nie mieszajmy w to nikogo. Ja mieszkam o dwa kroki. Pójdę do siebie i przyniosę.

— Zgoda! Idź! — zawołano.

— Po raz pierwszy w życiu będziesz zakrystyanem! — dodał Berski.

Po wyjściu Grünspahna nastąpiło milczenie, pełne oczekiwania i tłumionego

niepokoju. Zieniewicz stał przed stołem bez ruchu, z twarzą poważną i skupioną, jaką miewają duchowni, przygotowujący się do mszy. Emma chciała go zaczepić, dziękować mu pieszczotą. Odsunął ją spokojnie, ale stanowczo.

— Nie teraz! — rzekł krótko. — Moment zbyt jest uroczysty. Wieki czekać trzeba na taki drugi.

Nikt nie odpowiedział, i wszyscy siedzieli na swych miejscach, pomieszani. On po chwili usiadł i podniósłszy głowę, wpatrzył się przed siebie, w przestrzeń.

— To dziwne — rzekł naraz — właśnie dziś rocznica. Tak! Osiemnaście lat temu!

— Rocznicą czego, Mistrzu? — spytał Orecki.

— Mojej pierwszej mszy...

Nie wiem czemu, doznałem w tej chwili niemiłego uczucia.

Po oczach moich

sąsiadów dostrzegłem, że uczucia tego doznali i oni.

A Zieniewicz mówił dalej, jakby do samego siebie i jakby nas nie widział.

— Tak, osiemnaście lat! Dwudziestego piątego lutego!

Dziwny był dzień, bardzo

dziwny: zupełna

wiosna! Pączki na drzewach i przyłaszczki przynoszono z

lasu. Śniegu trochę tu i

owdzie, ale nic błota! Przybyłem w wilię wieczorem. W domu

czekała na mnie matka

i rodzina, zblizka i zdaleka sproszone na uroczystość. Matka

plakała, mówiąc

przez łzy, że to z nadmiaru szczęścia... A nazajutrz... Te

mnóstwo kwiatów,

świateł, kadzidła — zdaje mi się, że mi od tego dziś jeszcze w

głowie się

zawraca! Staruszek proboszcz, który rodzicom ręce stulał

wiązał i mnie chrzczył, a

potem katechizmu uczył, mówił mi o wytrwaniu i plakał.

Wszyscy plakali, a

najwięcej matka, gdy mi całowała dłonie i gdym potem

przypadł do jej kolan. I

znów mówiła, że to ze szczęścia, i prawda: jej to było dzieło...

Urwał i głowę pochylił na piersi.

— Osiem lat później walcząc ze śmiercią zażądała, bym

przybył do jej łóżka tak,

jak teraz jestem, pogodzony, poskromiony, pohańbiony...
Mówiła, że nie może
umrzeć, póki nie zobaczy mnie znów w tej sukni i nie usłyszy
z moich ust słowa
odpuszczenia. Nie chciałem. Przybyłem tak, jak mogłem
przybyć. Wywłoki nie
dopuszczono do niej, choć wyłem z bólu, jak pies u jej drzwi!
Nie pozwoliła.
Twarda była kobieta, choć duszę miała anielską. Nie dała się
ugiąć śmierci.
Umarła na obcych rękach, zakazując mi iść za trumną. A
równocześnie...
— Równocześnie? — pochwycił ktoś z obecnych,
przynaglając wahającego się mówcę.

— Równocześnie kazała mi powiedzieć, że mi przebacza, że
życie całe ofiaruje za
mnie i czekać będzie w modlitwie i męce mego powrotu...
Znów się zatrzymał, tak mu trudno było widocznie wymówić
te słowa.

— I mszy, którą wówczas odprawiać będę za jej duszę...
Głowę w dłonie ukrył i milczał, opanowany wzruszeniem.
Nikt mu nie przerywał.

Szeptano tylko, oglądając się to na Mistrza, to na drzwi,
którymi wyrzekł po
wino Grünspahn.

Naraz rozległ się ostry jak zawsze głos czarnookiej Toto.

— Teraz spełnisz jej życzenie! Tę mszę, pierwszą po jej
śmierci, ofiaruj za nią!

Towarzystwo nasze dość już otrzeźwiało z oparów szampana,
by się oburzyć na

brutalny wyskok pięknej pani, rozzłoszczonej na Zieniewicza dzięki Emmie.

Posypały się protesty i przekąsy.

Uciszył je Zieniewicz.

Zerwał się z krzesła, gwałtownym ruchem zrzucił na ziemię chleb, przygotowany przed nim. A potem surowemi oczyma wpił się w zmieszana, mimo całej jej zuchwałości, żydówkę.

— Otóż nie! nie zrobię tego! Nigdy!

— Dla niej tego nie zrobię! — dokończył ciszej. Grünspahn, który wrócił do sali podczas zajścia z Raniecką, wmieszał się teraz, zdenerwowany i niespokojny.

— Jaktó, jaktó, Mistrzu! — wołał. — A twoja obietnica?

Zieniewicz odwrócił się ku niemu i przemierzył go od stóp do głowy pogardliwym spojrzeniem. Potem wyrwał mu szorstko butelkę z ręki i rzucił ją w komin, aż zasyczał płomień, zalany płynem.

— Ot ci moja obietnica! — krzyknął. — Nie — i już! Nie przeraziłem się żadnego

Boga, nie dam się i żadnemu Szatanowi przymusić!

Nie mogło być mowy o dalszej zabawie. Wszyscy czuli mrozący rozdźwięk, a sam

Zieniewicz zamknął się w lodowatej skorupie, jakby nie widział i nie słyszał, co

się działo wkoło niego. Chwilę jeszcze gwarzono, tłukąc się bez celu z kąta w

ką. Wreszcie przerwał niewyraźną sytuację Orecki,
najbardziej ze wszystkich
światowy.

— Chodźmy wszyscy, jak jesteśmy, przejść się! Toż to dziś
tłusty czwartek!

— Chyba tłusty piątek... — poprawił Berski. Ale myśl
podobala się wszystkim.

Nieswojo

było jakoś i niesmacznie po przedwczesnem wytrzeźwieniu:
głowy bolały, a w izbie

panował zaduch, choć przez otworzoną szybę wpadał prąd
chłodnego, nocnego

powietrza.

— Chodźmy, chodźmy! — zaczęto wołać.

— Ale Mistrza zabieramy z sobą! — dodał Wierszwiłł.

— Jaki on Mistrz... — mruknął pod nosem Grünspahn.

Zaczęliśmy się zbierać. Zieniewiczowi narzucono płaszcz
powierzch sutanny i
komży. Pozwalał z sobą robić, co chciano, jakby nie o niego
chodziło.

— Nie zdejmiesz przedtem tego przebrania? — spytałem.

Ruszył apatycznie ramionami.

— Wszystko jedno — rzekł. — Nie chce mi się. Zmęczony
jestem... Zresztą to

karnawał.

— Wezmą cię za maskę, — rzucił ktoś.

— Całe życie jest maskaradą, — zawyrokował
sentencyonalnie Czerlański.

— Zmęczony jestem i nieswój — powtórzył Zieniewicz,
zwracając się do mnie. — A

boję się zostać sam w mieszkaniu. Wiesz, jakie mam nerwy —
a ta głupia historia
i te wspomnienia...
— Chcesz? Zostanę z tobą do rana! — zaproponowałem.
— Dziękuję ci, ale może i lepiej przejść się. Świeże powietrze
orzeźwi mnie i
rozpedzi ten marazm, który mnie chwycił.
Wyszliśmy. Panie tym razem nie kłóciły się o Zieniewicza.
Emma uwiesiła się
Oreckiego, Toto
i Mela pozostały przy Berskim i Czerlańskim. Grünspahn
wziął pod rękę
Wierszwiłła i ostentacyjnie odsunął się od Zieniewicza, który
wraz ze mną szedł
na końcu.
Na ulicy zapomnieli zaraz wszyscy o rozdźwiękach ostatniej
chwili i zrobiło się
znów wesoło. Zaczęły się głośnie rozmowy, żarty, śpiewy.
Grünspahn popisывał się
swymi sławnymi kupletami żydowskimi,

Czerlański i Wierszwiłł zaczepiali przechodniów. Po ulicach
włóczyło się mnóstwo
podpitych, wracających z hulanki motyli nocnych. Bandy ich
krzyżowały się z
naszą, zamieniając z nami wybuchy śmiechu i koncepty,
przesiąkłe koniakiem.
Jedna z tych band zatrzymała się przy nas z hałaśliwymi
okrzykami.
Byli to przeważnie członkowie naszego grona, wracający w
bardzo wesołym,

damskiem towarzystwie z kolacyi po teatrze.

— Chodźcie z nami na koniak i czarną do Huntla! — zaczęli wołać.

Huntl, był to najgłośniejszy w mieście kabaret.

— Chodźmy, chodźmy! — odezwały się głosy między nami. Zakłębiło się, jak w garnku. Krzyczano razem, nie zwracając na siebie uwagi

wzajemnie. Trzymaliśmy się z Zieniewiczem zdaleka, nie mieszając się do ogólnego

gwaru. Naraz on mnie za rękę pociągnął.

— Chodźmy stąd — rzekł mi. — Oni są po prostu obrzydliwi!

Przystałem chętnie i porzuciwszy hałaśliwe towarzystwo, które nie spostrzegło

naszego odejścia, zaczęliśmy błąkać się bez celu po dalszych, spokojniejszych

ulicach. Zieniewicz szedł obok mnie zamyślony i milczący, rzadko rzucając jakieś

luźne, urwane słowo. Doszliśmy tak aż na ustronną dzielnicę przedmiejskich will

i ogrodów.

Zieniewicz zwolnił kroku.

— Przyznaj — rzekł, zatrzymując się, — że cała ta nasza banda to jedno wielkie

bagno, a co gorzej, jedna wielka miernota! Was dwóch tylko: ty i on. Tylko was

dwóch!

Zrozumiałem, że mówi o Wrzeskim.

— Tak jest: tylko was dwóch. I w dodatku — jego mi wydzierają, może już

wydarto... niepowrotnie!

— Stoimy właśnie przed jego domem, — zauważyłem,
rzuciwszy okiem na dobrze mi
znaną willę Wrzeskich, rysującą się w głębi małego
dziedzińczyka wśród
bezlistnych drzew i szronem osnutych gałęzi winogrodu. — I
świeci się u nich
jeszcze!

— Prawda, — przytwierdził Zieniewicz, — odwracając głowę
ku oświetlonym szybom.

— Tak! — dodał po chwili. — Za temi szklanemi taflami jest
on, najukochańszy,
wybrany syn mego ducha, on, którego przez lata całe
wychowywał, podnosił,
oczyszczał z chwastów przesądu i małoduszności, — on, w
którym widziałem
drugiego, lepszego siebie! I ja — dostać się do niego nie
mogę...

W tej chwili krata oddzielająca willę od ulicy, rozwarła się z
trzaskiem i jakaś
postać kobieca stanęła na progu, wychylona naprzód w
widocznym niepokoju.

— O Boże mój! Niema nikogo, nikogo! — szepnęła
zdławionym głosem, w którym czuć
było łkanie.

Głos ten nie był mi obcy. Zbliżyłem się o krok i poznałem
panią Maryę Wrzeską.

— Pani tu, o tej porze? — zawołałem. — Na Boga, co to
znaczy?

Sam jeden z całego naszego kółka znałem ją i bywałem w ich
domu, póki rosący

rozdźwięk między nią a Zieniewiczem nie stał się powodem zerwania stosunku.

Wrzeski poza domem aż do ostatnich czasów był zupełnie pod wpływem Mistrza: w

domu zdały go na wolę żony przywiązanie do niej i wrodzona rycerskość

szlachetnej natury, tem zupełniej, im bardziej poza domem wyzwałał się z pod jej

wpływu. To też zacząwszy od Zieniewicza nikt z naszego grona nie znał pani Maryi

ani przestąpił progów ich domu.

Szepnąłem Zieniewiczowi, kto stoi przed nami. Ona

tymczasem podbiegła do mnie i

za obie ręce chwyciła.

— Ratuj pan, zlituj się! — krzyknęła. — On umiera!

— Zygmunt?!

— Ciągłe był niezdrów, ale nie przeczuwałam... I doktor uspakajał... Naraz przed

chwilą — atak... Posłałam po doktora. Powiada: Agonia... I ja sama widzę... Więc

po księdza... A księdza niema... On sam wołał o to, a teraz kona i może już...

Przypadła do mnie i nim mogłem zrozumieć, co czyni, przycisnęła mi do ręki

rozpalone usta.

— Panie, ratuj! Biegnij! Zapomnij o wszystkim!... Ja go odejść nie mogę, a

służbę posłałam na probostwo, a on kona... Księdza!!!

Podczas tych słów Zieniewicz, nie mogąc po-

wstrzymać niepokoju, zbliżył się do drzwi domu. Podnosząc głowę, pani Wrzeska ujrzała go w jego szerokim czarnym płaszczu, z pod którego wyglądała sutanna.

Poznała księdza i uderzyła w dłonie.

— O, Bóg łaskaw! — zawołała z wybuchem — Nie opuścił mego Zygmunta! Teraz mogę powiedzieć: Bądź wola Twoja!

I podbiegłszy, uchwyciła Zieniewicza za rękę.

— Bóg cię tu przysłał! Chodźmy, chodźmy! Zieniewicz, nie mówiąc, wszedł do sieni.

Czy nie słyszał słów ostatnich młodej kobiety, czy nie zwrócił na nie uwagi, czy

wreszcie chciał wyzyskać sposobność dostania się do ukochanego adepta i

przyjaciela — dość, że uprzedził Wrzeską i szybkim krokiem pośpieszył do ich

mieszkania. W przedpokoju zatrzymał się, niepewny.

— Tędy, — rzekła kobieta. I drzwi otwarła.

Przez salonik na przestrzał otwarty widać było w głębi sypialni chorego,

rozciągniętego bez ruchu na długim szeslongu, przy którym stał lekarz.

Wrzeska podbiegła do męża i ogarnęła go gorączkowym spojrzeniem.

— Żyje... — szepnęła, zwracając się do Zieniewicza. — Żyje, ale przez te

ostatnie minuty osłabł bardziej jeszcze. Prędejj, ojczy drogi, prędejj!

I chwyciwszy Zieniewicza za rękę, ciągnęła go do chorego.

On, zdaje się, w tej chwili dopiero zrozumiał, czego odeń
żądata.

Cofnął się od niej i wyrwał rękę z jej dłoni.

— Czego pani chcesz odemnie? — zawołał. Mimo
wzburzenia, w jakim była,
spojrzała na

niego ze zdumieniem.

— Jakto — czego? Ależ tego, czego się żąda od kapłana
wobec umierającego!

Pojednania go z Bogiem!

— Z Bogiem! — powtórzył Zieniewicz głucho.

— I to — konającego, który lata całe od Boga był oddalony.

Zieniewicz nic nie odrzekł i stał nieruchomy z głową ku ziemi
spuszczoną.

Wrzeska czekała przez chwilę na spełnienie swej prośby,
wreszcie nerwowym ruchem
chwyciła go za rękę.

— Prędzej, — zawołała, — prędzej, mój ojcie: tu niema czasu
na rozmowy i
czekanie!

Zieniewicz rękę jej usunął i cofnął się o krok ku drzwiom.

— Myli się pani, — rzekł. — Nie jestem wcale księdzem i
dlatego nie mogę spełnić
pani życzenia.

— Jakto? — zawołała, wpijając się weń oczyma. — Jakto? A
ten strój?

I szybko uchyliła mu brzeg płaszcza, odkrywając komżę i
rąbek stuły.

— A to? — zawołała. — Mój ojcie! W takiej chwili, w
obliczu śmierci — godziż się
to? Czas-że to na żarty?!

Zieniewicz znów się cofnął i otulił się połami płaszcza,
skrywając kościelny
ubiór.

— Zareczam pani, że to pomyłka, istotnie nieszczęśliwa. Strój
ten, to

karnawałowe przebranie. Nie jestem księdzem!

Pani Marya zdumiona i przerażona oczy zwróciła od niego ku
mnie, żądając

wyjaśnienia niemym pytaniem. Potwierdziłem słowa Mistrza,
skłaniając głowę.

Jeszcze nie wierzyła. Złożyła ręce, jak do pacierza.

— Naprawdę? naprawdę? — jęknęła.

Potem opuściła się ciężko na krzesło. Ręce opadły jej
bezwładnie i łzy wielkie

poczęły spływać cicho po wybladłej twarzy.

— Bóg mnie opuścił, — szepnęła.

Nastała chwila ciężkiego milczenia. Z drugiego pokoju
dochodziło rżenie

chorego, to słabsze, to wzmagające się chwilami. Pani Marya
ukryła twarz w
dłonie.

Naraz podniosła ją i zwróciła ku nam, zapłonioną gniewem.

— Poczóżeście tu przyszli z tą waszą karnawałową komedią,
świętokradcy? —

zawołała drżącym z oburzenia głosem. — Poczóście przyszli
bezczęścić ten dom i

urągać naszej niedoli? Gdybym was nie była spotkała,
pobiegłabym po księdza,

odnalazłabym go, z pod ziemi wy dostała, a teraz... Teraz
zapóźno. I to wasza

wina, przekłęci!

I wyciągnęła ku nam rękę z rozkazującym gestem.

— Precz stąd, precz!

Ale Zieniewicz nie ruszał się. Stał jakby wrosły w ziemię.

Ciągnąłem go i

chciałem wyprowadzić przemocą: nie dał się.

Wrzeska stała przez chwilę, wskazując drzwi i wyczekując naszego wyjścia, potem

schwyła ją widocznie boleść straszna za gardło i znów opadła na krzesło,

zasłaniając oczy.

I jęczała, kołysząc się, jak zawodzące niewiasty na wsi:

— O, mój Zygmuncie, mój jedyny! Światło moich oczu, duszo mojej duszy! Takiej-że

dożyłam dla ciebie godziny! Tak-że miały się skończyć marzenia i nadzieje

naszego życia? I tak-że mam cię puszczać w tę dal ciemną, w otchłań grobu,

nieodrodzonego, niepojednanego, także mam cię zostawiać w szponach Wroga i w tej

ostatniej godzinie?!

Przez chwilę zmagła się ze swoją boleścią, łkając cicho.

— Tyle czasu łudziłam się, że cię wydrę tym straszliwym szponom, że cię wrócę

Bogu twemu... Szalona, marzyłam, że stanę się dla ciebie aniołem stróżem, że cię

wyzwolę i ocalę... I teraz kończy się wszystko, pryskają ostatnie nadzieje i

wszystko daremne, daremne...

I znów zerwała się, rozdrażniona, szalejąca.

— Niechże Bóg skarże tego człowieka, który stanął między
mną a mojem szczęściem!
Niech mu odpłaci za moje serce stargane, za zburzone ognisko
domowe, za to
życie, tak świetne, marnie-

jące przed czasem! Niech jego dusza cierpi i ginie za tę dusze
czystą, którą
skałał, skrzywił, zgubił! Niech wije się w rozpaczy bez
pociechy, bez ratunku,
bez końca! Za tę duszę wyrwaną Bogu niech go opuści Bóg;
niech ten, któremu
życie poświęcił, niech Szatan będzie mu towarzyszem, panem,
katem przez
wieczność całą, potępionemu, przekłętemu!
Upadła znów na krzesło, wyczerpana namiętym wybuchem i
zanosła się głośnem,
konwulsyjnym łkaniem.
Zobaczywszy nas przez drzwi otwarte, lekarz, stojący przy
Wrzeskim, podszedł ku
drzwiom pierwszego pokoju i patrzył zdziwiony, nie
rozumiejąc znaczenia tej
sceny. Ale Zieniewicz stał nieporuszony, jakby nic nie widział
i nie słyszał.
Zmieszany i przerażony tem wszystkim, co się stało w ciągu
tych kilku okropnych
minut, pociągnąłem go silnie za połę płaszcza.
— Chodźmy stąd, chodźmy prędzej, na miłość Boga! —
szepnąłem, zapominając o tem,
jak wstrętnem mu było zawsze wymienione przezemnie imię i
w jakie go wprawiało

rozdrażnienie.

Ale tym razem zrobiło ono inne wrażenie, niż zazwyczaj.
Pochylił niżej jeszcze głowę i powtórzył kilkakrotnie posepnie i głucho.

— Boga, powiadasz, Boga!

Twarz ukrył w dłoniach i stał tak w milczeniu, Potem opuścił je i czekał,
patrząc w ziemię.

— Tym, którego pani przeklinasz — jam jest — rzekł.

Wrzeska zerwała się wpół i opadła napowrót, nie mając siły podnieść się — i

tylko ręce skurczone wpiły się gorączkowo w poręczę i szyja wyciągnęła się

naprzód. Oczy rozpalone utkwily w Mistrzu, jakby chciały przeniknąć na samo dno

jego duszy.

— Prawda, — rzekła bezdźwięcznym głosem: — to on! Nie kto inny, tylko on! Tak

musiało być: on tu musiał przyjść w tej godzinie! I wiedziałam, że przyjdzie...

Zaledwie wymówiła te słowa, jakaś myśl straszna wstrząsnęła nią i porwała z

miejsca.

— Ale ja ci go nie dam, ja go przed tobą obronię! — krzyknęła.

I rzuciła się do drzwi, zasłaniając je sobą.

Lekarz przypuścił zapewne, że dostała chwilowego obłędu pod wpływem rozpacz.

Wziął ją za obie ręce i próbował odprowadzić. Nie dała się. Jednym ruchem

odrzuciła go w głąb pokoju.

— Nie przystępuj pan do mnie teraz! — zawoła. — Nie wiesz, o co mi chodzi! Nie

oszalałam, ale bronię go, bronić muszę! Pan stój przy nim!

I zwracając się do Zieniewicza, który wciąż stał bez ruchu na środku pokoju,

dodała z wybuchem :

— Nie oddam ci go, szatanie, nie wejdiesz tu!

— Nie, nie wejść, — powtórzył cicho Zieniewicz.

W tej chwili jednak z głębi sypialni ozwał się cichy głos chorego.

— Maryniu!

Na twarzy kobiety wystąpiło rozpaczliwe wahanie.

— Życie moje, zaraz, lecę do ciebie — tylko tu przedtem...

Zrozumiałem ją i z całej siły zacząłem szarpać Zieniewicza.

— Wychodzimy, pani! — zawołałem, ciągnąc go ku schodom,

— a w każdym razie nie

dam mu tam wejść!

Ona przez mgnienie oka stała jeszcze, niepewna, walcząc z sobą.

— Dziękuję — szepnęła — ale...

I naraz, jakby promień przeleciał przez tę biedną twarz, spaloną bólem.

— Klucz, klucz... zapomniałam o nim! Bóg łaskaw!

I w tejże chwili drzwi zatrzasnęły się i klucz w nich się obrócił.

— Chodźmy wreszcie, do kroćset! — huknąłem na mego towarzysza, chwytając go za ramię. — Dość już nas tu było!

Ale on wyrwał mi się z rąk, jak przedtem Wrzeska doktorowi,
i odparł mi

ochrypłym, nieswoim głosem:

— Czekał jeszcze! Czekał końca!

— Zwaryowałeś... Najście takie w domu śmierci! Chodź!

— Nie mogę! Muszę zostać!

To samo wrażenie, które miał przed chwilą doktor, przeszło
teraz na mnie. Nie

ulegało wątpliwości, że mój przyjaciel stracił zmysły.

On też jakby mnie w tem chciał upewnić, powtarzał, stojąc
bez ruchu z głową

spuszczoną na piersi:

— Nie mogę stąd odejść. Muszę tu być, rozumiesz mnie:
muszę!

Nastąpiła chwila milczenia i ciszy. I naraz z poza drzwi
posłyszałem głuchy głos
chorego.

— Maryniu... — szeptał, rżąc. — To on, prawda?

Nastąpiła chwila pauzy; potem pani Marya musiała coś
mówić, czego nie

dosłyszałem i potem znów chory odezwał się:

— Ja wiem, ja czuję, że to on; nie kryj tego przedemną,
Maryniu!

Teraz posłyszałem odpowiedź.

— Więc tak, to on! I cóż z tego? Nie dopuszczę go tu, nie dam
cię jemu! Nie myśl

o tym przeklętym. Zanim ksiądz przyjdzie, chcesz? —
będziemy się modlić razem,

jak dawniej, zaraz po ślubie... Dobrze?

Mówiła do niego pieszczotliwie, jak do dziecka, starając się widocznie o spokój w głosie. A potem zaraz dodała głośniejszym głosem, byśmy mogli słowa jej słyszeć:

— Bo ty nie chcesz tego Zieniewicza widzieć, prawda? I sam wołałeś o księdza przed chwilą?

— Tak, — odparł Wrzeski powolnym głosem

zasypiającego dziecka. — Prawda, ja nie chcę go widzieć... A chcę... Czego to ja właściwie chcę, Maryniu?

— Księdza chciałeś, moje życie drogie, księdza, byśmy z nim razem pomodlili się o twoje zdrowie...

— Tak, księdza... o zdrowie... — powtórzył tym samym sennym głosem i umilkł.

W chwilę później jednak usłyszałem ruch jakiś, jakby szamotanie się. Widocznie musiał się zrywać z łóżka.

— Ależ to nie to... — zawołał z rozpaczliwym drzeniem w głosie. — To nie o zdrowie. Ja umieram!

I zaraz potem, jakby kończąc myśl, czy odpowiadając na stłumiony szept żony:

— Tak, wiem już! Ja umieram i dlatego potrzeba mi księdza... A gdzież ten ksiądz?

I znów po chwili:

— Prędejsz, prędejsz, bo czasu już nie mam... Księdza!

Z ostatniem jego słowem zmieszał się nabrzmiały bólem głos kobiety.

— Zmiłuj się, doktorze! Zostaw go i leć po księdza!

— Lecę — odrzekł doktor.

I otwórzszy drzwi, przeszedł szybko koło nas, jakby nas nie widział.

A równocześnie przez drzwi otwarte doszedł nas cichnący głos naszego Parsifala:

— Nie posyłaj... Napróżno... wołaj Zieniewicza...

— Zieniewicza?! — powtórzyła z przerażeniem pani Marya.

— Tak... On ksiądz... On może... a wobec śmierci.. Głos załamał się i umilkł,

pani Marya nie odpowiadała nic przez chwilę. W szparze drzwi rozchylonych widziałem ją na kolanach przy łożu, osłaniającą męża ramionami.

— Go ty mówisz? — szepnęła wreszcie.

— Mówię, że on... Wołaj go... proś... Wstała i chwiejąc się podeszła do nas,

podnosząc ku Zieniewiczowi zaciśnięte kurczowo dłonie.

— Czy to prawda? — jęknęła. — Czy pan możesz...

Nie było odpowiedzi. Zbliżyła się o krok i pochwyciła jego rękę.

— O, jeśli tak, zrób to! Przebaczę ci wszystko, — moje szczęście, jego życie...

Błogosławić ci będę... Ale pomóż, ratuj, napraw!

On rękę wyrwał i o krok się cofnął.

— Kobieto, wiesz ty, czego żadasz odemnie?! — zawołał.

W głosie jego było zdumienie i przerażenie zarazem, ale zwłaszcza to ostatnie.

— Wiesz ty, co to jest dla mnie? Całej przeszłości mojej się zaprzecć, zdeptać nogami wszystko, co czciłem, co kochałem, dla czego żyłem? Przekreślić całe moje życie?!

— Nie całe, — odrzekła. — Kilka ostatnich lat...

— Jedynych, w których żyłem w świetle i prawdzie...

— A jeśli światło i prawda były w tamtych, poprzednich?

— Nie, nie... fałsz!

— Jeśli fałsz, czemu się przed nim tak bronisz?... Ale mniejsza o to... Nie do dysput czas! Patrz! Oto ten, którego kochałeś, jak mówiono, — ten, który ci oddał serce i poświęcił ci wszystko... On cię przyzywa, on żąda od ciebie ostatniej przysługi — odmówisz-że mu?!

Z drugiego pokoju jęk przytłumiony się rozległ.

— Stanisławie! Przyjdź do mnie! Ratuj!... Pierwszy raz od wszystkich tych lat, w których znałem Mistrza tak blisko, słyszałem wymówione jego chrzestne imię. Giordanem zwaliśmy go i mistrzem, Giordanem też i Zieniewiczem zwała go publiczność. Imienia nie używał nigdy i mało kto o niem wiedział.

— Stanisławie! — powtórzył chory ciszej. — Prędeej... na Boga cię zaklinam!

— Na Boga! — powtórzył głucho Giordano, jak dwukrotnie przedtem.

Ręce zaciśnięte podniósł do czoła i stał tak w milczeniu, —
potem wstrząsnął się
cały: coś, jakby tłumione łkanie uwięzło mu w gardle; zrobił
nerwowy ruch w
stronę chorego, potem znów się cofnął i wyciągniętymi dłońmi
zdawał się coś
niewidzialnego odpychać od siebie w przestrzeń.
— Jego się wyrzec, zaprzec... Jego zdradzić i być mu
Judaszem, jemu, w którym
wcieliło się dla mnie wszelkie Piękno i Światło tej ziemi...

Szeptał bardzo cicho, i ja jeden pewnie słyszałem jego słowa.

Pani Wrzeska

przeczuła je jednak.

— Nie chcesz? Nie chcesz?... Nieszczęsny!?! Cofnął się

jeszcze o krok i stanął w

drzwiach

przedsionka.

— Nie mogę, nie mogę... — jęknął.

Ona nic mu nie odrzekła i stali naprzeciwko siebie, do dwóch

posągów podobni,

pełni bólu i przerażenia oboje.

— Widzisz pani, — zaczął wreszcie cicho Zieniewicz, —

chciałem ci go odebrać,

chciałem odepchnąć od tych drzwi księdza, o którego wołasz,

którego żąda on, mój

ukochany, dziecko mego ducha... I byłbym położył się u

waszego-progu, i byłbym

ciałem własnym, jak ty pani przedemną, bronił mu wstępu.

Pomyśl tylko: tu

chodziło o wytrwanie przy sztandarze, o ochronę jego czci,
całej myśli i treści
jego życia od ostatniego odstępstwa! Byłbym to zrobił, i przy
tem łożu śmierci
rozegrałaby się między nami walka ostatnia — o jego duszę!
— Wiedziałam... — szepnęła kobieta, jakby do siebie.
— Ty ją chciałaś zachować dla twojej myśli i dla twojej wiary
— ja, dla mojej.
Dla ciebie to, w co wierzysz — jest Pięknem i Dobrem, dla
mnie jest niem to, co
sam wyznaję: kto z nas ma słuszność — nie wiem, może nikt z
dwojga, jeno ten
motłoch głupi i płaski, który nie wierzy ani w to, ani w tamto i
śmieje się ze
wszystkiego. Ale ja

wierzę w myśl moją... tak, wierzę w nią jeszcze... Więc
byłbym z tobą walczył
dobrym bojem o niego... Ale oto zobaczyłem ciebie i jego... i
słyszę was... i
waham się i cofam...
Zatrzymał się, jakby słowo jakieś nie chciało mu przejść przez
usta. Wreszcie
wybuchnął.
— Zwyciężyłaś, kobieto! W niedoli twej ciesz się tem
przynajmniej, żeś zgięła
przed sobą jednego z mocnych duchów tej ziemi. Zwyciężyłaś
mnie! Oddaję ci duszę
mego Parsifala, nie stanę już między nim a Bogiem twoim.
Żegnajcie!
Ogniem, miłości i żalu bezdennego pełnem spojrzeniem,
objął nieruchomą postać

umierającego i zwrócił się szybko ku schodom.

— Nie, nie pójdiesz stąd! — rzekła nagle Wrzeska, chwytając go za rękę.

Znów starał się jej wyrwać, ale nie puściła go.

— Kobieto szalona... — rzucił jej. — O czym ci się śni? Nie dość tego, żeś mnie rzuciła do twych stóp?

— Nie, nie dość! Chcę więcej, chcę wszystkiego!

— Szalona!

— Nie, bo cię przejrzałam, choć słaba i nierozumna kobieta ze mnie a tyś mądry, jak Szatan! Przejrzałam cię i czuję, że niema już w tobie wiary twej i pewności prawdy, że owszem, wszystko w tobie rozprzega się i maćci, i że zostając przy nim, nie jedną, ale dwie dusze uratujesz!

Wówczas on ręce przed siebie wyciągnął, jakby słowa jej chciał odegnąć od siebie lub napowrót

w usta jej wtłoczyć, potem odwrócił się od niej i czołem pochylonem w ścianę uderzył.

— Błóżniesz! błóżniesz! — zawołał.

A potem oczy w górę podniósł i krzyk mu się z ust wyrwał, jako temu, który upada w przepaść.

— O Lucifer, o Lucifer... przybywaj! Dreszcz mnie przebiegł. Ale pani Marya nie zadrzała i nie pobladła. Silnym ruchem zerwała sznurek z szyi i mały, złoty

krzyżyk podniosła w górę przed samą twarzą Giordana.
— Precz z tamtym! Pana swego uznaj i uczcij, i znów bądź
Jego sługą!

A w tejże chwili z sypialni doszedł znów cichy głos
Zygmunta:

— Stanisławie! Pośpieszaj do mnie, bo umieram!...

Milczenie mu odpowiedziało i trwało długo.

Na twarzy Zieniewicza malowała się walka, straszniejsza nad
wszystko, co może

myśl ludzka sobie wystawić a pióro opisać. Zdawało się
naprawdę, jakby dwie siły

wrogie wyrywały sobie nawzajem tę duszę, tak potężną i
wspaniałą. Cienie jakieś

tajemnicze okrywały ją, wyciskając na niej piętno posepne
Otchłani i zaraz potem

blaski przelatowały po niej promienne i słoneczne. Szarpał się
więc i rwał,

jakoby w konwulsjach konania, i słowa jakieś nadpoczęte,
niedomówione wybiegały

mu na usta i zamierały na nich, i jęki okropnego bólu, i jakoby
wyzwania harde,

i jakoby błagania pokorne i smutne.

I trwało tak długą chwilę...

Tak wyglądać musiał Irydyon przy Krzyżu Kolosseum w
wyroczonej godzinie.

Wreszcie skończyło się...

Zieniewicz westchnął głęboko, ręce od twarzy odjął,
wyprostował się i głowę

podniósł w górę,

— Idę, — rzekł.

Zdumienie moje było takie, że zapało mi oddech.
Był-że to ten sam człowiek? Czy może przyszło mi być
świadkiem najdziwniejszego
zdarzenia, na jakie patrzyły kiedykolwiek oczy ludzkie:
zamiany momentalnej
jednego człowieka — drugim? Bo przecie ten, który stał w tej
chwili przy
umierającym, to nie był wcale Zieniewicz, którego znałem tak
dobrze i kochałem
tak gorąco, nasz Giordano Bruno, nasz Lucifer! Nie! Ten
człowiek tam, przy
Wrzeskim, zjawiał się niewiadomo skąd: z powietrza, czy z pod
ziemi, dość, że
zjawiał się na miejsce tego, który równie niespodzianie zniknął
nam z oczu. I
wodziłem bezradnie wzrokiem dokoła, szukając, azali się nie
ukrył na chwilę i
nie pojawi się znów ten znikły, ten drogi memu sercu...
Nowy ów człowiek był o lat dziesiątek od naszego Giordana
starszy i twarz mu
okrywała gęsta sieć zmarszczków. Głowę miał schyloną i
jakby wgniecioną między
ramiona, podczas gdy tamten, nasz, trzymał ją podniesioną
wysoko. I oczy były
inne całkiem. Owe otchłanie bez dna, przejmujące dreszczem,
gdy się w głąb ich
rzuciło spojrzenie, —

znikły bez śladu. Owe wulkany, ziejące ogniem i płomienną
lawą — zagasły

zupełnie. Para oczu błękitnych, mgłą zasnutych i bardzo smutnych, patrzyła teraz zamiast nich na chorego, który, mimo osłabienia, doznać musiał podobnego wrażenia.

— Ty... — szepnął głosem, w którym drżało zdziwione zapytanie. — Ty?!

— Nie, nie ja: nie ten przynajmniej, którego znałeś, Zygmuncie! Ten, który był kiedyś, dawno, i powrócił...

Głos jego był poważny i spokojny, choć czuć w nim się dawało tłumione wzruszenie. I ruch, którym przybliżył się do Wrzeskiego i pochylił nad nim, pełen był tego samego namaszczenia i hieratycznego majestatu.

— Zostawcie mnie z nim... — dodał, odwracając się do nas.

— Nim dokończę spowiedzi, może Bóg da, że kapłan z parafii przybędzie z Najświętszym Sakramentem.

»Bóg da!...« Z Najświętszym Sakramentem!...« Z jego ust!... Wyszliśmy. Przez uchylone drzwi widziałem Zieniewicza nachylonego nad Zygmuntem w wymianie słów cichej. Potem wysoka czarna postać podniosła się, wyciągając nad łóżem śmierci błogosławiące, odradzające dłonie...

.....

Kółko »Wolnej Myśli« rozprzęgło się. Nazajutrz po karnawałowej wieczery zastałem

drzwi Zieniewicza zamknięte szczelnie dla wszystkich, nawet dla mnie. Dzień

później dowiedziałem się o jego wyjeździe z miasta i z kraju. Pisano o tem wiele po dziennikach, mówiono jeszcze więcej.

Robiono

przypuszczenia i plotki. Go chwila zjawiał się ktoś z nowiną, ktoś odkrywał

Zieniewicza i tajemnicę jego ucieczki. Naprawdę nie odkrył nikt. Hałas, z

początku ogromny, ucichł, ustępując miejsca innym zajęciom i gadaniom.

Wypląnęły nowe prądy, wysunęli się naprzód nowi ludzie...

»Wolna Myśl«

przerodziła się w akcję polityczną, rewolucyjną. Z teoretyków zaczęto kpić, jak

ze zwykłych burżujów, a na Satanizm ruszać ramionami, jako na resztę

dekadentystycznych zabawek.

Jak inne przed nią — i ta fala życia minęła bez śladu, prawie bez wspomnienia.

I o Giordanie Brunie pamięć zagasła również...

Minęło lat kilka, więcej może.

Były to lata burzy. W takich czasach wichur miota we wszystkie strony ludźmi,

jak liśćmi. Opuściłem kraj i, włócząc się po świecie, straciłem ślad dawnych

znajomych. To też z przyjemnością zobaczyłem znajomą twarz, znalazłszy się w

Zakopanem prosto z Wiednia. Był to Wierszwiłł, ale quantum mutatus ab illo!

Wprawdzie jego płytka i banalna twarz z wyzywającym wyrazem pozostała taką samą, jaką pamiętałem zdawna, ale

strój, układ, wyraz, były zgoła odmienne. Mniejsza, że się postarzał, pomarszczył, posiwiał; — równocześnie z tem nietylko, że spoważniał, ale najwidoczniej pozował na powagę. Ubrany był mimo letniej pory i dawnego zamiłowania do jaskrawych i ekscentrycznych toalet w długi, czarny surdut księżym czy pastorskim krojem i w czarny również kapelusz o szerokich skrzydłach; w ręku niósł obszerną książkę do nabożeństwa z wielkim złotym krzyżem na okładce i takimiż brzegami, z kieszeni wyzierał mu. gruby zwitek papierów, w trąbkę skręcony. Dostrzegłszy mnie, wstał z krzesła i ręce szeroko rozłożył, podnosząc je nieco do góry, jak ksiądz przy Dominus vobiscum! — potem wyciągnął je ku mnie z twarzą pełną czułości i namaszczenia. Nie sympatyzowałem wprawdzie z nim nigdy nad miarę i nie brałem go na seryo, uścisnąłem go jednak serdecznie. — Była to oddawna pierwsza znajoma twarz, którą spotykałem. Siedliśmy obaj przy jego stoliku i rozgadaliśmy się o dawnych znajomych. Przy

każdym prawie nowym nazwisku Wierszwiłł kiwał głową i
wzdychał: istotnie,
niejednego nie dorachowaliśmy się po zawierusze.
Wspomniałem mimochodem o
członkach naszego klubu. Wzmianka ta wywarła na
dziennikarzu najwidoczniej nader
przykre wrażenie. Wyciągnął ręce przed siebie, jakby chcąc
mi przerwać lub przed
czemś się bronie.

— Nie mów mi pan o tem wszystkim! — zawołał tragicznym
tonem. — Nie wznawiaj
bolączki, wstydu... żalu! Chciałbym zapomnieć o tem błocie,
do którego mnie
wciągnęliście!
Miałem ochotę zwrócić jego uwagę, że do tego błota nie ja go
wciągnąłem, ale
właśnie sam przez niego i Czerlańskiego byłem wciągnięty,
dałem jednak pokój i
chciałem zwrócić w innym kierunku rozmowę, kiedy on sam
powrócił do poruszonego
przezemnie tematu, mimo, że się tak przeciw niemu
zastrzegał.
— Orecki tu jest i ta... Boże odpuść!... ta paskudnica
Luftówna także. —
Czerlański na wsi gdzieś się zaszył i siedzi, jak borsuk w
jamie. Berskiemu cały
majątek przepadł podczas fabrycznych zamieszek — wiesz
pan przecie, że miał
wszystko umieszczone w Łodzi? — przytem grożono mu
kilkakrotnie i raz nawet

napadnięto, dość, że staremu rozum się pomieszał i trzeba go było zamknąć.

— A inni?

— Inni? Cóż inni? Stało się z nimi to, co się stać musiało.

Grzesznicy,

bezbożni! Lubrańską zastrzelono podczas jakiejś awantury

ulicznej, Grűnspahn sam

się otruł, gdy go nakryli wraz z trybunałem partyjnym,

któremu przewodniczył.

Kara Boża!

Byłem poczęści tego samego zdania, ale w jego ustach i jego

tonem wymówione

słowa te podrażniły mnie.

Wzruszyłem ramionami.

— Czy to oni jedni!... — mruknąłem.

— Zapewne, zapewne... — pochwycił. — Pełno ofiar i to

najszlachetniejszych,

najzupełniej niewinnych. Ja sam jestem przez te przejścia

zrujnowany. Tam... —

wskazał na północ — nie mam co robić! Rewolucya!

— Rewolucya? — wtrąciłem zdziwiony. — Minęło to przecie

dawno... Spokój

wszędzie.

— Wszędzie? Nie w głowach, panie, nie w sumieniach!

Chaos, kołowrót, trucizna!

Człowiekowi ze zdrowymi zasadami nie dadzą żyć! Wiem o

tem dobrze,

spróbowałem...

Nachylił się do mnie tajemniczo.

— Aż tu mnie śledzą, aż tu we mnie godzą! Pełno ich tu,
pełno!
Nie dopytywałem się Wierszwiłła, kogo tu pełno i kto weń
godzi, bo mnie to w
gruncie rzeczy mało interesowało. On sam zresztą w tej nowej
fazie wydał mi się
jeszcze mniej sympatyczny, niż dawniej. Wtedy przynajmniej
był bardziej sobą.
Zacząłem się żegnać... Na odchodnym dowiedziałem się
jeszcze, że jest
współpracownikiem kilku wysoce zachowawczych
dzienników w Gałycyi i za granicą,
i że pisuje popularne broszurki w tym samym duchu.
— Oto właśnie są — rzekł pośpiesznie, wyjmując ów zwitek z
tylnej kieszeni
surduta i wtykając mi w rękę tuzin naprędce stamtąd
wybranych broszur i listków
ulotnych. Oto są! Te po pięć, te po dziesięć centów, a to —
...o! parę nu-

merów naszego dziennika... doskonały! Wyborne zasady,
prawdziwie zachowawcze!
Obrona podstaw, tronu i ołtarza!
Wymówiłem się: w drodze trudno mi było otrzymywać
dziennik... Później, może...
Naprawdę, wszystko to nie wyglądało sympatycznie.
Kiwnąłem głową i odwróciłem się, zdążając szybkim krokiem
ku drzwiom, żeby raz
skończyć z moim interlokutorem! Ale nie tak to było łatwo.
Pobiegł za mną i
przed drzwiami zastąpił mi drogę.

— Słówko jeszcze... — szepnął mi do ucha, zadyszany.
Próbowałem się bronić pilnym interesem. Daremnie.
— Jedna chwila. Widzę, że pan trwasz w dawnych błędach, w
błuznierstwie!...
— Ależ nie...
— Owszem, owszem, tak! Otóż moje jedno słowo, jedna
prośba: nawróć się!
Szczerze mówiąc, prawie byłem nawrócony. Ten, który w
zaraniu dni moich wydarł
mi wiarę, ten sam stał się narzędziem mimowolnem zwrotu na
inną, wręcz przeciwną
drogę. Trudno mi jednak było przyznawać się do tego przed
patetycznym pajacem,
wzywającym mnie tak uroczyście do nawrócenia w tej
zakopiańskiej kawiarence.
— Daruj pan, — rzekłem — ale chyba nie czas to, ani miejsce
do takich rozmów i
pan sam nie jesteś chyba powołany do takiej roli...

— Każde miejsce dobre dla zrobienia dobrze i każdy do takiej
roli stworzony.
Miałem już dłoń na klamce. Puściłem ją.
— Kto go wie? A nuż ta małpa jest szczerą?... Racyę ma w
tem, co mówi, ani
słowa!
— Skąd pan wiesz, że potrzebuję nawrócenia? — rzekłem
wymijająco. — Czy dlatego,
że nie chciałem kupić pańskich broszurek?
Pokręcił głową.
— Nie wiem nic; — odparł — przypuszczam tylko... A raz
przypuszczając, pragnę

być pomocnym.

— Dziękuję, ale...

— Ale pan obejdiesz się bez tej pomocy? Rozumiem. Racja!

Ale posłuchaj mnie,

odrobina cierpliwości jeszcze! Słuchaj pan: ja nie tobie chcę

być pomocnym...

— Komuż więc?

— Sobie!

— ?

— Tak, sobie! Pan mnie wziąłś za komedyanta, za aferzystę,
bo zmieniłem skórę i

reklamuję zachowawcze pisemka? Nie zapieraj się, wiem,

widzę! Inni mówili mi to

w oczy. Otóż nieprawda. Reklama swoją drogą: to chleb —

ale tamto... Nie, panie:

ja szczerzy! Bo zresztą mówię, że nie robię tego dla pana, ale
dla siebie. A

wiesz pan czemu? Bo mnie strach, blady strach po nocach

budzi, siada na mojem

pośłaniu i dusi gardło, i mrozi krew w żyłach... A wiesz

czemu? wspomnieniem

tego, co było, myślą o tem, co będzie kiedyś, tam... wiesz?

Wstrząsnął się cały. Blady był, w szeroko rozwartych

żrenicach migotało

bezmierne przerażenie, jakie się widzi w oczach szaleńców

lub nagle ze snu

zbudzonych dzieci. Pot wystąpił mu na czoło i zlepił

kosmyki siwiejących włosów

u skroni.

Zbliżył się do mnie całkiem i nachylił do ucha, tak, że czułem
gorący jego
oddech na twarzy.

— Pamiętasz pan? Raj ognia... On mówił o nim — pamiętasz?
Skinąłem głową. Nie byłem wcale zdenerwowany, jak
Wierszwiłł, ani przesądny; —
ale i mnie zrobiło się czegoś zimno w tej chwili.

— Daj pan pokój — rzekłem.

Nie! Ten człowiek nie grał komedyi. Oczywiście — nie!
Patrzyłem na niego teraz innemi oczyma, niż przed chwilą.

Był zawsze blagierem i

pozerem, pozostał nim i dotąd: ale w tej chwili nie blagował i
nie pozował, to

było aż nadto jasne.

Podąłem mu rękę i odsunąłem się z nim na bok, bo zaczęto
zwracać na nas uwagę.

— Uspokój się pan... — szepnąłem ze współczuciem.

— Gdybym tylko mógł! Ale na to — trzebaby zapomnieć! A
ja nie mogę i... boję
się! I dlatego chciałbym naprawić, chciałbym... czemś
dobrem...

Urwał. Głos mu grzął w gardle.

— Uspokój się! — powtórzyłem i wyprowadziłem go na
świeże powietrze.

Wobec rozdrażnienia Wierszwiłła wstrzymałem

pytanie, cisnące mi się na usta. Byłoby zresztą daremne: co on
mógł wiedzieć o

Giordanie Brunie? A jednak pytanie to nurtowało we mnie i
żarło mi mózg. Ten

człowiek, tak dziś odemnie daleki, on przecie dotąd jeszcze w
kleszczach swych

trzymał mi duszę. Co mnie obchodzili tamci? O niego mi
chodziło jednego...

Ale co o nim mógł więcej wiedzieć Wierszwił odemnie?
Zapewne. Jeśli jednak...

Nie wytrzymałem. Spotkawszy nazajutrz dziennikarza,
wygrzewającego się w słońcu

na Chramcówkach, przywitałem go pytaniem:

— Nie słyszał pan czegoś o Zieniewiczu?

Jakby piorun uderzył obok niego, tak się przeraził. Odskoczył,
jak oparzony,
dygocąc.

— Cicho! Na Boga! Nie wymawiaj pan tego nazwiska! Nie
wywlekaj tej piekielnej
mary!

— Nie wywlekam. Chciałem tylko wiedzieć, co z nim się
stało, bo wtedy znikł tak
nagle...

— I dobrze, i dzięki Bogu, że znikł. To nas przecie
rozproszyło, to był kres tej
szatańskiej farsie.

— I ja nie uważam wcale »Wolnej Myśli« za jasny punkt
naszego życia, a
pojedynczymi epizodami brzydzę się niemniej od pana: nie
przeszkadza mi to
pragnąć wieści o losach człowieka, który wywarł duży wpływ
na moje życie.

— Zły wpływ!

— Nie przeczę, wywarł jednak.

Wierszwiłł ruszył ramionami i zwrócił rozmowę na inny temat.

W Zakopanem wyżyć dziś trudno. Jaskinia rewolucyjnych bandytów! Co krok —

anarchista! Te wiece — zgroza! A feministki!

Było w tem trochę prawdy, ale swoim zwyczajem prawdę tę podawał na niesmacznym

półmisku. Spróbowałem mu przerwać, zapytując o wycieczki w góry.

Zamachał rękami.

— Chcesz pan? Jutro, zaraz! Wybierzemy się zaprowadzę pana...

— Ależ dokąd?

— Zobaczysz pan! Doskonała myśl! Jeśli to pana nie nawróci...

— Ależ ja wcale nie potrzebuję się nawracać!

— Właśnie dlatego! Właśnie dlatego!

— Cóż to jest jednak?

— Co? Obaczysz pan. Kawalek wieków średnich! Goś, co kruszy serce, choćby

najtwardsze! Coś, co działa silniej od stu kazań!

— Ależ u licha, cóż to jest wkońcu?

— Nie powiem więcej ani słowa: sam obaczysz! No, jedziemy, czy nie?

Był tak zabawnym z tą swoją tajemniczością i z tą manią nawracania mnie, jakbym

był dotąd jeszcze członkiem »Wolnej Myśli«, a z drugiej strony silna wola tak

zawsze suggestyonuje, że śmiejąc się i ruszając ramionami — przystałem.

Chwycił mnie uradowany w ramiona i nim miałem czas
zaprotestować, — uściskał.

— Nie uwierzysz pan, jak się cieszę! — wołał. — Jeżeli to na
ciebie nie
podziała, to już niema ratunku.

— Kiedyż bo ja powiadam panu, że ja już sam się
wyratowałem.

— No, no, już dobrze! Jutro o ósmej zachodzę po pana i
jazda!

Pojechaliśmy w stronę Kuźnic i dotarliśmy aż do drewnianego
klasztorku

Tercyarzy, przytulonego do drewnianej kapliczki wśród leśnej
gęstwiny i ciszy,
zupełnie, jak średniowieczna pustelnia. Domyślałem się, że to
była

niespodzianka, którą mi gotował mój towarzysz.

Istotnie wózek nasz zatrzymał się; — dalej szła pod górę
ścieżka, tylko dla
pieszych dostępna.

Wysiedliśmy. Skręciłem do wrót zagrody, okalającej
klasztorek.

Wierszwił wstrzymał mnie za rękaw.

— Nie tędy! — rzekł. — W górę!... To jeszcze spory kawał
drogi. Dlategośmy tu
podjechali, żeby nóg oszczędzić na naszą wyprawę, bo ciężka.
Była istotnie ciężka. Drapaliśmy się pod górę lasem, potem
wydostaliśmy się na
jakiś grzbiet skalny i znowu spuściliśmy się w wąwóz
zupełnie już dziki. Wśród
złomów porośniętych kosodrzewiną było tam coś w rodzaju
ścieżki, ale raczej dla
dzikich kóz, niż dla ludzi. Szliśmy długo, odpoczy-

wając potrochu, dysząc ciężko i ocierając pot z czoła.

Chłopak, który nas

przywiózł, zostawił konie przy klasztoru a sam piął się o sto kroków przed

nami, wskazując drogę i zachęcając do pośpiechu.

— Ale dokądże idziemy, u stu kaduków? — pytałem raz po raz, coraz bardziej

zniecierpliwiony.

Wierszwił odpowiadał mi, kładąc palec na usta.

— Nie klnij... — upominał mnie! — Nie godzi się. Pożałujesz, gdy zobaczysz.

— Co?

Kiwał głową w milczeniu i uśmiechał się tajemniczo.

Byłem zupełnie zły. Ta wycieczka po skałach, czasem na czworakach i z chwytniem

się o ostre krzaki, żeby się ratować od koziołka w dół, wcale głęboki, nie miała

w sobie nic uroczego, zwłaszcza, że dzień był dość upalny, a wąwóz wcale nie

malowniczy i bez widoku. Próbowałem huknąć na górala, żeby się coś u niego

dopytać, ale wbrew regule chłopak był zupełnie głupi i albo nie odpowiadał nic,

albo pokazywał mi zęby, białe, jak u wilczka, i rzucał w odpowiedzi:

— Adyc sami wiedzą!

Zapewniałem go, że nic nie wiem i że chcę wiedzieć, ale on to brał widocznie za

kpiny i przekomarzanie się z nim i biegł dalej naprzód, skacząc z kamienia na

kamień i pohukując na nas, byśmy śpieszyli, bo późno już.

Opadłem zupełnie z sił i Wierszwiłł ustawał już widocznie;
kiedy naraz chłopak

przystanął, zrzucił szybkim ruchem kapelusz z głowy i
wyciągając rękę przed

siebie, rzekł nam przyciszonym głosem, jakby z obawą:

— No, to tu jest...

— Co jest?! — zakrzyknąłem, rozdrażniony do najwyższego
stopnia znużeniem i
ciekawością.

Ale mój towarzysz zatkał mi usta ręką.

— Ciszej, na Boga, bo go spłoszysz! — szepnął.

— Kogo?

— Jego...

Zrozumiałem, że pytania nie doprowadzą do niczego i trzeba
samemu się starać o

wynalezienie klucza zagadki. Zacząłem więc rozglądać się
dookoła z ciekawością i

uwagą, szukając tego, co nam wskazywał przewodnik.

Ale wkoło nas szarzały jeno jeden nad drugim okryte
żółtawymi mchami głązy, a

między nimi tu i ówdzie wyzierała zielona limba. W górze
stało południowe

słońce, sypiąc żarem i lśnił, zasnuty lekko rojem wełnistych
obłoczków, błękit

nieba.

Więcej nic. Nic zgoła.

Mimowoli znów spojrzełem na Wierszwiłła. On także stał bez
czapki i ręką

wskazywał w tę samą stronę, co chłopak.

— Tam, tam... — szeptał mi. — Ale pocichu, ostrożnie!
Zrobiłem kilka kroków naprzód i teraz dopiero dostrzegłem
niezauważoną przedtem
szczelinę za

ogromnym załomem skały. W czarnej głębi, rozwartej na
szerokość człowieka, coś
jakby majaczyło.

— Klęczy, jak zawsze... — szepnął Wierszwiłł. —
Poczekajmy chwilę, aż wyjdzie na
brzeg jaskini, ale nie ruszajmy się i nie podnośmy głosu, bo
zauważy i nie
pokaże się.

Nie pytałem już więcej, zrażony dotychczasowem
niepowodzeniem; ale mój towarzysz
uznał widocznie, że nadeszła już właściwa chwila dla
zaspokojenia mojej
ciekawości i zaczął szeptać, dotykając mi ustami ucha.

— Siódmy rok już nie wychodzi z tej pieczary, oprócz tylko w
niedziele na Mszę
św. do Tercyarzy. Pustelnik! Jak przed tysiącem lat! Nikt nie
wie, skąd przybył,
ani kim był dawniej. Zjawił się tu naraz i pozostał. Żyje latem
korzonkami, zimą
kawałem suchara. Ludzie uważają go za świętego i znoszą mu
żywność, ale on to
oddaje Tercyarzom z klasztoru. Jednym słowem — święty!...
Gdyby nie tak trudny
dostęp, szłyby tu procesyje... Ale mało kto go ujrzy. Nie
wychodzi przed skałę,
gdy głos ludzki posłyszcy. Trzeba bardzo cicho i ostrożnie...

Urwał nagle. Przewodnik pociągnął go naraz silnie za rękaw.
— Cichajcie-no! — szepnął mu bardzo cicho. W szczelinie
pokazał się człowiek.

Wysoki był, wyschły jak skóra kordubańska, zczerniały i
zawiędły, jakby go od
lat wielu tłukły

bez spocznienia wichry halne. Powłóczyta szara opończa ze
zgrzebnego płótna
zwiśla mu do kostek. Nogi miał bose; w wychudłych palcach,
żółtych jak wosk,
przesuwał drewniane paciorki. Dokoła łysej czaszki bieleło
kilka kosmyków siwego
włosa i długa zmierzwiona broda spuszczała mu się aż na
piersi. Z pod brwi
krzaczastych i głębokich oczodołów, jakby z głębi jakiej
czarnej otchłani,
świeciły mu oczy, niby dwa świetlne punkty, dwie iskry,
żarzące się w nocnej
ciemnicy: tak przy trupie żarzy się w żałobnej izbie kaganek.
I sam on, ten bardzo stary człowiek ze zmartwiałą twarzą i
niedogasłymi oczyma,
zdawał się trupem, na chwilę tylko wyjętym ze skalnego
grobu i wystawionym na
światło dzienne, by postacią swą mówił: Memento mori!
Wszystko w nim było
trupie: oczy tylko żyły jeszcze...
I oto podniósł je i leniwo, sennie puścił wzrok przed siebie,
wzrok cichy,
ukojony już, jasny, jakim patrzą ze starych fresków z trecento
patryarchowie

biblijni i święci nowego zakonu.
Oczy te... Czy ja je widziałem kiedy? Nie! Tych nie widziałem
nigdy! Nie, to nie
były oczy Giordana Bruno, te oczy zamglone i spłowiałe, ale
spokojne i
zapatrzone w niebiosy. Takich oczu on, nasz Lucifer, nie miał
nigdy, nigdy —
przynajmniej odkąd go znałem! A jednak to był on, on sam!
Poznałem go! Zbyt
silnie zespoliła się z nim moja dusza, żebym go nie miał
poznać. Poznałem go i
wyciągnąłem ku niemu dłonie.

— Ty, ty, Mistrzu mój!... — zawołałem.
Głos mi się załamał, przerażony własnym dźwiękiem.
Mogłem zwracać się ku niemu
słowem tem na tem miejscu, w tej chwili? Nie byłóż-to
straszliwe urągawisko
przypominać to, co mu dziś stało się zakałą, i wyrzutem, i
pokutniczem
brzemieniem? Nie byłóż to prawie świętokradztwem?
Zmilkłem, i nic już nie znalazłem w myśli i na uściech, by mu
rzec, i trwałem
jeno z wyciągniętymi ku niemu dłońmi, z wlepionymi weń
oczyma.
A on tak wyglądał przez chwilę, jakby nie zdawał sobie
sprawy z tego, co działo
się koło niego: Nadto znać odwykł od obcowania z ludźmi;
wnet jednak przyszedł
do siebie, spojrział na mnie i poznał...

Wtedy oblicze jego, martwe i wypęzłe z barwy wszelkiej i
życia, okryło się
nagle kredową białością. Zbielały mu nawet wargi i zatrzęsły
się usta. Stał
przez minutę, wpatrzony we mnie osłupiałym wzrokiem,
potem zrobił krok naprzód,
jakby chciał zbliżyć się ku nam. i zaraz cofnął się wstecz,
drżąc na całym
ciele, jakby nagłym ogarnięty dreszczem. Po chwili uspokoił
się, pochylił głowę
nizko, wielki znak krzyża położył sobie na czole i ramionach,
drugi krzyż
zakreślił w powietrzu i obróciwszy się zwolna, zniknął w
szczelinie skalnej, z
której wyszedł.

Zakopane, Koleba, marzec .
Warszawa, luty r.

GWIAZDKA W BAEDECKERZE

Ze wspomnień Szwajcaryi

I.

Wieczór zapadał powoli, słońce skryło się już poza stromy,
śnieżny szczyt
Glishornu i granitowe skały, piętrzące się po obu stronach
miasteczka, rzucały

na wąską dolinę długie, czarne cienie. Ale niebo było jeszcze
zupełnie jasne,
zalane ciepłym błękitem, a poza ciemnymi szczytami
przezierały inne, dalsze,
całe liliowe, kąpiące się w złocistej łunie lub lśniące
srebrnymi płatami
lodowców. Na dole, w głębi doliny szarzały, zacierając się
coraz to bardziej w
mgłę wieczornej, kościelne wieżyce i zamkowe baszty starego
Brig. Ze stoków gór,
z łąk pozawieszanych wśród skał zielonemi smugami,
dochodził odgłos dzwonków,
szczekanie psów i głuchy ryk bydła.
Wąską ścieżynką, wijącą się równoległe z gościńcem
pocztowym do Simplonu, ale
wysoko w górze ponad skałami przydrożnymi, biegła szybko i
śmiało, nie zważając
na przepaście, skacząc jak sarna ze skały na skałę młoda
dziewczyna z koszykiem
w rękę i piosenką na ustach. W koszyku były poziomki
czerwone jak krew i śnieżne
szarotki z alm; piosenka alpejska, w tym schwyzer-

tüstch, którego żaden Niemiec nie rozumie, ani potrafi
wymówić, brzmiała coraz
głośniejsz i śmielej, aż rozległa się wesołym jodlerem, czysta i
dźwięczna, jak
srebro, odbijając się o skały tysiącem ech.
Dziewczyna była hoża i świeża, jak owoce i kwiaty wśród
Alp, a chociaż strojem

nie odróżniała się od wieśniaczek, idących gościńcem, było w
świeżości i w kroju
jej czarnej spódniczki i jej aksamitnego gorseciku i w
starannem ułożeniu włosów
i w pełnych wdzięku ruchach coś, co pozwalało w niej
odgadnąć Fräulein przebraną
tylko za Mädchen.

Z poza olbrzymiego odłamu granitu, poza którym ginał
skręcający się gościniec,
dał się słyszeć wtór. Pełny baryton, także młodzieńczy i
świeży, podchwycił
pieśń dziewczęcia i rzucał w dolinę garść za garścią kaskadę
tych dziwnych
gardlanych tonów, które są charakterystyczną cechą
szwajcarskich i tyrolskich
jodlerów. Przez chwilę śpiewali razem, naraz dziewczyna
urwała i zwolniła kroku.
— Pierluigi — szepnęła.

Od strony doliny na zakręcie pokazał się obszerny,
czterokonny powóz, z kilku
kufkami, ale bez podróżnych. Na koźle siedział chłopak
dwudziestoletni, śmiały i
smukły, jak bronzowi młodzieńcy Donatella. Profil delikatny i
klasycznie
zarysowany zdradzał w nim krew włoską niemniej jak
płomienisty blask czarnych,
aksamitnych oczu.

Zrównawszy się z dziewczyną, zeskoczył szybko i ścisnął jej
rękę.

— Dobry wieczór, Gretli — rzekł do niej, ogarniając ją ciepłym wejrzeniem — nie odprowadzisz mnie kawałek?
Dziewczyna potrząsnęła głową, milcząc.
— Tylko do kapliczki przy wąwozie. Bliziotko — kamieniem rzucić... Nie? — Gretli wysunęła rękę z jego dłoni i westchnęła zcicha.
— Wiesz przecie, Pierluigi — szepnęła — ojciec zakazał surowo, nie godzi się.
— Któż się dowie? — nalegał miękkiem głosem, patrząc wciąż na nią swemi wielkimi, proszącymi oczyma.
— Nie godzi się — powtórzyła. — Grzech ci prosić nawet. Sambyś za mnie się wstydził.
Chłopak odstąpił i oczy spuścił w ziemię.
— Tak bo mi już tęskno za tobą, Gretli, tak tęskno! Ani wypowiedzieć potrafię.
Pomyśl tylko: ile to już czasu, jak słowa z tobą zamienić nie mogłem, ani cię posłyszeć. Z miesiąc pewno albo i więcej. I to w takiej małej dziurze, jak Brig mieszkać, prawie dom przy domu i tak żyć, jakbym ja był tu, a ty w Wenecyi przynajmniej. Tyle mego, co cię w niedzielę zdaleka na Mszy zobaczę.
— Tej niedzieli nie było ciebie w kościele? — szepnęła dziewczyna, spuściwszy głowę i bawiąc się sznurami gorsetu.
— Ojciec do Werony mnie posyłał. Gonia mnie teraz po świecie bez ustanku. —
Przewietrz się, lu-

dzi zobacz, ucz się! — mówi. — A ja wiem, że mu o co innego chodzi.

— Pewnie, że o co innego — szepnęła Gretli, nie podnosząc oczu.

— Ot i teraz, konie musiały pójść na noc do Berisal dla tych Anglików, wiesz,

którzy u nas nocowali przedwczoraj, a potem piechotą tam poszli i jutro przez

Simplon jadą do Domo d'Ossola. Vangelista miał powozić, naraz ojciec mnie woła i

każe siadać. Tamten potrzebny w domu, czas piękny, przejeżdż się też. No, ale tym

razem dobrze się stało, przynajmniej chwilkę jestem z tobą i tak

niespodziewanie. Co, nieprawda, Gretli?

Chciał ją wziąć za rękę, ona usunęła się i oparła o granitową skałę.

— Co to za nieszczęście z tą kłótnią pomiędzy ojcami, co za nieszczęście! —

rzekła, patrząc w smutnem zamyśleniu na ciemniejącą głąb doliny. Chłopak rzucił

kapelusz o ziemię. Oczy mu zabłyśły silniej, jak u drapieżnego ptaka.

— To nie nieszczęście! — zawołał gniewnie — to przekleństwo! Pomyśleć tylko, że

tyle lat żyli obok siebie w zgodzie, w spokoju...

Dziewczyna uśmiechnęła się.

— Nie bardzo i nie zawsze — wtrąciła.

— No, zachciałaś — Włoch z niemieckim Szwajcarem.

Oberzysta z oberżystą! Pewnie,

że nie bardzo. Wygadywali na siebie, odmawiali sobie nawzajem podróżnych i służbę...

— Wasz omnibus gości do nas zamówionych zabierał.

— A tak, tak... Twój ojciec potem mało laski nie połamał na plecach Tolomea. Ale cóż to znaczyło! Sąsiedzkie nieporozumienia zwyczajne. Za to, jeżeli latem się kłócili, zimą była zgoda między starymi, i nam wolno było żyć w zgodzie.

— Widywaliśmy się wtedy tak często...

— Codziennie. I nikt nam nie przeszkadzał. Przeciwnie.

Pamiętasz, jak starzy

mrugali do siebie, patrząc na nas, jak nam mówili: bawcie się, bawcie, dzieci, w

sam raz z was para będzie. Pamiętasz?

Przechylał się, chcąc jej w oczy spojrzeć, ona się odsunęła na bok, czerwiejsza

od różyczek alpejskich i poziomek w jej koszyku.

— Ej, tego nie pamiętam — odparła, odwracając głowę. —

Chyba... może kiedy w

zimie — dodała z uśmiechem.

— A w zimie oczywiście, kiedy gości nie było. Ktoby o nas myślał w lecie. Ej,

jakie to dobre lata były. A teraz...

— A w szkole, pamiętasz, Pierluigi — zaczęła Gretli — tę zezowatą Liesli, która

zawsze mizdrzyła się do ciebie, a teraz, słyszę, za męża poszła do Airolo.

Chłopak zaśmiał się.

— Miałbym nie pamiętać? Nie wyczubiłem to jej, kiedy ciebie zaczęła przezywać?

— A jakieś to mnie obronił przed tym drağa-

lem, tym rudym Hansli, który mnie bił i szczypał, ile razy ciebie nie było?

— Dostał odemnie za swoje wtedy. Ale ja, jakem to za ciebie oberwał, pamiętasz,

kiedyś to szybę w szkole rozbiła kulką ze śniegu?

— Poczciwy Pierluigi — a ty na siebie wzięłeś winę, żeby mnie ochronić. A

magister ciężką miał rękę.

— Oj, ciężką! wiem coś o tem. Ale teraz nic, przypomnieć miło. Bodajby jeszcze

trwały te szkolne czasy!

— Pewnie — rzekła dziewczyna. — Teraz z tą nieszczęsną kłótnią wszystko

przepadło, skończyło się.

— Świat cały zbrzydł, słońce już nie świeci, jak dawniej — mruknał posepnie

chłopak.

Szli obok siebie gościńcem, stromo podnoszącym się w górę i wijącym dokoła niej

serpentyną.

Pierluigi z lekka tylko pokrzykiwał na tłuste i rosłe konie,

Gretli towarzyszyła

mu, zapomniawszy o uczynionej na początku spotkania odmowie.

— I z czego to właściwie poszło między nimi? — spytała po chwili milczenia.

— Z czego? A z czegoż, jeśli nie z tego przeklętego Baedeckera?

— Więc naprawdę z Baedeckera? Myślałam, że to żart.

— Dobry żart, kiedy chodziło o gwiazdkę!

— A prawda, że to nasza »Post« miała przedtem gwiazdkę, a potem straciła ją w nowem wy-

daniu, twój ojciec zaś ją dostał. Ale jak to się stało, tego nie wiem.

— Ja wiem. Wasza oberża była od ludzkiej pamięci pierwszą w Brig i naprawdę jedyną, bo ktoby tam »Złotego Jelenia« i »Czarnego Niedźwiedzia« i tę dychawiczną »Koronę« brał w rachubę. Aż oto przyszedł mój ojciec, »Koronę« kupił od starego Staendla i zrobił z niej swój »Hotel de Londres«. Ty mała byłaś, nie pamiętasz, ale ja wyrostkiem będąc, widziałem, co to za gwałt powstał w Brig, kiedy zobaczyli ten hotel nowoczesny, elegancki, z ogrodem, czytelnią, łaźnią, stajniami — jednym słowem tak, jak w Loueche, albo nad Jeziorami.

— Pamiętam i ja, jak ojciec kłął na to, a matka płakała, że wszyscy goście do was pójdą.

— Poszliby — rzekł chłopak, podnosząc głowę — ale na nieszczęście mój stary za prędko chciał wrócić do wyłożonego grosza. Słyszałaś. Brał za drogo, czasem

skusił się dać coś tańszego i gorszego do kuchni. Anglicy, jak wiesz, domyślni, a uważają dobrze.

— Oj, pewnie, że tak — wtrąciła z przekonaniem dziewczyna.

— Otóż widzisz. Więc też z początku rzucili się hurmem, a w następne lato znów

więcej było w »Post«, niż u nas. I choć już ojciec starał się — nie szło. U nas

jeden Anglik, u was sześciu. Doszło już do strat, nawet, wiem to dobrze, do

długów.

— Aż tak? Ktoby to dziś po signorze Gianantonio przypuścił!

— Tak było jednak. Aż wreszcie ojciec wziął się na sposób — i to wiesz jaki?

Miała wychodzić nowa edycja »Baedekera« i to

równocześnie z niemieckim, po

angielsku i po francusku. Ojciec dowiedział się o tem i jak

zaczął się kręcić,

pytać, płacić, tak wynalazł korespondenta, wiesz, takiego, co pisze do

»Baedekera« i donosi o hotelach. Był to jakiś stary Niemiec.

Ojciec jak go

zaczął okarmiać, opajać i za trzecią część ceny rachunki

dawać, przytem zaś jak

mu zaczął gadać o »Post« i malować Sebastjana Stuerli, jej właściciela, jak to

rozumiesz w rzemiośle się dzieje, tak Herr Doctor

czempredzej pchnął do Lipska

czy Berlina zawiadomienie, że w Brig jest »Hôtel de

Londres«, »vorzuglich und

nicht theuer«, a hotelowi »Post« gwiazdkę skreślił. A w
innych wydaniach
zrobiono to samo.

— I dzięki temu od następnego lata wszyscy rzucili się do
was, wszystkie grube
ryby angielskie; u nas zostało tylko trochę niedobitków.

— A tak, i dzięki temu także twój ojciec zazał się tak na
mego, że kilka razy
mało co do bójki i procesu nie przyszło, a nam zabronili
zbliżać się do siebie.

— Niestety!

— Mnie tam jeszcze mniejsza. Przemierzył mi raz kijem plecy
mój stary, widząc,
jak się za tobą oglądam, niechby przemierzył i drugi. Co tam!

Kości mam twarde. Ale z tobą gorzej. I nie puszczą cię, i sama
nie chcesz
wybiegnąć.

— Pewnie, że nie — rzekła smutno. — Od czegoż byłam u
sióstr i słucham
katechizmu co niedziela.

— Zapewne, zapewne, ale niemniej to sekatura. I jaka! I co tu
począć, co zrobić?

— Czekać — rzekła Gretli poważnie. — Czekać i Bogu to
ofiarować. Widzisz,
zaczęłam nowennę do błogosławionego Mikołaja z Fluë na tę
intencję. Obiecałam
votum. Zrób to i ty. Zrobisz?

Chłopak nie bardzo zdawał się przekonany.

— Zrobię, zrobię — odparł niechętnie. — Obiecałem już
funtową świecę i srebrne

serce Madonnie z Campiglio, wiesz, tam, gdzie ojczyzna
mego starego. Ale niechże
pomaga prędzej, niech pomaga, bo...

Dziewczyna przerwała mu:

— Cicho, bo jakieś głupstwo powiesz. Ja mam przeczucie, że
będzie lepiej, tylko
bądź dobrej myśli. Zgoda? A nosisz ty medalik, który ci dałam
przy ostatnim
widzeniu?

Pierluigi wyjął srebrny obrazek, pokazał go, i pocałowałszy,
skrył za koszulę.

— Dobrze, chwała Bogu i coraggio, tak u was mówią,
prawda? I do widzenia, czas
na mnie. Grüss dich Gott, Pierluigi! Bądź zdrow!

— Kiedyż się zobaczymy?

— Nie wiem, jak Bóg da — odparła, wrywa-

jąc się zatrzymującemu ją chłopcu i zbiegając szybko ku
dolinie.

— Do ciotki Purgi nie zajdziesz kiedy?

— Może, wieczorkiem... zobaczę. Ty kiedy wracasz?

— Za dwa dni. Może w Domo kogo złapię do powrotnej
drogi. Addio, cara!

W szarej mgle zapadającego mroku sylwetka odchodzącej
dziewczyny ginęła,

zlewając się z niewyraźnymi konturami skał i nadbrzeżnych
krzewów. Zrobiło się

ciemno zupełnie — tylko białym wężykiem świecił zdała
wijący się ku miastu

gościniec i bardzo daleko w dole migają światelka w Brig i w
okolicznych

fermach. Wśród szczytów górskich, wysoko, podnosił się
księżyc czerwonawy, mgłą
lekką zasnutą.

Pierluigi stał przez chwilę w milczeniu, patrząc w stronę,
gdzie zniknęła

Gretli.

— Cara mia, carina! — powtórzył miękko i cicho.

II.

W swojej aksamitnej czapeczce z czerwonym kutasem, z
połyskującymi białością,

odwiniętymi wysoko w górę rękawami koszuli, z

pierścieniami złotymi na okrągłych

palcach i złotymi brelokami przy złotym łańcuchu na

wypukłym żołądku Sebastyan

Stuerli, właściciel hotelu »Zur Post« mógł być przez długie
lata mówić, że życie

jest piękne

wogóle, a szczególnie szczęśliwe jest życie oberżysty.

Ale on tego nie mówił nigdy.

Od wczesnego rana do późnej nocy twarz ogromna, doskonale
okrągła i mocno

czerwona świeciła, jak wschodzący księżyc w pełni, w

kuchniach, spiżarniach,

dzieńcicach i salach oberży — i od wczesnego ranka do
późnej nocy słyhać było

tubalny głos, rozlegający się naprzemian z rozkazami, z
przekleństwem i ze

skargą na los nieszczęśliwy.

I dyabeł, i pioruny, i piekło — i, ze wstydem wyznać to
należy, mówiąc zwłaszcza
o tak dobrym katoliku i członku kongregacji miłosierdzia,
jakim był pan
Sebastyan — i Niebo wraz z różnymi rzeczami świętymi i
szanownymi wzywane były
po kolei przez oberżystę z »Post« na świadków, że go Bóg
zapomina, a ludzie
krzywdzą na wszystkie strony, że klęski i straty sypią się na
niego zewsząd, jak
z rękawa, że mu oddawna i nieomylnie grozi bankructwo,
ruina, kij żebraczy i
śmierć głodowa i summa summarum od stworzenia świata aż
do tej chwili nie było i
niema nieszczęśliwszego i bardziej prześladowanego
człowieka pod słońcem i
drugiego do końca świata nie będzie.
Tymczasem jednak co roku przybywało pierścionków i
breloków, co roku trzeba było
rozszerzać kamizelki codzienne i świąteczne surduty pana
Sebastyana, co wiosna
cieśle stukali młotami, dobudowując nowe przystawki do
obszernego budynku

oberży i notaryusz zacierał ręce po nowym kontrakcie, którego
mocą kawał pola,
łąki, ogrodu przechodził w ręce nieszczęśliwego oberżysty.
— To tylko, żeby dogodzić tym biednym ludziom,
potrzebującym pieniędzy — mawiał
Stuerli — pożyczylem, a kupilem, byle cenę porządną dostali,
takie to już u mnie

miękkie serce.

Wprawdzie zdarzało się tak dziwnie, że za ten sam kawałek
ziemi na drugi rok

ofiarowywano p. Sebastyanowi trzy i cztery razy tyle, ale to
już musiała być

zasługa jego umiejętnej kultury.

Bąkali też ludzie ciekawe rzeczy o pewnej żelaznej skrytce w
grubym murze jego

sypialni, przy szklance wina w zimowe świąteczne wieczory
prześladowali tą

skrytką sąsiedzi p. Sebastyana, on jednak odżegnywał się od
tego i tem

głośniejsze rozwodził żale nad swoim uciskiem, nędzą i
grożącą ruiną.

Tylko, kiedy czasem stary Klaus Bürkler, jego przyjaciel od
młodości i kolega w

magistracie miasta Brig, przypominał mu czasy wspólnej
służby przy oberży pod

»Łabędziem« w Lucernie, pan Sebastyan uśmiechał się,
rozszerzając grube wargi aż

do uszu, nadymając policzki i mrugając lewym okiem, jak to
zwykł czynić, kiedy

był w dobrym humorze.

— Zrobiło się coś od tego czasu, kuzynie Klausie, zrobiło —
mówił półgłosem,

klepiąc go po ramieniu — nie straciło się lat. Jest trochę tam
— i mówiąc,

pokazywał przez okno na łąki

i pola — będzie coś i tutaj — dodawał ciszej, zwracając palec
w stronę sypialni.

— Bogu dziękować, Sebastyan Stuerli nie był próżniakiem, a jak kiedy umrze, wtedy dopiero pokaże się... Cha, cha, cha!... Moja stara Rieke będzie miała czem oczy obetrzeć, a Gretli — męża kupić. Naprawdę Gretli i za życia ojca nie potrzebowała męża kupować. Wiedzieli przecie wszyscy, że była jedynaczką jednego z najbogatszych, jeżeli nie najbogatszego mieszczanina w Brig, a chyba ślepy przeczyłby temu, że nawet bez grosza posagu dziewczyna znalazłaby męża. Była najładniejszą w Brig — i kiedy w niedzielę szła przy boku sapiącego ojca do kościoła, niosąc jego książkę ze srebrną klamrą i wielki kokosowy różaniec, ku ławie Stuerlego, pierwszej przy ołtarzu, zwracały się oczy wszystkich, młodych i starych. Kiedy przed ośmiu laty rozeszła się po Brig pogłoska, że jakieś czarne Włoszysko z Tesny czy z Werony dobija targu z Künzlem o jego »Koronę«, całkiem opuszczoną, starą i brudną oberżę prawie poza miasteczkiem, pan Sebastyan machnął na to ręką z lekceważeniem. — A niech tam! — rzekł obojętnie. Zanadto miał wyrobioną opinię i klientelę, aby się obawiać konkurencyi i to włoskiej. Połowę oberżystów we Włoszech stanowią przecie Szwajcarzy; mieliżby się obawiać Włochów na własnych śmieciach? Ale signor Gianantonio Catellini nie był jednym

z tych lekkomyślnych, a zawsze wesołych dzieci zatoki
Neapolitańskiej, bawiących
się błahostką, a nie dbających o jutro. I kiedy go właściciel
pocztowego hotelu
zobaczył przy robocie, niezmordowanego w reklamie, w
łapaniu i zachęcaniu
podróżnych, w podnoszeniu wartości, a zwłaszcza
zewnątrznego wyglądu swego
hotelu, wówczas po raz pierwszy bodaj zaczął kłąć i niepokoić
się naprawdę.

Szczyściem dla niego, spekulacya w części przynajmniej
zawiodła. Chciwość włoska
przemogła rozsądną rachubę — i odstręczyła podróżnych. W
każdym razie »Post« nie
straciła nic, a patrząc na próżne omnibusy, wracające do niej z
kolei podczas
najgorętszego sezonu, pan Sebastyan zaczął sobie
kombinować, że byłby to przecie
łakomy kąsek do schwycenia i że może... przecie... jakoś... A
właśnie ogrody
»Hotel de Londres« łączyły się z jego łąkami, a te ostatnie
przytykały do
obejścia »Post«.

I wtedy to ojciec Stuerli zauważył, że chłopak Gianantonia
chodził do szkoły
razem z Gretli, od której o kilka lat był starszy, i że choć ein
Welscher, był,
mniejsza że ładny, ale zdrów i silny, jak każdy inny góral z
kantonu Wallis.

Tego samego dnia stary Stuerli pod pierwszym lepszym
pretekstem znalazł się u

swego włoskiego współzawodnika, który odrazu zrozumiał, o co chodzi.

Mały, czarny, chuderlawy Catellini ginął wobec olbrzymiego i opasłego oberżysty z »Post«.

Traktował go z rewerencyą i nadskakiwaniem służalczem niemal. Oko mu tylko błyskało czasem ironicznie i złośliwie, gdy mu nalewał szklankę najlepszego swego wina. Na zagadywania o syna odpowiadał półgębkiem — zbyt był ostrożny, aby się wiązać choćby w dalekiej przyszłości; ale w duchu pomyślał:

— Perche no?

Potem jednak przyszła mu refleksya:

— Czterdzieści lat pracowałem, jak murzyn, żyłem polentą i wodą, na wino i ser pozwalałem sobie tylko w niedzielę, na mięso dwa razy do roku — teraz jem i śpię gorzej i mniej od moich camerierów i iacchinów — wszystko dlatego, aby Pierluigi był un signore. I to, co zebrałem z taką męką i trudem, ma iść dla Szwabów? Ta bryła mięsa, ten rozdęty Stuerli ma się pysznić bogactwem moich wnuków, jako własnych? Przenigdy! Pierluigi! Oko w mojej głowie, jedynak — temu trzeba signoriny z miasta, a nie chłopki, takiej, jak gaska Gretli. Ale cóż? Interesa nie szły. Mogły całkiem zawieść. W tym wypadku dobrze mieć

furtkę do odwrotu i ratunku. I dlatego Gianantonio uśmiechał się dobrodusznie,
nic nie mówiąc i kiwał głową, ilekroć mu stary Stuerli,
mrużąc lewym okiem,
pokazywał bawiące się razem dzieci.
Aż naraz zmieniło się wszystko.
Jakim sposobem Gianantonio dowiedział się, że doktor Armin
Swincke, Rector der
Oberhausver-

waltung - Industrie- und Gewerbevorbereitung-und
Forfbildung-Knaben- und
Mädchen-Schule in Köpenick bei Berlin, lato całe włóczy się
po Szwajcaryi jako
korespondent i informator redakcyi »Baedekera?« Funkcyje
tego rodzaju bywają
zasłonięte tak głęboką tajemnicą, że trzeba było istotnie
niezwykłej
przenikliwości i wielkiego sprytu, aby je odgadnąć w
niepokąźnym turyście z nad
Sprei.
Trzeba było także całej zręczności włoskiego padrone, aby
nietylko korespondenta
zjednać, nie dając mu poznać, że się odgadło, kim jest, ale aby
potem nie
chwalić się przed nikim czynem, który szachował wszystkie
oberże w Brig. Ale cóż
ukryć się zdoła na świecie! Z chwilą, gdy w nowych
wydaniach »Baedekera«
pojawiły się w opisie Brig owe całkiem niespodziewane, a tak
donośne zmiany,

całe miasteczko zaczęło domyślać się przebiegu intrygi.
Sebastjana Stuerli o mało co nie zabiła apopleksya, potem
dostał żółtaczki i
chodził przez miesiąc żółty, jak cytryna.
W pierwszym gniewie zapowiedział córce, że kij na niej
połamie, jeżeli ją
zobaczy kiedy przy Pierluigim.
Oberżycie z »Hotel de Londres« doniesiono o tem. Zaśmiał
się tylko.
— Doskonale — rzekł. — Teraz i ja nie chcę mieć z nimi nic
wspólnego, nic.
Synowi nie powiedział ani słowa, spojrział tylko na niego,
mówiąc to.

Pierluigi spuścił głowę i schowawszy się w kąt, zapłakał.
Od wyroku ojca, wiedział o tem dobrze, nie było apelacyi.
Stary Stuerli
wrzeszczał, kłął, tłukł na głowach kufle i na plecach kije, ale
gdy burza
przeszła, w dobrej chwili dało się z nim zrobić wszystko. Ale
mały, czarny
padrone z Werony z wiecznym uśmiechem na wąskich ustach,
ten rękę podnosił
rzadko, głosu — nigdy, a jednak wszyscy w domu bledli i
drżeli pod jego
spojrzeniem, iskrzącem się i przeszywającym, jak sztylet.
Dla dwojga młodych serc zerwała się naraz nić złota, rozwiął
się sen, czarowny i
piękny, jak wiosna.
Chowali się razem prawie, od tylu lat spędzali przy sobie
wszystkie wolne

chwile, słyszeli tylekroć, że ich imiona łączono ze znaczącym naciskiem i uśmiechem. Tak do tej myśli, że dla siebie są przeznaczeni, przywykli, że poprostu nie mogli sobie życia wyobrazić inaczej. A byli oboje bardzo młodzi, szczęśliwi, nieświadomi życia — i wśród jego kwiatów, pierwszy to był, ale bardzo bolesny cierń... I od tej chwili upłynęły dwa lata.

III.

Ciotka Purga mieszkała na samym końcu miasteczka, w wązkim, poczerniałym i poszczerbionym od starości domu, którego drzwi i okna chwiały się na zjedzonych rdzą zawiasach, same napół

zmurszałe. Ale przed i ponad niemi na drewnianych deszczułkach codzień świeżo wymytych, czerwieniły się wśród zieleni i bielily świeże, wonne, bujnie rozkwitłe hyacynty i gwoździki. 'Staruszka była uboga — domek z ogródkiem stanowił cały jej majątek, na którym ciążył jeszcze dług Stuerlemu — reszta posagu jego żony, bo ciotka Purga była siostrą Rieki Stuerli. Pan Sebastyan nie słynął wcale z delikatności uczuć i

postępowania, cieszył się natomiast zasłużoną sławą
dusigrosza i twardego
wierzyciela. Nie dziw, że ciotka Purga nie nosiła go w sercu.
— Dajże mi choć na mojem śmieciu umrzeć spokojnie —
mówiła, gdy ją dusił o
pieniądze; — potem i tak wszystko będzie wasze.
Ciotka Purga była dobrą niewiastą, siostrę kochała bardzo, a
dla Gretli oddałaby
i dom, i kwiatki, i nawet ukochanego burego kota, ale krew
miała gorącą, jak
zwykle bywa na południowej stronie Alp.
Razu pewnego po scenie ze szwagrem, który jej groził
zlicytowaniem domu, wsunął
się do niej chyłkiem, z tysiącem ukłonów i komplementów,
Catinelli.
Zaczął od pogody, zainteresował się słabem zdrowiem starej
panny i ze
współczuciem słuchał, wzdychając, lamentów nad złym jego
stanem, chwalił jedwab
przedzony na kołowrotku, zachwycił się kwiatami, a burego
kota z kolan nie
spuszczał, zwabiwszy ukradkiem kawałkiem słoniny, przynie-

sionym w kieszeni. Ciotka Purga była Gianantoniem
zachwycona.

— I toż to jest ten »Welsche«, na którego tyle wygadują
wszyscy! — myślała.

A kiedy po półgodzinnej rozmowie Włoch zaproponował jej,
że jej pożyczycy
pieniędzy na spłacenie szwagra, mało brakowało, żeby mu nie
rzuciła się na

szyję.

— Zbawco, dobroczyńco! — wołała. — Życie mi ratujesz,
broniąc mnie od tego

Heroda!

Stuerli zdumiał się niepomału, a potem oburzył, gdy mu w
następną niedzielę po

Mszy odniosła pieniądze.

— Skąd, jak, od kogo?

Nie potrzeba było długo szukać, chociaż ciotka Purga
milczała, uśmiechając się

tryumfująco. Wtedy w oberży Pocztovej nastął sądny dzień.

Talerze i kufle latały

po powietrzu, domownicy kryli się po kątach.

— Ależ, babo przeklęta, szalona! On chce zjeść ciebie z
twoim domem, bo ogród

twój przylega do łąki jego piekielnej oberży!

Stary Stuerli zapominał tylko o jednym: że właściwie i on sam
chciał uczynić jej

zupełnie to samo.

Ciotka Purga nie słyszała tego, dawno bowiem zrejterowała
przed wybuchem.

Niezadługo jednak przekonała się i ona, że Gianantonio mniej
był anielski i

miłosierny, niż jej się pierwotnie zdawało. W obligu, pisanym
przez Catinellego,

a obiatowanym u jego przyjaciela notaryusza Włocha, takie

były kruczki i haczyki, na nieświadomość i niezaradność
kobietą obrachowane, że

w rok niespełna po owym pamiętnym, a nieszczęśliwym
tryumfie nad szwagrem,

ciotka Purga znalazła się lokatorką we własnym niegdyś domu, będącym własnością Gianantonia.

Ten ostatni łaskawie mieszkać jej w ruderze starej pozwalał — do czasu; ogród i łąkę wcielił do swojej własności.

Można sobie wystawić, jakie uczucia miała dla niego biedna stara.

To też, kiedy raz Gretli, przywykła na jej łono wylewać wszystkie swe skargi i żale, zaczęła rozwodzić się nad tem, że bez Pierluigiego życie jej niemiłe, ciotka Purga odepchnęła od siebie pieszczotkę ulubioną ze zgrozą i tak gwałtownie, że aż staruszce okulary jej w srebrnej oprawie spadły z nosa na ziemię. Rzecz była niesłychana, ale usprawiedliwiało ją oburzenie.

— Nieszczęśliwa dziewczyno! Ty!... z tym... z synem tego wisielca, łotra, mordercy, tego, tego... »Welsche«. Nigdy w życiu! Niech mnie pierwej na cmentarz wyniosą!

— Ależ ciociu — szepnęła półgłosem Gretli, bardzo zasmucona. — Pierwej nie broniłaś mi o tem mówić...

— Pierwej, pierwej... zapewne, ale wtedy nie obdarł mnie ten stary oszust.

— Cóż Pierluigi temu winien, że ma niepocziwego ojca?

— Winien, nie winien... a pocóż jest jego synem? Nie wiesz to: jaki ojciec taki syn. Ojciec mnie obdarł, syn na ulicę wypędzi, żebraczką zrobi.

Gretli oburzyła się. Jak ciotka mogła mówić takie rzeczy? Czyż nie wiedziała, jak Pierluigi dobrym jest dla ludzi, jak się do ojca wstawia za dłużnikami, choć go się tak okropnie boi, jak z własnych krwawo zapracowanych pieniędzy większą część oddaje nieszczęśliwym, skrzywdzonym przez starego Catinellego. Cały Brig mówi o tem.

Stara uspakajała się powoli.

— Może, może, ale zawsze — mówiła, poprawiając okulary powoli. — Zresztą kto wie? Może to i lepiej tak byłoby, może byłoby wyjście.

— Jakie wyjście? — spytała dziewczyna. Ciotka Purga nie odpowiedziała nic.

Siedziała

zamyślona z nasuniętymi brwiami. Zdawała się coś rozważać.

— Twój stary zawsze taki zły na tego niegodziwego

»Welscha?« — spytała naraz.

— Zawsze, a tembardziej od waszej sprawy.

— Zapewne, zapewne... A o Pierluigim ani mówić nie da?

Gretli westchnęła tylko.

— I nigdzie go nie spotykasz? Dziewczyna podniosła głowę i spojrzała na starą ze zdziwieniem.

— A gdzieżby? — rzekła — ze znajomych nikt u siebie nie pozwoli — ojca gniewać nie chcą, a boją się zemsty Catinellego. Gdzieindziej zaś...

— Wiem, wiem, oczywiście... Niechże Bóg broni. Znam cię przecie. Ale wiesz co?...

Zatrzymała się przez chwilę, wahając się.

— Kochasz ty tego swego czarnego »Welscha« bardzo, szczerze, wytrwale?

Dziewczyna spuściła znów oczy i milczała przez chwilę.

— No, cóż, gadaj prawdę!

Dziewczyna podniosła na nią swe łagodne oczy, błękitne, jak niebo w zorzy. Był w

nich teraz wyraz twardej, pewnej siebie woli.

— Za innego nie pójdę, tak mi Boże dopomóż!

Stara nie odpowiadała. Ruszała ustami, szepcząc. W ciszy słychać było tylko

urywane wyrazy.

— Gianantonio, jak się dowie, wypędzi, na ulicę wypędzi...

Ten stary gbur

Sebastyan do domu nie przyjmie... Ale, jeżeli się uda... tę gołąbkę

uszcześliwić... ten czarny mnieby zawdzięczał... Tak, tak...

Nie potrzebują się

dowiadawać zresztą... A potem trochę zaryzykować warto... i dużo nawet... dla

tej dzieciny... no, i dla siebie...

Pomilczała przez chwilę i rzekła naraz stanowczo:

— No, w przyszłą niedzielę wieczorem zajdź do mnie. Każę Pierluigiemu, żeby

przyszedł także. Ale tylko na kilka minut... I ja będę z wami.

Dziewczyna nie chciała uszom wierzyć.

— Ale, ciotko, co rodzice... — zaczęła.

— No, na tego starego... niema co się oglądać. A matkę twoją
— ja wciągnę do
spisku.

I w ten sposób od kilku miesięcy, ukradkiem młodzi ludzie
spotykali się u ciotki
Purgi, która przedając swój jedwab, słuchała z powagą ich
wynurzeń wzajemnych,
uśmiechając się lub kiwając głową z westchnieniem. Gdy za
długo trwało, matka

Stuerli wpadała, ażeby córkę wziąć do domu.

— Jeszcze stary domyśli się czego, nie daj Boże! — szeptała,
gderząc.

— Ale przecież kiedyś trzeba będzie przyjść do niego —
ośmieliła się raz wtrącić
Gretli.

— No, no, zostaw to nam — uspakajała ją ciotka Purga
poważnie.

Ale ona i sama w głębi duszy niemniej, jak i w rozmowach z
siostrą nie
wiedziała, co począć.

— Bo że się widują, mniejsza z tem. Ale do czego to
prowadzi? Trzeba raz
skończyć — a tu ani do jednego, ani do drugiego nie
przystępuj. Mój — to istny
ogień i saletra. Nim pierwsze słowo wymówię, dom rozwali.
Tak utyskiwała Sebastyanowa.

— O tego mniejsza — odpowiadała Purga. — Dałybyśmy z
nim rady. Ale ten dyabeł
włoski ze swym uśmiechem słodkim i niskimi ukłonami... ten
gorszy.

IV.

W »Grand Hotel Pallanza «, nad Lago Maggiore, kończył się
»table d'hote«

wieczorny.

Sto osób, należących do wszystkich cywilizo-

wanych narodowości w trzech częściach świata, prowadziło tę
głośną i ożywioną
rozmowę, jaka towarzyszy zazwyczaj ostatnim daniom
obfitego obiadu i ostatnim
kieliszkom dobrego wina.

Sala była ogromna, wysoka, jak kościół, ozdobna, jak buduar.

Girlandy lamp

elektrycznych tysiącem świateł odbijały w olbrzymich

zwierciadłach i w

złoceniach gzymsów, opromieniając Amory i Nimfy plafonu,

iskrząc się i łamiąc w

brylantach kobiet, siedzących u stołu. W rogach jadalni stały

klomby palm i

kamelii, na stole, ustawionym w podkowie, piętrzyły się w

ogromnych serwisach

srebrnych i kryształowych piramidy owoców i przepyszne

bukiety rzadkich kwiatów

Południa, przez otwarte okna i drzwi szklane płynęła do sali,

pełnej gorąca,

gwaru, zapachu potraw i perfum, wonna fala świeżego

powietrza od oleandrów i

mirtów ogrodu, zielonym gąszczem otaczających hotelowy

pałac, i aż do

marmurowych progów uderzała z szelestem cichym woda jeziora srebrzysta.

Zdaleka, od miasteczka słychać było chwilami urywki weneckiej barkaroli, którą chór jakiś improwizowany śpiewał w Giardino publico na cyplu, wchodzącym w wodę i kiedy niekiedy ciszę jeziora przerywał silniejszy plusk fal, bijących o łodzie wraz z miarowem uderzeniem wiosł. Wśród drzew i krzewów uczernionych nocą, przeświecała promienna szyba Lago Maggiore. Księżyc rysował ją w ogniste niemal pręgi, drżące i zmienne i rozpływające się w blaskach przestrzeni,

jak senne widziadła tej świetlistej, rozkosznej włoskiej nocy. Dokoła obiadowego stołu armia kelnerów wykwinnych, zgrabnych i cichych przesuwiała się bez szelestu, roznosząc lody i kremy, pod kierunkiem dwóch mistrzów ceremonii, uroczystych i poważnych, jak kapłani, spełniający święte obrzędy. Goście mniej byli poważni. Nawet Anglicy rozmawiali głośno i urocze misses uśmiechały się do sąsiadów, podających im cukierki i suche konfitury. Niemcy, mocno czerwoni, rzucali zapytania i uwagi bardzo głośne znajomym, siedzącym przy drugim końcu stołu. Włoszki gestykulowały zawzięcie i rozbijały

powietrze olbrzymimi wachlarzami, a kilku Polaków
rozparłszy się po amerykańsku,
wtajemniczało całe towarzystwo we wszystkie szczegóły
swoich krajowych i
rodzinnych stosunków, nie zaniehbując upiększania tej kanwy
fantazyjnym haftem.

Rozmowa, panująca na początku obiadu, ustała, ustały nawet
narodowe uprzedzenia
i spory. Monsieur Ducresson, negocyant win z Bordeaux i
radykał czystej wody
(podpisujący się zresztą na listach hotelowych jako
demokrata: du Cresson),
oddawał gorące pochwały cesarzowi Wilhelmowi drugiemu,
na co jego sąsiad, baron
Bubenberg-Traxdorf, odpowiadał, rozwodząc się z zachwytem
nad niedorównanymi w
reszcie świata urokami Folies Bergeres i innych cudów
Paryża. Pastor Muzius z
Elberfeld przyznawał po długiej dyskusyi

swej chudej, bardzo dystyngowanej sąsiadce, żonie
katedralnego archidyakona w
Rochester, że rytualizm puzeistów nie jest taką
bałwochwalczą obrzydliwością
spustoszenia i takim naśladowaniem apokaliptycznej
nierządniczy — to jest
papizmu i Antychrysta Papieża, za jaki miał go dotychczas.
Joe B. Hawkes z
Bedford, Jowa, U. S. i Lineolu, C. Dow z Cambden, Mass. U.
S., gotowi byli uznać

wobec siedzącego pomiędzy nimi syna wielkiej i rudej
Brytanii, że wprowadzie ich
ojczysta Rzeczpospolita jest jedynym krajem światła., postępu i
cywilizacji, a
najbardziej genialny Europejczyk powinien się uważać za
skończonego osła wobec
każdego ucznia amerykańskiej szkoły ludowej, jednakże
wśród zacofanych i
ogłupiających ludów barbarzyńskiej Europy zdarzają się
jednostki, jeśli nie bardzo
mądre, to przynajmniej wcale przyjemne, zaś dymisjonowany
sztabkapitan Sergiusz
Mikołajewicz Czornopuzow, włościański komisarz z gubernii
lubelskiej, kazał już
podać szampana, aby z panem Dzięzielińskim z Galicyi,
zapisanym w hotelu jako
hrabia, stuknąć się na »primirenije« dwu bratnich
narodowości.
W końcu stołu siedziało trzech mężczyzn, pijących już czarną
kawę i zajętych
ożywioną rozmową. Każdy z nich nosił na sobie wybitne
piętno innej narodowości.
W krótkim, pękatym człowieczku o przyplaszczonym nosie,
szczecinowatych wąsach i
faworytach i małych zaspanych oczach łatwo było poznać
Niemca. Pewność siebie w
postawie

i mówieniu zdradzała Prusaka. Smukły, nerwowy brunet,
podskakujący jak na

sprężynach, elegancki jak fryzyer i grzeczny jak »commis voyageur« mógł być tylko Francuzem, tak samo jak pochodzenie z tamtej strony kanału La Manche wypisane było wyraźnie i niezbitcie na spokojnej, ale energicznej twarzy z błękitnymi oczyma i czerwonym zarostem niemniej, jak i na muskularnej postaci olbrzyma, siedzącego między nimi.

Niektórzy z biesiadników zaczęli wstawać od stołu i wychodzić na ogród, kąpiący się w księżycu i jeziorze.

— Możebyśmy i my poszli za przykładem tych panów? — zapytał Francuz i nie czekając odpowiedzi lekkim, nerwowym ruchem zerwał się z krzesła.

— Ja, ja, czemu nie? Chodźmy na cygaro, co? — potwierdził Prusak, odsuwając się od stołu ciężko i niezgrabnie.

Anglik nie odpowiedział nic, wstał i wyprzedzając towarzyszków, wielkimi krokami ruszył ku drzwiom parapetowym.

Z platformy, pełnej kwitnących kamelij i cytryn, okrytych owocem, jezioro całe

słało się przed oczyma w swych blaskach srebrnych i czerniały zdala wyspy

Boromejskie, zwłaszcza najbliższa Isola Bella. Prusak uderzył w dłoń z zachwyty.

— Nein, es ist zu schön, wundervoll, pyramidal! — zawołał, zapominając się, w rodzinnym swym języku. — Patrzcie tylko, panowie — dodał, zwracając się do swych

towarzyszów i rozmachu-

jąc rękoma — patrzcie na te wyspy Boromejskie, które należą
do rodziny Borromeów
od trzystu lat, patrzcie na te tarasy, o trzydzieści dwie stopy
podnoszące się
nad powierzchnię wody, a usypane ręką ludzką, zasadzone
gajami laurów, magnolij
i pomarańcz; patrzcie na ten pałac, zbudowany dwieście
trzydzieści lat temu
przez Conte Vita-liano Borromeo, który kazał przenieść do
pałacowej kaplicy na
wyspie trumny i nagrobki swych przodków z Medyolanu.
Byłby cytował dalej z pamięci całe stronnice Baedekera,
urwał jednak, uważając,
że go nikt nie słucha.
Francuz rzucił roztargnionem i obojętnem okiem na
przedziwny krajobraz, odwrócił
się plecami do jeziora i oparłszy się o marmurową balustradę,
zapalił cygaro.
Anglik odszedł o kilka kroków, usiadł napół zwrócony ku
tarasie hotelowej, bez
poruszenia na chłodnej twarzy, spoglądał na jezioro i zdawało
się, jakby odbłysek
srebrnych światel odbijał się w jego spokojnych, rozumnych
oczach.
Prusak nie dał za wygraną.
— I cóż, nie nastraja panów tkliwo, podniośle, poetycznie ta
noc, ta woda, te
kwiaty?
Francuz stłumił ziewnięcie.

— Poszedłbym teraz na bilard! Ale cóż! Niema tu nigdzie porządnej kawiarni.

— Jest bilard w hotelu — odezwał się Anglik.

— Naprawdę? Nie wiedziałem. Dziękuję za informację. Nie chciałbyś pan partyjkę zrobić?

Anglik głową poruszył.

— Zaraz po obiedzie, niezdrowo — rzekł poważnie. — Po czarnej kawie najlepiej posiedzieć spokojnie z pół godziny przy cygarze, zwłaszcza na tem doskonałem powietrzu.

Francuz wydał nieznacznie usta.

— A tak, tak, i przy tym prześlicznym krajobrazie.

Oczywiście. Ale que voulez-

vous? My Paryżanie wolimy nad wszystkie jeziora i magnolie kieliszek absyntu w

kawiarni — to nam przypomina paryskie bulwary.

— Ależ to bluźnierstwo! — zawołał z patosem Niemiec. — U nas w Berlinie myślą idealniej.

— Jakbyście panowie sami nie siedzieli całymi letnimi wieczorami w piwiarniach,

zamiast zachwycać się waszymi brzegami Renu, a choćby i jeziorami koło Poczdamu

— przyciął Francuz.

Anglik głową skinął.

— Wszystko ma swoją rację, co jest rozsądne i do usposobienia człowieka

zastosowane — rzekł. — Jednemu przypada do smaku jedno, drugiego co innego pociąga. Spierać się niema o co. Temu samemu człowiekowi dziś będzie przemawiał do duszy piękny widok, jutro zainteresuje go bardziej dzieło sztuki, a na trzeci dzień nie będzie go cieszyć ani piękna natura, ani najciekawsze muzeum, tylko dziennik świeży i butelka madery. Cóż naturalniejszego i dlaczego nie przyznać się do tego? Tylko nienaturalność i pozowanie są złem i śmiesznością, jak każda obłuda.

Sentymentalny berlińczyk zmienił temat rozmowy.
— Nie zmęczeni panowie po naszej dzisiejszej wycieczce do Strezy? Bo ja nie mogę się nacieszyć naszym spotkaniem: wszak to i myśli wymienić miło, a samemu robić wycieczki nieznośnie. Ale nadewszystko dzięki panom mogłem zwiedzić obie te precudne, wspaniałe wille, Pallavicini i Villa Ducale, z ich przepysznyymi klombami i widokami. Coby powiedziano o mnie w Berlinie, gdybym będąc w Strezie, nie dostał się do willi księżnej Genueńskiej! I pomyśleć sobie, gdyby nie ten traf szczęśliwy... Co to jednak za niedelikatność, żeby turystom wstępu wzbraniać. Muszę o tem napisać do Baedekera.
— Pisujesz pan do Baedekera?— spytał Francuz.

— Mam ten zaszczyt — odpowiedział pośpiesznie, rzucając w. górę głowę. — Ale to mi przypomina, że się jeszcze nie przedstawiłem: Doktor Armin Swincke z Koepenick pod Berlinem, rektor szkoły wyższej gospodarczej i przemysłowej przygotowawczej... Ale to stoi na bilecie — po francusku trudno tak dokładnie — krótko więc: Dyrektor zakładu, doktor filozofii, porucznik pułku infanterii księcia Karola Fryderyka w rezerwie, autor historii miasta Koepenick w ośmiu grubych tomach i siedemnastu innych dzieł oryginalnych, z których dwa w czterech tomach, a trzy w sześciu, dalej czterdziestu trzech broszur i ulotnych pism; poeta laureat Towarzystwa Harfa Eolska

z Grossreinickendorf; tłumacz kilkudziesięciu większych i mniejszych arcydzieł obcej literatury; prezes Towarzystwu historycznego w Glienicke, Towarzystwa - miłośników poezji w Charlottenburgu, Towarzystwa ochrony zwierząt, śpiewackiego Towarzystwa Walhalla, wice-prezes... — Maryusz Thevesnil — przerwał Francuz, podając mu kartę i kłaniając się uprzejmie. Anglik nic nie przemówił i z miejsca się nie ruszył, tylko wyjął powoli wizytowy

bilet z pugilaresu i z lekkim poruszeniem głowy podał go swemu sąsiadowi.

Na bilecie stało:

— L. A. W. Neaghton. — Neaghton - Hall, Sussex.

— Bardzo mi miło, bardzo miło! — wołał Armin Swincke, przypatrując się wciąż literom, jakby w nich czegoś szukał i nie mogąc ukryć zawodu.

Naprawdę, gdy na jedno słówko flegmatycznego Anglika i na widok jego karty

otwarły się, jak za magicznem dotknięciem wrota willi księżnej Genueńskiej,

zdawało mu się, że ma do czynienia z jakimś lordem, a w towarzyszcu jego

przypuszczał markiza lub co najmniej wice-hrabiego. Zaś

Armin Swincke miał

słabość do tytułów i arystokracji.

Pocieszył się jednak zaraz.

— Muszą mieć pieniądze, to pewne. Zaproponował więc, nie czekając, aby nazajutrz

jechać razem. Ci panowie dążyli przecie do Domo d'Ossola, a stamtąd przez

Simplon do Szwajcaryi,

prawda? Merkwürdig! Tak samo, jak on. On już wprawdzie był w Szwajcaryi wiele

razy, kilka lat temu przejeżdżał nawet Simplon, ale teraz znów chce jechać tą

przedziwną drogą, która jest was Colossales! Anglik

wyciągnął obojętnie

notatnik, wyjął z kieszeni kolejowy »Orario« i przez minutę przewracał kartki jednego i drugiego! Potem, nie zamykając ich, rzekł powoli: — Jutro po lunch'u jadę do Domo na noc. Pojutrze rano końmi do Simplonu. Z Hospice du Simplon (Neaghton wymawiał »öspais«) idę pieszo dla ruchu do Brig — stamtąd na drugi dzień robię wycieczkę na Belalp i Sparrhorn. Thevesnil zdawał się wahać przez chwilę. — Ma foi — rzeki wreszcie, ruszając ramionami — tem lepiej może. Chciałem stąd przejechać się tu i ówdzie przez kilka dni, możebym wpadł do Medyolanu, ale co tam! Prędzej stanę w Paryżu! Zgoda na jutro. — Brawo, brawo, jedziemy jutro! — Tak, odrazu decyzja, po wojskowemu. Tak u nas w Berlinie bywa. Temi słowami doktor Armin Swincke zakończył wieczorną rozmowę na tarasie Grand Hotel Pallanza nad Lago Maggiore.

V.

Ciotka Purga siedziała przy otwartem oknie, przędąc jak zwykle jedwab — i wśród otaczających azalii i gwoździków twarz jej pomarszczona,

jak zwiedłe jabłko, w obramowaniu koronek czarnego czepca, przypominała portrety staruszka Halsa. Wieczór się zbliżał.

W Jarze zaczęto dzwonić na »Ave Maria« — grubemu dzwonowi wtórowała srebrna sygnaturka kościoła przy kolegium — za nimi odzywały się z kolei dzwony i dzwonki wszystkich klasztorów i kaplic, zarówno w Brig, jak całej dolinie.

Mężczyźni, idący ulicą, zatrzymywali się, przyjętym w katolickich Alpach zwyczajem — zdejmowali kapelusze i przeżegnawszy się pobożnie, szeptali pacierz.

Niewiasty pochylały głowę i podnosiły do ust różańce, wiszące u pasa. Dzieci

nawet ustawały w zabawie i krzyku i składały ręce.

Ciotka Purga przerwała robotę i wzięwszy do ręki różaniec, modliła się. Przerwał

jej głos jakiś, wołający ją z ulicy pocichu.

Wychyliła się. W cieniu za węglem stał Pierluigi, dając jej znaki, aby mu

prędzej drzwi otworzyła.

— Myślałam, żeś koło jezior — rzekła ze zdziwieniem,

puszczając go do izby. —

Cóż się stało, żeś wrócił?

Chłopak, nic nie odpowiadając, przymknął okno, a potem z widocznym znużeniem

opuścił się na zydelek.

— Stało się... Dajcie odetchnąć, ciotko Purgo, bom biegł, jak opętany, czasu

dyabło mało... Stało się, że mam może w ręku sposób wyjścia z naszego fatalnego

położenia, ale na nieszczęście...

— Cóż? — pytała go ciotka Purga zaciekawiona.

— Sposób bardzo niepewny, straszliwie ryzykowny i co najgorsze, wygląda na zdradę.

— Cóż to takiego? Gadajże przecie i nie męcz mnie daremnie. Chłopak odetchnął głębiej.

— Rzecz się tak ma — trzeba zacząć od początku. Jestem ja dziś rano z końmi i powozem w Domo. Wiecie, że wczoraj odwoziłem tam Anglików, ale dopiero od Berisal, bo ten kawałek drogi do połowy góry poszli piechotą. Miałem jeszcze tę pociechę, że spotkałem Gretli, której nie widziałem tyle czasu. Mogłem choć napatrzeć się na nią i przez chwilę pogawędzić z kochaną.

— Dalej, dalej, co tam Gretli — przerwała stara — do rzeczy.

— Ależ bo to o Gretli chodzi. Mniejsza z tem jednak. Otóż jestem zrana w Domo z końmi na placu koło poczty i rozglądam się, rozpytuje, czy kto nie potrzebuje mego powozu do Brig. Aż tu patrzę — mój przyjaciel Ruprecht, wie może ciotka? On mnie tu nieraz odwiedza — starszy syn właściciela »Albergo Nazionale«. Biegnie przez plac wprost do mnie. »Pierluigi! — woła — wiesz już kogo?« »Nie — odpowiadam — chciałem w tej chwili u was zapytać, czy kto z gości nie zgłosi się«. »Właśnie, właśnie, mam coś dla ciebie — mówi — i to aż trzech, i dobrych, jeden Anglik, drugi Francuz, ale bogaty, trzeci, no, hołota z Ber-

lina, ale...« »I uważa ciotka, to ale tak ciągnie, z takim naciskiem i tak przytem palec podnosi w górę. »Cóż to za ale? — pytam. — Gadaj wyraźnie!« On mi na to: »Kiedy bo to rzecz ważna i sekret«. Bierze mnie tedy na stronę i opowiada... — Opowiada, i coś z tem opowiadaniem, nie marudź tak! — narzekła ciotka Purga. — Opowiada mi, że ci panowie przyjechali razem koleją z Gravellony i zakwaterowali się u jego ojca. Podczas kolacyi Niemiec się rozgadał, że pośle sprostowanie i zmiany jakieś do Baedekera, do którego pisuje i namawiał Francuza, aby zrobił to samo. Ten z początku ruszał ramionami, potem kiwnął głową, śmiejąc się. Podczas tej rozmowy nie było nikogo w sali, ale obok siedziała siostra Ruprechta i ta zaraz przybiegła z wiadomością do niego. Więc wzięli się na pazury, dali gościom najlepsze wino, matka zmniejszyła rachunek i kazała coprędzej, po cichu, przynieść do ich pokojów dywany, zwierciadła i fotele, jakie tylko były w domu! A Ruprecht miał już oko. I rzeczywiście udało mu się rękę położyć na Baedekerze Niemca. Patrzy, a on cały poczerwiony notatkami, gwiazdki dodane, skreślone, ceny podopisywane, zmienione. Widzi, że

Prusak nie blagował. Do Francuza, do tego nie łatwy dostęp.
Książka w kieszeni,
ani ją wyjmuje. Ale od czegoż siostra. Ta jak zaczęła
zagadywać, na słówka
wyciągać, uśmiechać się — Francuz zapomniał o książce i o
notesiku i Ruprecht
mógł im się przyjrzeć. W Baedekerze nic — cały biały,

ale za to w notesie krótkie uwagi, widocznie dla francuskiego
wydania, bo o
podróży tylko jakieś takie górne, mądre, że Ruprecht, choć to i
do kolegium
kilka lat chodził, nic nie zrozumiał. Tyle tylko, że o podróży
była mowa, a o
toż mu tylko chodziło. Więc naprzód potwierdził słowa siostry
wobec rodziców, a
potem zaraz poczciwy poleciał szukać mnie, że nocowałem z
koźmi w Domo.
— Ale cóż to wszystko ma za związek z waszą sprawą? —
przerwała ciotka,
widocznie znudzona i zawiedziona. — Nic ciebie nie
rozumiem.
— Jakto, co za związek? Ogromny! Naprzód, uważa ciotka,
ten poczciwy Ruprecht
chciał mnie znaleźć, aby mnie naraić tym panom zamiast
pocztowego omnibusu i w
ten sposób nietylko dać mi zysk, ale zapewnić zatrzymanie się
ich w naszym
hotelu w Brig, a nie w innym.
— Oczywiście — mruknęła stara — przecież nie mogło się to
zdarzyć, aby ktoś inny

z uczciwych chrześcijan miał kilka soldów zarobku i kilka
słów pochwały w
książkach, skoro jest tu signor Catinelli.
Pierluigi puścił przymówkę mimo uszu.
— Mnie jednak nie o to chodziło — rzekł. — Jak tylko mi
przyjaciel opowiedział o
tej sprawie, przyszło mi na myśl, że od podobnej historii
zaczęła się nasza
bieda, pamięta ciotka, kiedy to do mego ojca ten Niemiec
zajechał, co do
Baedeckera pisywał i z tej gwiazdki nieszczęsnej wszystko
dalsze poszło. I
proszę sobie wystawić — kiedy

tych panów zobaczyłem, poznaję między nimi tego zacnego
Niemca. Więc mnie zaraz
jakby coś tknęło. Od jego przyjazdu przyszła bieda: nie może
być inaczej, tylko
teraz z jego powrotem musi nastąpić naprawa.
— Ale jak? jak? — niecierpliwiła się stara. Chłopiec
pomilczał chwilę, nie
podnosząc oczu
z ziemi. Wreszcie zaczął powoli:
— Otóż o to i chodzi — jak? Myśl w głowie ja mam, ale
ledwie śmiałybym ją
wyrazić, a dopieroż wykonać... Dlatego też ja tu i
przybiegłem. W Berisal
zostawiłem konie i powóz i poleciłem chłopcu z oberży, żeby
tam z nimi czekał na
tych panów, którzy tymczasem dziś i jutro rano wycieczki
stamtąd robią. Sam

konia wziąłem i wpadłem tu do was po radę.

— Ale jakąż ja mogę dać ci radę i w czym? — spytała ciotka, nic nie rozumiejąc.

— Oto w czym. Ojcom naszym poszło o tę gwiazdkę nieszczęsną. Niechby teraz tak zrobić, żeby gwiazdka znów przeniosła się do oberży Stuerlego — skwitowaliby się starzy. Mój spuściłby z tonu, Stuerlemu złośćby przeszła i można byłoby zacząć znów mówić o starych planach.

— Jak, jak to powiadasz? — spytała z nagłym zainteresowaniem stara. — Tak zrobić, żeby »Post« dostała gwiazdkę? Zapewne, zapewne... Więc to niby przez tych panów, przez Niemca i Francuza? Hm, hm... Dobra myśl, niema co mówić, dobra.

— Więc i ciotka mi to doradza?

Stara strzepnęła rękoma.

— Doradzać? Ja? Daj mi pokój! Kłaść zdrową głowę pod ewangelię nie głupiam!

Posłuchać? Co innego. Ciekawa rzecz, ciekawa. Toby twój ojciec miał za swoje, no!

Chłopak zniecierpliwił się.

— Ależ nie o to idzie, aby mój ojciec miał za swoje, tylko, aby i nam, i jemu było lepiej, gdy ten jego upór przeklęty przewycięży się. Ja u niego jednak,

Gretli sama jedna u Stuerlego, więc kiedyś-by wszystko stało się wspólne.

Inaczejbym przecie tego nie robił, na ojca sznura-bym nie wiązał.

Ciotka Purga głową kiwnęła.

— Zapewne, zapewne... Synowi trudno. Ale cóż ja ci na to powiem? Ryzyko wielkie.

Gdyby udało się i gdyby się nie wydało, mogłaby być korzyść, ale pomyśl: a nuż

stary twój dojdzie prawdy?

Pierluigi spuścił głowę i zamyślił się ponuro.

— Nie wracać mi już do domu chyba — mruknął.

— A widzisz. Bo choćby staremu Sebastyanowi dogodziło się, gołemu on przecie

córki nie da, a ciebie ojciec gotów wydziedziczyć, gdyby się dowiedział. Co

wtedy?

Chłopak machnął ręką rozpaczliwie.

— Do Argentyny pójdę. Co mi tam! Bez dziewczyny waszej i takbym żyć nie mógł.

— Et, głupstwa gadasz. Poco ci Argentyna? Nie możnaż to pocichu zrobić, tak, aby

ani kozie, ani kapuście nie przynieść uszczerbku?

— Ależ jak, jak?

— Ot, widzisz. Niech to zrobi się niby przypadkiem, tak, żebyś ty w to nie był wmieszany.

— Ba, kiedyż bo właśnie w tem sęk. Jakże to zrobić? W naszym Brig zmylić oberżę

— i kto? Furman i syn właściciela? Nie sposób. Myślałem, żeby furmana spoić i

samemu udać pijanego, ale cóż? Gebhard ma głowę, jak mur — kiedy »Heuriges«*)

sprzątają, on jeden ani się zachwieje — choć wszyscy leżą.

Więc cóż?

Ciotka zamyśliła się, podsunąwszy na czoło okulary.

— Słuchaj, ja mam myśl — rzekła. — Kiedy przyjeżdżają tu ci »forestierowie«, jak

ich wy Welschowie nazywacie?

— Jutro po południu.

— Wracajże do nich, a wyjeżdżając, pchnij do mnie chłopaka konno, aby uprzedzić,

że ruszacie, bo to z tymi Anglikami nikt nie wie, kiedy im się zechce ruszyć

albo zostać.

— Oj, to, to prawda! — wtrącił Pierluigi.

— A widzisz. Więc chłopak da mi znać, ja zabiorę Gretli i wyjdziemy naprzeciw.

Gretli weźmie szarotek, poziomek, różyczek z alm w koszyk

— i będziemy na was

czekały koło kapliczki na zakręcie. Twoją rzeczą coś zrobić powozowi, żeby

*) Nowe wino, którego zbiór bywa w Alpach okazją do uczt, a nieraz (w niemieckich kantonach i prowincjach) do pijatyki.

ci panowie musieli wysiąść. My zaś ich zaprowadzimy — ale na »Pocztę«.

— Świetna myśl! — zawołał chłopak, klasnąwszy w ręce. — Ozłocić trzeba ciotkę za nią.

— A ot, masz dowód, że stara ciotka Purga na coś się przyda.
Zróbże tylko, jak

mówię, a będzie wszystko dobrze i ty wyjdiesz cało.

— Tak, ale... — zaczął Pierluigi i urwał.

— Go takiego?

— Ale, co za rolę w tem będzie grała Gretli?

— Mojej siostrzenicy! — zaśmiała się ciotka Purga. — Cóż ty
myślisz, mazgaju, że

ona sobie z kilku głupimi turystami rady nie da, albo, że jej
przy mnie włos
spadnie z głowy?

— Nie, nie — upewniał młody Catinelli i pochylił się do jej
ręki.

VI.

Trzej turyści, przed kilku dniami jeszcze wybierający się na
Simplon w tak

wesołych usposobieniach, byli dziś źli, co się zowie.

Do Berisal powodziło się im świetnie. Pan Armin Swincke
włóczył się od rana do

wieczora, opatrując każdy kamyk przy drodze, oskubując
wszystkie almy z kwiatów,

notując, pocąc się i sapiąc, żeby użyć za swoje pieniądze i
przyprawdzając do

rozpaczy i wściekłości przewodników i spotykanych w drodze
tuziemców swemi

pytaniami, towarzyszków podróży — pouczeniami i
opowiadaniem. Mr. Neaghton

wdrapał się sumiennie

i flegmatycznie, z poczucia obowiązku, na tuzin szczytów, na których zazwyczaj dotychczas spacerowały tylko dzikie kozy. Francuz otrzymał w Domo d'Ossola olbrzymi pakiet gazet, które teraz pożerał przez drogę, zasłaniając się nimi od nudnych gór, łąk, lodowców i wodospadów i przenosząc myśl stęsknioną ku miłej atmosferze paryskich kawiarni i bulwarów. Naraz zdarzyło się, o czym za ludzkiej pamięci nikt ze strony ekwipażu i służby hotelu Londyńskiego nie słyszał. Ekwipaż zawadził o kamień, koło się złamało — i trzeba było zostawić rzeczy na łasce jakiegoś przechodnia, podczas gdy woźnica popędził do Brig, szukając pomocy. Turyści poszli naprzód. Berlińczyk wielkim głosem wzywał sprawiedliwości, pomsty i pikielhauby na ucywilizowanie szwajcarskiego barbarzyństwa; Francuz klął kiedy niekiedy, Anglik nie mówił nic, tylko olbrzymiemi swemi nogami, przypominającemi strusia, robił kroki większe jeszcze, niż zwykle, co u niego było oznaką złego humoru. Jego pierwszego ujrzała Gretli, siedząca od dwóch godzin przy gościńcu z ciotką Purgą. — Kwiatki, poziomki, milordzie — rzekła półgłosem, podsuwając mu swój kosz o dwóch przedziałach. Mr. Neighton wstrząsnął lekko ręką, na znak, że mu w tej chwili ani kwiaty, ani

jagody nie były w głowie. Przytem jednak rzucił na
dziewczyne spojrzenie
obojętne i przelotne. Śliczna, świeża

twarzą z ognistymi oczyma i nieśmiałym a pełnym
wdzięku uśmiechem
zastanowiła go.

— Skąd jesteś, moje dziecko? — spytał.

— Z Brig, milordzie. Pan tam pewnie zdąży?

— Tak. Daleko?

— Niespełna trzy kilometry. Ot, widzi pan, tym gościńcem,
wijącym się w dół

prosto aż do samej bramy zamkowej. Niepodobna nie trafić.

W tej chwili nadchodzili dwaj towarzysze Neughtona. Jeden
śpiewał fałszywie

kuplet jakiejś szansonetki, wprowadzony w modę tego sezonu
przez Yvette Gilbert,

drugi straszliwym swym akcentem z nad Sprei próbował go
zabawiać, opowiadając,

jak to się dzieje chez nous a Berlin. Obaj, zobaczywszy

Anglika przy Gretli,

spojrzeli na siebie ze znakami porozumienia.

— Brawo, brawo, wieszujemy zabawy — zawołał, śmiejąc
się, pan Armin.

— Oto, co pana tak pędziło naprzód — rzekł Maryusz. — I
ktoby myślał: taki

zdawało się sensat, a gust ma dobry.

Gretli zaczerwieniła się, jak poziomka, i cofnęła się w tył ku
ciotce.

— Chodźmy już, ciotko! — szepnęła.

— A poziomki? — zawołał Francuz, chwytając za koszyk. —
A kwiaty? Hola,
panienko, targ nie zrobiony jeszcze.
— Obejdzie się — odparła dziewczyna z urazą. — Targ nie
dla takich, jak pan.
— Ale dla jakichże? Jak milord?

— Dla wszystkich, którzy są przyzwoici i dobrze wychowani
— odcięła, odwracając
się i zaczynając schodzić.
— A to dopiero panu przysoliła! — zawołał Swincke z
grubym uśmiechem. — Ale to
nic — z ładnych ustek nie wstyd. A mnie co się dostanie,
panienko śliczna?
Kwiaty, czy całus?
— Figa! — odparła. — A w domu, jak żona się dowie, jaki ze
starego dziada
głupiec, pantoflem po fizyognomii.
Kolej śmiechu była teraz na pana Thevesnil, a dopomógł mu
nawet poważny pan
Neaghton.
— Komedya skończona — rzekł. — Zapuśćmy kurtynę i nie
gniewajmy się nawzajem. Ty
zaś, moja panienko, racz mi oddać koszyczek, a oto zapłata.
I kilka złotych monet rzucił jej w fartuszek.
— Dziękuję stokrotnie, milordzie! — odparła dziewczyna —
to za dużo. Kwiaty i
szarotki ogółem warte pięć do sześciu franków. Jeżeli pan
koniecznie chcesz,
abym zrobiła świetny interes, biorę dziesięć — reszta
zbyteczna.

I pozostałe dziesięcio- i dwudziesto-frankówki oddała Anglikowi.

— Nie bądź-że nierozsądna — upominał ją Swincke. — Bierz, kiedy ci dają. Ten pan bogaty. Wstążek kupisz za to.

— Może to w Niemczech we zwyczaju brać jałmużnę od obcych ludzi. Mnie uczono inaczej.

— A co? I panu się dostało! — zwrócił się

do Anglika Swincke, obracając w żart przymówkę.

Anglik ruszył ramionami, chowając złoto do portmonetki.

— Bardzo słusznie robi — odparł spokojnie — ale i ja nie zbłądziłem. Mnie wolno

dać — jej wolno nie wziąć. A w każdym razie dla wszystkich nas nauka, że można

być prawdziwą lady, nosząc aksamitny gorsecik i góralską spódniczkę.

Dziewczyna zaczerwieniła się, ale zarazem uśmiechnęła, rzucając na Anglika

spojrzenie wcale nie wrogie.

— Ona jest istotnie ladylike — szepnął pan Neaghton do Francuza.

— Ładna bestyjka — odparł lekko Thevesnil. — Istny ogień w niej. I te ząbki, jak

u młodego wilczka. Znałem jedną w Chateau des-fleurs, nazywała się Herminia...

— Także imię dla śpiewaczki ogródkowej! — zaśmiał się Swincke.

Ciotka Purga uznała teraz za właściwe wmieszać się, przerywając rozmowę nieco

drażliwą.

— Panowie nocują w Brig?

— Oczywiście. Mamy zamówione pokoje.

— A znacie panowie miasto? Traficie do hotelu?

— No, ja tu przecie byłem — odpowiedział z naciskiem i zadowoleniem pan Armin. —

Ja tu wszędzie, jak w domu. I tam zaprowadzę panów tych, gdzie im dobrze będzie.

— Pewnie, pewnie — rzekła stara. — Tylko,

że to już wieczór się zbliża, nim dojdziecie, będzie noc,
przechodniów nie łatwo
dopytacie się, bo naszego patois i schwysertútsch nie każdy
rozumie, więc
może...

Urwała i spojrzała, jakby radząc się, na siostrzenicę.

— Jak myślisz, Gretli, możebyśmy wskazały hotel tym
panom? I tak pójdziemy razem

i to nietylko do miasteczka, ale do hotelu.

— Świetnie! — zawołał Francuz. — Jaka szansa dla nas
mieć...

— Tylko bez tego! — przerwała ciotka. — To u nas nie we
zwyczaju. Zgodnie,

spokojnie, zdaleka... Rozmawiać można, ale bez głupstw.

— I ja tak myślę — dodał pan Neaghton, patrząc na
towarzyszów swoich chłodnym,

stalowym wzrokiem, w którym malowało się wyraźnie:

— Ja tak chcę, żądam tego i tak być musi. Francuz ruszył
ramionami i cofnął się

o krok

w tył, zasępiony. Znaczyło to:

— A, jeśli tak...

Zarazem jednak i coś drugiego jeszcze:

— Niechże was wszystkich!

Pan Armin Swincke nie dał się zbić z tropu i szedł wciąż przy Gretli, sypiąc jej komplementa, pokrewne objętością i wagą działom jego ziomka Kruppa. Kiedy niekiedy jednak oglądał się na Anglika, czy go słyszy i uważa. Ciotka Purga trzymała berło rozmowy. Jako

osoba bywała i wygadana, opowiadała, jak cicerone i jak pisemko brukowe.

Przesuwały się przez jej usta legendy fantastyczne i dziejowe obrazy, plotki

małego miasteczka i historye o włoskich zbójcach.

Prusak słuchał uważnie, przerywając co chwila zapytaniami,

Francuz trzymał się z

tyłu, poświstując, w złym humorze, Anglik szedł w milczeniu, rzucając kiedy

niekiedy wzrokiem na Gretli.

Ciemno już było, gdy minęli bramę miasteczka. Wielka masa murów zamkowych

rzucała cień olbrzymi na dolinę. W wąskiej uliczce kręciło się, jak zwykle o tej

godzinie, mnóstwo ludzi, rozmawiających wesoło po całodzienniej robocie.

Powietrze wieczoru pełne było śmiechów, krzyków, zapachu przypalonej oliwy,

dzwonek kóz, wracających z łąki, urywków rozmów francuskich, niemieckich,

włoskich, schwyzertütsch, romansch i patois. Kobiety w
czarnych sukniach i
koronkowych chustach na głowie, tu i owdzie z włoskim
sztyletem srebrnym,
przebijającym warkocz, stały we drzwiach otwartych, albo
siedziały na niskich
słomianych stołkach przed progami domów.
Tu i owdzie chłopcy, z kurtkami, narzuconemi na ramiona i z
osadzonymi na tył
głowy śpiczastymi kapeluszami, trzymając się za ręce szli we
trzech lub we
czterech przez całą szerokość ulicy i śpiewali na głosy pieśni
ludowe lub
kawałki oper.
Czasami dziewczyna, stojąca na balkonie lub wychylona z
okna, podchwytywała
pieśń albo gdy

przychodziła kolej na Gildę lub Rozyne, zaczynała z pamięci
śpiewać jej rolę.
Chłopcy stawali u okna, nucąc zcicha wtór orkiestrowy, potem
zaczynały się duety
i tria, a gdy przyszła chwila na tutti, ulica cała łączyła się w
śpiewie, nie
gorszym może, niż na deskach opery prowincjonalnej.
— Co za życie w tym narodzie! — szepnął do siebie Mr.
Neaghton, przeciskając się
z trudem przez tłum, ponad którym jego ruda broda,
wyglądająca z pod szarego
kapelusza, górowała i świeciła towarzyszom, jak pochodnia.
— I jak śmierdzi czosnek z oliwą! — dodał Francuz.

Swincke mały i pękaty został w tyle, oddzielony od kobiet i od turystów falą ludzi, przez którą daremnie próbował się przecisnąć, krzyczał, pchał się, rzucał, rozglądając się przytem niespokojnie.
— Ależ to nie tędy do Hotel de Londres! — wołał. —
Panowie, panowie czekajcie!
Mr. Neaghlon i Monsieur Thevesnil! Żle nas prowadzą, błądzimy!
Czwórka jego towarzyszków nie słyszała wołania, czy może nie zważała na nie.
Owszem, ciotka Purga przyśpieszyła kroku, zagadując po kolei Anglika i Francuza, jakby chciała odwrócić ich uwagę.
Wiedzieli już obaj, że prowadzi ich do gospody, której właścicielem jest ojciec Gretli.
Pan Armin przecisnął się do nich wreszcie,

złany potem i czerwony, jak szynka westfalska, i zaczął szarpać ich rozpaczliwie za poły od surdutów, wołając, że źle idą i że do Hôtel de Londres dawno trzeba było zboczyć na prawo.
— Que diable! — zawołał pan Maryusz, wyrywając mu surdut niecierpliwie. — A bas les pattes, saligot!
Ostatnie słowa, co prawda, wymówił przez grzeczność ciszej.
— Ależ my nie idziemy wcale do naszego hotelu!
— Więc cóż z tego?
Pan Armin Swincke osłupiał.

— Jaktó... co z tego? — wybełkotał w najwyższym zdumieniu.

— Oczywiście. Tu czy tam, wszędzie będzie łóżko i kolacya. A gdzieindziej

gospodarz nie ma takiej córki.

— To ta dziewczyna jest córką oberżysty?

— A jest. Teraz może już uznajesz pan, że nie zmyliliśmy drogi?

— Ale gdzież tam! Właśnie w tem dowód, żeśmy zmylili. Gospodarz Hôtel de Londres

nie ma córki tylko jedynaka syna, który nas wiozł.

— Dlatego samego, że ma takiego gamonia, co na gładkiej drodze łamie powozy, warto u innego stanąć.

— A rzeczy nasze? A zamówione pokoje? A wieczerza?

— Pokoje będą na nas i tutaj czekały, wie-

czerzę zrobi nam ta śliczna Mädl, która nazywa się Gretli, uważasz pan? Jak to

brzmi: Gretli! Jak muzyka! A co do rzeczy, nie skonfiskują ich nam przecie!

Odeślą tam, gdzie będziemy.

— Ale akuratność, sumienność z naszej strony! Co pomyślą o nas?

— Je m'en fiche pas mal z tego, co o mnie oberżysta z Brig pomyśli!

Pan Armin był mocno zaniepokojony zachowaniem się Thevesnilla i obrotem, jaki

przybierały sprawy. Spróbował apelować do Neaghtona, który w ich spółce

podróżnej reprezentował najwyższą instancję za milczącą
ugodą. Biegł koło niego,
zadychając się i próbując daremnie dotrzymać w biegu
olbrzymim krokom, stawianym
przez Anglika. Ten ostatni pozostał obojętnym zupełnie na
jego przedstawienia.

— O co panu chodzi? — rzekł mu, odwracając rudą brodę do
goniącego za sobą

Niemca. — Możesz pan iść do Hotel de Londres! Cóż za
konieczność dla nas.

zatrzymywać się w tej samej oberży? Zrobisz nam nawet
przysługę, odsyłając nam
rzeczy, jak tylko nadejdą.

— C'est ça, c'est parfait! — potwierdził Francuz, nie umiejący
ukryć radości

wobec perspektywy pozbycia się pana Armina Swincke,
choćby tylko na kilkanaście
godzin.

Ale pan dyrektor wyższej szkoły der Hausverwaltung i tak
dalej w Kopenick pod

Berlinem był mężem niepożytej wytrwałości i granitowej
woli,

a solidarność pojmował inaczej od synów przewrotnego
Albionu i zepsutej

Babilonii nad Sekwaną. Raz z nim związawszy się, odczepić
się było trudno, żeby

nie powiedzieć: niemożliwe. Narzekał więc na losy,

zmuszające go kroczyć śladem

lekkomyślnych po krętych ścieżkach nieprawości, stawał na
noc i na dzień

jutrzejczy najstraszliwsze horoskopy, przepowiadał nawet, że
piwa na wieczerzę
nie będzie, ale szedł.

Pan Sebastyan Stuerli musiał się czegoś domyślać, bo spotkał
gości na werendzie,
prowadzącej do jadalni, i powitał ich z uprzejmością wielką.

W trzech

najlepszych pokojach czekała już gorąca woda i pachnące
ziołowym mydłem

alpejskim ręczniki, w jadalni na osobnym stoliku

przygotowane było nakrycie na

trzy osoby, a w środku stał świeży bukiet kwiatów górskich.

Kolacya była doskonała. Pani Rieka przykładła do niej sama
rękę, a jej omlety

miały słuszną sławę od Brig do Domo d'Ossola. Złote,

słodkawe wino krajowe

iskrzyło się w kieliszkach, jak brylanty i perły. Nawet pan

Armin Swincke

rozchmurzył zasepione czoło. Przy piątym kieliszku rozwiązał
krawat i rozwalając

się w krześle, zawołał z przejęciem:

— Nein, s 'ist janz jöttlich hier! Francuz był także w dobrym
humorze.

— Wie pan, że to świetny typ ta stara Szwajcarka — mówił do
Neughtona — A jak

ona opowiada! Ca a du cachet, jakiś pierwotny, świeży

urok tkwi w tych historyach. Żeby to żywcem chwycić,
ogłosić w »Figarze« lub

jakiej lżejszej »Revue«, miałoby powodzenie ogromne.

— Zrób pan to — rzekł Anglik.

— Pan pisujesz? — spytał Swincke ze zdumieniem.
Francuz skinął od niechcenia głową.

— Czasami, pour passer le temps.

— A, tak! Ja też myślałem, że pan chyba nie może być
literatem z profesyi, jak
ja.

Anglik uśmiechnął się.

— Dlaczego pan tak myślałeś? — spytał.

— Bo, bo... przecie literat musi być... No, panowie
powinniście zrozumieć
sami... Są pewne wymagania... warunki...

— Którym nasz przyjaciel Thevesnil nie odpowiada?

— Nie to, ale... co innego pisać tak, przy okazji...

Korespondencya, artykułik,
co innego zawodowo, pracować w literaturze, dzieła
wydawać...

— Skądże pan wiesz? — zaczął Mr. Neaghton, ale urwał,
widząc, że mu Thevesnil
daje znaki.

— Notre cher ami Swincke ma może słuszość — rzekł ten
ostatni, wymawiając
nazwisko »kochanego przyjaciela, jakby się we własnym jego
języku pisało

Sfingue. — Liczy się on przedewszystkiem z
charakterystycznymi cechami i
temperamentem swoich rodaków. Usuwając jednak
najzupełniej moją osobę z
dyskusyi, zaznaczyć muszę, że u nas usposobienia są odrębne.
Inaczej wygląda

całkiem książka nad Sekwaną, niż nad Spreą, inaczej i autor.

— Ależ przepraszam najmocniej! — zaprotestował gorąco Swincke. — Pan się najzupełniej myli, przypuszczając, że sędzę, jak ślepy o kolorach. Armin Swincke nie jest Bogu dzięki blagierem, a imię jego nietylko znane jest nad Spreą, ale i rodakom pańskim nie jest obce...

— Nie wątpię o tem wcale, — pośpieszył potwierdzić grzecznie Thevesnil.

— Nie dalej jak przed miesiącem, przed samym wyjazdem do Włoch, pomimo upałów i zajęć przy końcu roku szkolnego, wziąłem się do tłumaczenia pewnego francuskiego autora. O, bo my was, panowie Francuzi, lepiej znamy, studujemy bardziej, niż wy znacie samych siebie. Przyswajamy sobie każdą myśl piękniejszą i wyższą, jaka u was się zjawi...

— Niewątpliwie bierzecie panowie upoważnienie od autorów?

Armin Swincke spojrział na Francuza zdziwiony.

— Nie; ale ja przynajmniej zawsze posyłam im w darze egzemplarz tłumaczenia i to oprawny w czerwoną okładkę ze złotymi brzegami, z własnoręcznym napisem na tytułowej karcie.

— I im to wystarcza?

— Jak któremu — odparł, ruszając ramionami. — Wie pan, te nieszczęśliwe nieporozumienia polityczne! Zawsze ta utrapiona Alzacya i Lotaryngia! Jeden mi odpiął z impertynencyą, za-

miast podziękować za trud i za chwałę, jaką mi zawdzięczał.

— Panu? Przepraszam, ale jaby m myślał w mojej skromności, że przede wszystkim sobie.

— A któżby u nas wiedział o nim, gdybym ja go nie tłumaczył?

— A, u was — zapewne.

— Ale ten, którego tłumaczę teraz, ten będzie inny. Żadnych uprzedzeń, żadnej nienawiści — a styl, a wdzięk, a poezya! Wart być Niemcem! U nas nawet, w naszej plejadzie literackiej tak świetnej, miałby poczesne miejsce.

— Któż jest tym szczęśliwcem? — spytał Thévesnil ciekawie.

— Autor ślicznej podróży do Maroko i drugiej do Japonii, kilku tomów poezyi i nowel — ostatni tłumaczę: »Clartés et crépuscules« — przełożyłem »Lichter und Dämmerungen«. Nie znacie, panowie? Przeczytacie może tłumaczenie! Nazywa się Ramis, U. Ramis. Co to może być za imię, zaczynające się na U? Łamałem już nad tem głowę. Ubald? Ursus? Udalryk? Wszystko takie średniowieczne, dziwne — skąd on do takiego imienia przyszedł? Panowie nie znacie go? Panowie, do których zwracał się Armin Swincke, spojrzeli na siebie, jakby porozumiewając się oczyma, potem ruszyli ramionami, nie odpowiadając.

— Szkoda — ciągnął dalej niezmordowany autor historii miasta Köpenick w ośmiu grubych tomach. — Przepraszam za otwartość, ale u was

ignorancya nawet własnych waszych, francuskich rzeczy,
straszna. Od nas
dowiadywać się musicie o tem, co się dzieje we Francyi.
Może nie tak?

— Oczywiście, że tak — potwierdził, kłaniając się z lekkim
uśmiechem pan
Thévesnil.

— Wracając jednak do tej starej Szwajcarki, o której pan
mówiłeś... — zaczął
Neaghton.

— Wygląda jak czarownica — podchwycił Francuz. —
Włochy tu już czuć wszędzie w
każdym profilu, w każdym domu, w śpiewie, w krzyku, nawet
w zapachach
kuchennych. A przytem — che vita, che fuoco, jak oni tam
mówią! Miałbym ochotę
sprowadzić jeszcze tę babulkę, żeby nam do poduszki
opowiadała jaką straszną
historję o walkach Walezańczyków z berneńskimi sąsiadami.

— Późno już — rzekł Neaghton, spoglądając na zegarek.
W teże chwili jednak, jakby przeczuła lub posłyszała, że o
niej mowa, zjawiała
się we drzwiach ciotka Purga.

— Panowie zostają przez jutro w Brig? — spytała z tą
dobroduszną swobodą, której
górale alpejscy nie umieją się pozbyć nawet wobec Anglików
i Amerykanów.

— Zostajemy, zostajemy, oczywiście — odrzekł pan Swincke.

— Robicie panowie jaką wycieczkę?

— Oczywiście, oczywiście — potwierdził Niemiec, oglądając się jednak na Neughtona.

— Ja jutro idę do Belalp i Sparhorn — rzekł ten ostatni tym samym flegmatycznym i stanowczym głosem, jakim wycieczkę tę zapowiadał przed tygodniem w Pallanza;

— Tak, tak, naturalnie. Idziemy na Belalp i Sparhorn — powtórzył pośpiesznie Swincke.

— A przewodnika nie będziecie panowie potrzebowali? Anglik sięgnął do kieszeni, wyjął Baedekera i zaczął przewracać karty, nic nie odpowiadając.

— Będę potrzebował przewodnika — rzekł po chwili, przeczytawszy o odległości i warunkach wycieczki.

— Będziemy potrzebowali przewodnika, oczywiście — powtórzył jak echo tłumacz nowel U. Ramisa.

— Jabym panom nastreczyła jednego, pewnego, doskonałego, ale...

Ciotka Purga urwała, wahając się, mierząc oczyma turystów, jak gdyby chciała w nich zapuścić sondę i zarazem oglądając się wkoło, czy ich kto nie podsłuchuje.

W swoim czarnym czepcu, otoczonym koronkami w kryzie nad wysokim stanikiem, z żółtą, zaschłą jak pergamin twarzą i oczyma świecącymi, jak węgle, siostra Rieki

Stuerli wyglądała istotnie ciekawie. Artysta miałby z niej gotowy motyw do jakiegoś fantastycznego obrazu. Francuz wpatrywał się w nią z widocznym zajęciem.

— Co za typ! — powtórzył przez zęby.
Stara zdawała sobie dobrze sprawę z tego, że ją słuchają uważnie i chętnie.
Zdarzało się to zresztą nie pierwszy raz i dodawało jej pewności siebie.
Ileż razy za młodych lat dostawała srebrniaki za swoje opowiadania! złoto próbowali jej dawać młodzi turyści — ale oczywiście nie udawało się im skłonić do przyjęcia uczciwą dziewczynę. I teraz jeszcze, pomagając siostrze w gospodarstwie podczas sezonu i napływu gości, spędzała z nimi nieraz na rozmowie i opowiadaniach słotne zwłaszcza wieczory.
Teraz jednak, mimo swej zwyczajnej śmiałości, ciotce Purdze robiło się mdło koło serca, jak to sama później przyznawała. Chodziło o rzecz pierwszorzędnego znaczenia, o szczęście jej ukochanej Gretli, może i o zapewnienie na starość własnego losu z pomocą wdzięcznych krewnych — a droga była tak niepewna, nawet niebezpieczna! Ostatecznie — ludzi tych ona nie знаła — czy mogła być ich pewną?
Czy zechcą zrobić, o co ich będą prosili, czy nie zrozumieją fałszywie, nie

posądzą o próbę wyzysku, o intrygę? Może wyśmieją, może nawet zdradzą?

Ciotce Purdze wszystkie te myśli i wątpliwości kręciły się w głowie i ścisnęły za gardło, nie dając głosu wydobyć. Ale że to była osoba rezolutna mimo wieku, zapanowała więc prędko nad swoją słabością.

— No, to musicie panowie wiedzieć, że chodzi o rzecz bardzo ważną, ale zarazem i ściśle poufną i niebezpieczną. Może od niej zależeć szczęście dwojga ludzi, spokój i zgoda dwu rodzin, ale zarazem może się to obrócić na złe, na nieszczęście, może na śmierć...

— Cóż to znowu za historia? — mruknął Thévesnil.

— Cóż to ma wspólnego z naszym przewodnikiem i z naszą jutrzejszą wycieczką? — zawołał Swincke.

— Zaraz. Opowiem wszystko. Bądźcie panowie cierpliwi, a zobaczycie, że możecie stać się dla nas poprostu narzędziami Opatrzności.

Francuz uśmiechnął się sceptycznie, ale słuchał uważnie.

Anglik palił cygaro,

patrząc przed siebie i nie dając odgadnąć, czy słucha i jakie to na nim czyni

wrażenie. Pan Armin Swincke ruszał się niespokojnie na krześle.

— Byle to nie była apelacya do naszych kieszeni — mruknął półgłosem.

Ale Thevesnil dał mu niecierpliwie znak ręką, żeby nie przeszkadzał.

Ciotka Purga zaś opowiadała od początku historię dwu oberży i dwu serc, oraz wpływu na losy tych dwu serc — gwiazdki w Baedeckerze.

VII.

Trzej towarzysze podróży słuchali z coraz bardziej rosnącym zaciekawieniem.

Skoro tylko opowiadanie zaczęło przybierać wyraźniejsze kształty, Anglik spojrzął na Thévesnila.

— Coś w sam raz dla pana — szepnął.

— Tiens, tiens! Prawda! — odparł zagadnięty, nie spuszczać oka z ciotki Purgi, żeby nie stracić wątku opowiadania, w niezupełnie dla obcych zrozumiałym dyalekcie.

— Ależ bo to ja w tem gram najwybitniejszą rolę — zawołał pan Armin Swincke, gdy opowiadanie doszło do korespondenta Baedekera.

— Deus ex machina, przepraszam, ex Köpenick! — zaśmiał się Francuz.

— Nie — wtrącił Anglik — bo Deus wyskakuje ex machina dopiero przy rozwiązaniu, a nasz przyjaciel zawiązał tylko węzeł tragiczny. A któż go rozwiąże?

Ciotka Purga, która na chwilę przerwała opowiadanie, ale przysłuchiwała się

uważnie tej szermierce słów, wmieszała się teraz do rozmowy.
— Pozwólcie mi panowie skończyć opowiadanie — rzekła —
a zaraz się dowiedziecie, kto
może to nieszczęśliwe powikłanie rozciąć i skończyć, byle
zechciał.
Ciągnęła więc dalej rzecz o kłótniach Stuerlego z Catinellim,
o intrygach tego
ostatniego, o opiece, jaką biedna, rozdzielona niemiłosiernie
para znalazła u
niej, ciotki Purgi; wreszcie — o projektach Pierluigiiego.
— Od was zależy, zacni panowie, wrócić szczę-

ście tym biedakom i obu rodzinom zgodę — kończyła z
przejęciem i zapalem. — Los
mojej siostrzenicy w waszych rękach; wybaczcie intrygę,
którą was tu ściągnęłam
i otwartość, wywołaną waszą życzliwością, wybaczcie i
pomóżcie nam, a Bóg wam
zapłaci.

— Ale cóż my możemy zrobić? — zawołał Francuz
zdumiony.

Ciotka Purga wytłómaczyła mu, o co jej i Pierluigiemu
chodziło. Dodanie gwiazdki
w Baedekerze — to rzecz mała, a dla nich będzie kotwicą
ratunkową.

— Ale skądże my możemy to zrobić — odparł Thevesnil. —
Przecie my nie jesteśmy
korespondentami Baedekera: chyba ten jeden pan — dodał,
wskazując na Prusaka.

Ciotka Purga zrozumiała, że jej się chcą wykręcić i z całą
energją, leżącą w jej

charakterze, powiedziała w duszy: »Nic z tego, mój panie« — zaczął się tedy nowy szturm. Ci panowie myśleli zapewne, że to ot sobie spekulacja hotelowa na reklamę. Ale są przecie ludzie, świadkowie... Łatwo stwierdzić, w jakim stosunku zostaje ciotka Purga do szwagra oberżysty z »Post«. Na oczy się nie widują, nie znoszą. I teraz, jeśli ją Stuerli cierpi w domu, od gości nie pędzi, to dlatego tylko, że mu ich przyprowadziła! Inaczej: oho! nie puściłby jej do jadalni. I jej też o tego pasibrzucha, skapca, zdziercę w"arów i sierót nie chodzi. Niechby się darł zdrów z poganinem Wel-

schem; niechby się zjedli nawzajem. Ludziom byłoby lepiej bez nich na świecie. Tylko, że jest ta dziecina, panowie widzieli ją sami: kwiatek, perełka! A dobre to, a kochane — serce na dłoni; z ubogim ostatniem się podzieli; do pracy pierwsza, a pobożna, a skromna! Skarb jednym słowem — skarb. I to usycha, więdnije, a kiedyś ojciec ją zmusi wyjść za takiego gbura, jak on sam. Francuz próbował znów protestować przeciw możliwości odegrania jakiejś roli w przyszłych losach Gretli, ale stara nie dała mu przyjść do słowa.

Ona nie jest głupia, jak się komuś może zdawać. Jej byle czem zbyć nie można.

Trudno; zmusić tych panów nie może; ale gdyby chcieli, ileżby mogli zrobić dobrego! Ileż wdzięczności zachowanoby dla nich. Parę notatek w angielskim, francuskim i niemieckim wydaniu — to taka mała rzecz, a tyle od tego zależy.

Thevesnil chciał jeszcze coś odpowiedzieć, ale tym razem przerwał mu mr.

Neaghton:

— Daj jej pokój — rzekł mu po angielsku. — Z głowy jej nie wybijesz przecie tego, co sobie uroiła.

— Więc cóż robić? — odparł niecierpliwie Francuz w tym samym języku. — Przecież jej nie obiecamy rzeczy, których nie możemy zrobić, a odmówić, albo zmilczeć, to będzie u niej znaczyło, że nie chcemy jej pomódz. To zaś i nudne, bo końca nie będzie jeremiadom, i przykre, bo mi ich strasznie żal.

— Na wszystko jest sposób — rzekł spokojnie mr. Neaghton.

— Naprzód po części przynajmniej żądaniu jej można zadośćuczynić. Nasz towarzysz podróży jest przecie naprawdę korespondentem Baedekera i może naprawić to, co sam popsuł.

— No, ten! — machnął lekceważąco ręką Thévesnil.

— Przepraszam. Od niego dużo będzie zależało. My zaś cóż możemy? Korespondentami

przecie nie jesteŝmy.

— Ale jesteŝmy w stanie, kaŝdy w swoim zakresie, wiêcej
zrobić dla oberŝy »Post«
i dla tej ŝlicznej dziewczyny, która mnie zainteresowała, od
dziesięciu

korespondentów. Temu przecieŝ nie zaprzeczysz?

— Zapewne, zapewne; choć przyznam ci się, ŝeby mi to znów
było tak jasne...

— Aleŝ to rzecz najprostsza, mówię ci! Jeden artykuł w
dodatku literackim

»Figara« z twoim podpisem i historią tej starej i jej
siostrzenicy; jedno moje

opowiadanie o tem podczas sezonu w Jockey i w
Travellersclub, i podczas polowań

w Neaghtonhall ze sprawozdaniem i komentarzami w Pall-
Mall, albo innym jakim

high-lifepaper — czy wiêcej potrzeba?

Francuz uderzył się w czoło.

— Ŝwietna myŝ! — zawołał. — Ŝe mi to przedtem nie
wpadło! I co za doskonały

temat, jak to łatwo wyzyskać, ubrać... Perfectly, ani słowa...

Ciotka Purga podczas tej niezrozumiałej dla niej rozmowy
rzuconą była na pastwę

Armina

Swincke. Autor oŝmnastu oryginalnych dzieł, czterdziestu
trzech broszur i

licznych tłómaczeŝ zasypywał ją biograficznymi i
apologetycznymi szczegóлами co

do swej osoby, biorąc ją równocześnie co do obu hotelów, ich
właścicieli i

rodzin, oraz domowników tych właścicieli na tak ścisły,
sumienny i szczegółowy
egzamin, że osoba mniej energiczna i wygadana od niej,
musiałaby niechybnie
języka w ustach zapomnieć.
Ale ciotkę Purgę nie łatwo było zbić z tropu lub przegadać.
Tylko terkocząc z
Prusakiem na wyścigi podnieśli w końcu taki krzyk, że
Thevesnil nie wytrzymał.
Urwał w połowie rozpoczęty frazes i zawołał do Anglika:
— Chodźmy, na miłość Boga! Głowa pęka! Mr. Neaghton
spojrzał na zegarek.
— Trzy na dziesiątą — rzekł. — O dziesiątej w podróży,
zwłaszcza przed
wycieczką, zawsze się kładę. Za pięć minut byłbym się
oddalił, ale że nasz
przyjaciel jest tak głośny, więc idę zaraz.
— Ale cóż z przewodnikiem?— spytał Maryusz.
— Będzie, będzie — pośpieszyła objaśnić ciotka Purga. —
Ale nie gniewajcie się,
panowie. Spotkacie go za bramą, żeby ktoś nie zobaczył i ojcu
nie doniósł, bo to
właśnie ten Pierluigi, o którym mówiłam. Nikt lepiej nie zna
wszystkich alm i
ścieżeczek w górach, jak on, nikt od niego nie jest
zręczniejszy, śmielszy.
Wstyd powiedzieć, ale prawda: żaden z naszych chłopaków
synowi tego Welscha nie
dorówna. I skąd mu to się wzięło?

Bo przecie wiadomo, że co Włoch, to tchórz i ciemiega do
wszystkiego, co nie
jest pieniądzem i szachrajstwem. Ale już mu to widać
przeznaczone było zostać
mężem mojej ślicznej Gretli, i w tem przewidywaniu dał mu
Pan Bóg przymioty
Szwajcara, zamiast wad jego pobratymców włoskich.
Z temi słowami ciotka Purga pożegnała turystów, a miejsce jej
zajął pan
Sebastyan Stuerli we własnej osobie i uchylając czerwonej
czapeczki, zapytał
uprzejmie, czy kolacya smakowała i czy wino było dobre, a
następnie wziął świecę
do ręki i sam poprowadził gości na górę, do przeznaczonych
im pokojów.

VIII.

Cały następny dzień spędzili nasi podróżni, drapiąc się na
alpejskie szczyty i
schodząc z górskich dróg na kozie ścieżki wśród przepaści.
Anglik był
niestrudzony i nie zdający się pojmować, co znaczy
niebezpieczeństwo lub
trudność. Thevesnil miał odwagę wściekłą, a siłę zastępowały
mu nerwy. Pan Armin
Swincke narażać się bez potrzeby nie lubił, ale w potrzebie nie
tchórzyl, ani
się cofał, zwłaszcza, gdy chodziło o zobaczenie lub
dowiedzenie się czegoś.
Robili też istne szaleństwa, kończące się jednak szczęśliwie,
dzięki zimnej krwi

i praktycznemu zmysłowi Anglika, któremu dzielnie
dopomagał Pierluigi. Ten
ostatni przypadł wszystkim do serca. Nawet pan Armin, z
którym stał się śmiało,
zaprzeczając jego szyderczej uwadze o bał-

wochwalczej czci, oddawanej przez katolików Matce Boskiej i
Jej obrazom,
pogodził się z nim niedługo.

— Pfaffenknecht, jak oni tu wszyscy, ale i my mamy u siebie
nielepszyc — rzekł,

wzdychając smutno na wspomnienie centrum i jego
niegodziwości. — Zresztą jednak

chłopak doskonały, zwinny, sprytny, miły, a przytem jest w
nim eine echt
germanische Biederkeit.

— Czy jest w nim germańska... jakto pan tę cnotę waszą
nazwał, tego nie wiem —

odparł Francuz — to wiem, że ma typ włoski przedziwny, jak
gdyby zdjęty z

»Wiosny« lub z »Anielskich chórów« Sandra Botticelli.

— A przytem ta jego nieszczęśliwa miłość wzrusza mnie i
napęnia sympatyą dla

biednego młodzieńca — dodał sentymentalnie laureat Harfy
Eolskiej.

Wrócili więc w najlepszych usposobieniach do Brig późnym
wieczorem. Przed

miastem pożegnał ich Pierluigi, przeprasząc, że z obawy o
ojca dalej im

towarzyszyć nie może i umawiając się co do następnej
wycieczki nazajutrz.

Dochodząc do hotelu, posłyszeli rozlegający się w dziedzińcu
gwar i hałas
podniesionych głosów
— Zatrzymajmy się chwilę — rzekł mr. Neaghton, stając
przed bramą.
Zdarzyła się rzecz, którejby nikt po aksamitnym i giętkim
Gianantonio Catinelli
nie był przypuścił Wyszedł z cierpliwości. Czy jakiś
niepowołany świadek
dosłyszał ka-

wątek narady ciotki Purgi z Pierluigim, a pochwyciwszy nić
intrygi, dotarł po
niej do kłębka, a potem pośpieszył donieść Włochowi o
zdradzie? Czy podpatrzono
przewodnika, oprowadzającego po górach tych samych
turystów, którzy hotelowi
jego ojca zrobili taki zawód i wstyd, przenosząc swe manatki
do współzawodnika?
Czy może nawet — czemu uwierzyć trudno i musiała to być
plotka wymierzona przez
zazdrosne siostrzyczki z błękitnej konfraternii przeciw
przewodniczącej
konfraternii szarej, słynącej co prawda z wielomówstwa —
sama ciotka Purga nie
umiała utrzymać w sekrecie swoich przewrotnych planów i
sangwinicznych nadziei?
»...Nikt o tem nie wiedział ni wówczas, nipotem«.
Jakkolwiekbaż i skądkolwiek plotka wyszła, signor Catinelli
wiedział już, co

się święci, a czego nie wiedział, tego się domyślał. I poraz pierwszy może od tych czasów, kiedy w młodych latach rzucał nożem w ostery na towarzyszków zabawy, gdy się z którym posprzeczał przy winie lub przegrał parę soldów w more, Gianantonio stracił zimną krew, a raz ją straciwszy, zawrzał jak wulkan.

U tych ludzi Południa dwa są rodzaje gniewu, jak i dwa całkiem od siebie różne gatunki temperamentów. Dwóch facchinów skacze do siebie na ulicy, jak dwa rozwścieklone walką koguty: z oczu ich lecą iskry, błyskawice, pioruny, z ust sypią się gradem przekleństwa i wyzywania, ręce wywijają młynka około twarzy przeciwnika — za

chwile, zdaje się, chwycą za nóż i ugodzą... Nie bójmy się. W kłótni tej niema nic strasznego. Ręce, wygrażające namiętnie, nie dotkną się nigdy twarzy, a przekleństwa, gdy im się przysłuchać, obrażają tylko świętych pańskich, przeciwnika oszczędzają. Ta walka pozorna, to tylko objaw gorącego i bujnego temperamentu — od wszelkiego zapomnienia się, ubliżenia sobie nawzajem i grubiańskiej trywialności chroni obu krzyczących przedewszystkiem wrodzona i

wyrafinowana wykwintność ich starej kultury, poczęści zaś
także bardzo silny
instynkt zachowawczy, ostrzegający, że kto bije, bywa bitym,
a kto łaje, naraża
się również na niemiłą wzajemność. I dlatego, gdyby dobrze
zważyć, jeden Niemiec
w złym humorze przez jeden wieczór w knajpie, jeden Madiar
w dobrem usposobieniu
przez kwadrans więcej wkoło siebie rozsypie obelg i
złorzeczeń i więcej
nastreczy okazji do kułaków, niż dwudziestu Włochów przez
rok. Zdarza się jednak
niekiedy inaczej. Takiego Włocha, zgiętego zawsze jak
syczoryk, z uśmiechem, nie
schodzącym z ust, z nogami, stąpającymi bez szelestu i
karkiem z gutaperki, ktoś
obrazi, ale naprawdę, albo przyniesie mu szkodę, wówczas on
nie piorunuje, nie
krzyczy, ani skacze do oczu. Usta mu się tylko zaciskają, tak,
że ich nie znać;
twarz blednie, oczy zdają się, jakby zapadły gdzieś w głąb i
jakby z jakiejś
otchłani czarnej płomyk wydobywał się w górę, niedobry, a
ostry, jak sztylet Źle
być wtedy w pobliżu, gorzej, gdy się ma

ostrze takiego wzroku przeciw sobie. Lepiej mieć przed sobą
czterech angielskich
bokserów, albo całą kupę niemieckich burschów, mających
kolejno próbować na

skórze przeciwnika swoich tępych rapierów, niż takiego
jednego małego i czarnego
jegomościa ze sztyletem w oczach i drugim w zanadrzu.
Signor Gianantonio Catinelli nie powiedział żadnej
impertynencji właścicielowi
»Post«, choć z nim rozmawiał od kwadransa; nie podniósł
nawet głosu. Mówił
zwolna, sycząc trochę — oczy trzymał spuszczone ku ziemi.
Ale kiedy je czasem na
jedną chwilę podniósł, wtedy był poprostu straszny. Wiły mu
się w oczach
skorpiony i węże, czyhając, zdaje się, na to, aby rzucić się na
swoją ofiarę i
śmierć jej zadać.
Za to pan Sebastyan czerwony był, potem oblany, trzęsący się
od złości.
Talerzami rzucał, skorupy nogami miażdżył, klątwy
najdosadniejsze dobierał.
Pienił się. Wszystko, co miał przeciw Włochowi na wątrobie,
ciskał mu teraz na
głowę, bezładnie, urywkami, niezrozumiale. Więc i osiedlenie
w Brig, i
rywalizację, i intrygi, nie zapominając
O najczarniejszej z Baedeckerem, i skupowanie gruntów od
biedaków (choć Bogiem a
prawdą Catinelli szedł w tem tylko jego własnym torem) i
sprawę ciotki Purgi —
czego tam nie było!
Gianantonio słuchał uważnie i spokojnie, chociaż z twarzą
białą, jak płótno i z
kurczowo zaciśniętymi pięściami. Kiedy niekiedy odcinał się

jednym lekkim słowem — ale ono cięło tak samo, jak jego wzrok.

W ten sposób cisnął już Stuerlemu kilka zarzutów i kilka gróźb, które wiedział, że go trafią głęboko. Więc zapowiedział, że mu przeszkodzi być burmistrzem, co było od wielu lat tajemnym marzeniem pana Sebastjana, i dał mu do zrozumienia, że znalazł środki do podkopania jego kredytu od Lucerny do Werony. Że zaś Gianantonio nie groził na wiatr nigdy, wiedział dobrze, że groźba jego bez wrażenia nie przejdzie. Teraz jednak przygotowywał przeciwnikowi cios w samo serce.

Przez chwilę pozwolił w milczeniu fali inwektyw i złorzeczeń toczyć się sobie ponad głową. Owszem, uśmiechał się, jak smakosz, gotujący się na spożycie delikatnego kąska. Wreszcie usta otworzył i głowę podniósłszy, ogarnął nieprzyjaciela tryumfującym, nieprzejednanym spojrzeniem. — Panu Sebastjanowi Stuerli słusznie przystoi obsypywać mnie obelgami — rzekł — skoro godna jego córka z rozkazu przezacnego ojca zapewne romansuje z moim synem, schadzki z nim miewa, uwodzi go i tak mu głupią jego głowę zawraca, że chłopak mnie, ojca, dla niej i dla pana zdradza. Stuerlemu oczy na wierzch głowy wylazły z oburzenia i gniewu. Zachłysnął się,

zająknął, zabelkotał niewyraźnie, nim zdobył się na odpowiedź.

— Co, jak? — zawołał. — Fałsz, kalumnia! Dowody!

Wówczas powoli, spokojnie, z pauzami, podkreślającymi efekta opowiadania, z szyderczymi błyskami w oczach, signor Catinelli zaczął opowiadać całą historię zdrady swego syna i intryg ciotki Purgi i Gretli. Znał ją, niestety, dokładnie, choć dla gorszego przygnębienia przeciwnika, opowiadał po swojemu, przesadzając, naciągając, koloryzując wedle potrzeby. Wczoraj jeszcze było to wszystko dla niego tajemnicą zupełną, ale ten dyabeł włoski, jak go nazywała ciotka Purga, miał dziwny dar orientowania się i kombinowania i raz wpadłszy na trop, wyśledził wszystko. Że Sebastjana Stuerli w tej chwili nie zabiła apopleksya, to dowodzi, że mimo burakowej twarzy, wolego karku i trzech podbródków, można nie być do niej usposobionym. I istotnie, oberżysta z »Post« nie domyślał się niczego; nawet intryga ciotki Purgi i Pierluigiego z turystami zrobioną była poza jego plecami. Domyślał się tylko, że mu szwagierka sprowadziła gości nie tyle przez życzliwość dla niego, ile z chęci splątania przykrego figla Włochowi. Tem wściekleszy gniew go

ogarnął, gdy zobaczył, że i jego wyprowadzono w pole.
Zapomniał o korzyściach,
jakie z tego mogły wyniknąć dla niego i jego oberży;
zapomniał o szkodzie i
złości Catinellego: jedno mu tylko stało w oczach, działając na
niego, jak
czerwona chusta na rozjuszonego byka: żona i córka i ta
przeklęta wiedźma Purga
oszukały go, wypro-

wadziły w pole i wbrew zakazowi próbowały nawiązać
zerwane projekty z
Pierluigim.

— Gdzie ona, ta dyabelska córka? — wrzasnął, rzucając się
do kuchni.

Ale ciotka Purga przy pierwszych słowach Włocha uznała za
właściwe usunąć się z

poła dyskusji, przewidując nie bez słuszności, że może ona
stać się łatwo polem

bitwy i zwłaszcza dla niej miejscem pobicia. Przed odejściem
jednak miała

przytomność szepnąć siostrze przestraszonej stówko rady:

— Skoro już tak daleko zaszło, niema co cofać się i tchórzyc.

Gorzej już

wściekać się twój stary nie będzie, niż teraz, więc mu odrazu
wszystko szczerze

powiedz.

I pani Rieka zebrała się na odwagę.

— Siostry mojej już niema tu — rzekła spokojnie
rozszałamemu mężowi. — Ale co

ona robiła, to robiła w porozumieniu ze mną. Miałam nasze dobro na celu, a nadewszystko dobro dziecka. Nietylko zaś ono twojem jest: jest i mojem — mam więc i ja słówko do powiedzenia, kiedy chodzi o szczęście jego całego życia.

Niktby zahukanej i przestraszonej pani Rieki nie poznał w tej chwili. Nietylko wypowiadała śmiało i głośno swoje zdanie, ale nawet wypowiadała je nader wysokim i donośnym, choć piskliwym dyszkantem, Pan Sebastyan tak zdumiał się tym buntem

pokornej dotąd towarzyszki życia, że w pierwszej chwili złość jego ustąpiła oszołomieniu.

— Niechże mnie zaraz trafi, jeśli rozumiem, Kreuzhimmeldonnerwetter... — zaczął, ale nie skończył tego długiego wyrazu, w którym mieścił zazwyczaj wszystkie nieprzyjemności, mające jego lub innych trafić, bo mu przerwał mr. Neaghton.

IX.

Wraz ze swoimi towarzyszami przysłuchiwał się on ciekawie i uważnie całej tej scenie, a szczególnie Catinellemu, równocześnie zaś porozumiewał się wzrokiem kiedy niekiedy z Thevesnilem, który widocznie się bawił włosko-niemieckim

konfliktem.

Teraz jednak, kiedy wedle wszelkiego prawdopodobieństwa po chwilowej pauzie miał nastąpić ostateczny i najstraszliwszy wybuch rozigranych namiętności, uznał za właściwe wmieszać się.

— Zdaje mi się — rzekł do obu swych towarzyszków — że nadeszła dla nas chwila odegrania w tej tragedji roli Dei ex machina, skuteczniej jednak, niż to uczynił pan Swincke.

— Ależ jak? — spytał Niemiec.

— Zobaczysz pan zaraz — odparł mu i skinąwszy na Francuza, podszedł do kłócących się.

Był już ostateczny czas wmieszać się pomiędzy nich. Pan Sebastyan, mimowoli opanowany elokwencyą żony, zostawił ją w spokoju, ale rozju-

szony do ostateczności, gotował się właśnie zwrócić wybuch swego gniewu wraz z ciężarem olbrzymiej maczugi, za którą chwycił, przeciw sprawcy wszystkich swych nieszczęść i kłopotów. Zaś Gianantonio stał spokojny, ale przed chwilą już wyjął nieznacznie z kieszeni składany nóż, otworzył go, i teraz obracał zwolna w rękawie.

Mr. Neaghton zbliżył się do niego i rękę mu położył na ramieniu.

— Come sta, Gianantonio? — spytał swym gardłowym, wyspiarskim akcentem.

Włoch drgnął nerwowo, obrócił się i w rozdrażnieniu miał na ustach, zdawało się,

jakaś ostrą odprawę natrętowi, wbrew zwyczajnej swej grzeczności, ale w tejże

chwili twarz mu się rozjaśniła, okrągła czarna czapeczka spadła mu z głowy i

bogaty właściciel hotelu Londyńskiego rzucił się do ręki Anglika, podnosząc ją

do ust.

— Eccellensa! — zawołał z niekłamaną radością. — Che fortuna! Skądże, kiedy,

tutaj?

— To ja ciebie spytać powinienem, skąd się tu wzięłeś — odrzekł mr. Neaghton —

myślałem, że siedzisz gdzieś między Weroną i Brescią.

— Ot, długoby gadać! Ale jeśli wola i łaska Ekscelencyi, opowiem wszystko przy

kieliszku najlepszego Chianti albo Astispumante, jaki mam w piwnicy. No, przecie

nie odmówi tej łaski książę pan...

Pan Armin Swincke przypatrywał się i przysłuchiwał z coraz większym zdumieniem,

wreszcie nie wytrzymał.

— Książę! — zawołał — książę!... Ale jakże to? Jakim sposobem? Przecież ja mam kartę...

I zaczął gorączkowo szukać w pugilaresie biletu wizytowego, otrzymanego w

Pallanza.

Francuz bawił się jego zdumieniem jeszcze lepiej, niż przed chwilą kłótnią oberżystów.

— Nie trudź się pan daremnie — rzekł wreszcie, śmiejąc się i próbując wstrzymać poszukiwania wśród papierów. — Na karcie naszego przyjaciela nie stoi nic więcej, niż to, co pan widział. Tylko, żeby pana uspokoić, powiem, co znaczą trzy litery przed jego nazwiskiem. Czy zgoda, Lesterze? Mr. L. A. W. Neaghton ruszył tylko ramionami, nie odpowiadając.

— Otóż, panie Arminie Swincke, rektorze, prezesie, laureacie, literacie...

przepraszam, że w szczegóły godności pańskich nie wchodzę, bo na to mój bagaż,

umysłowy zbyt jest lekki, aby je zapamiętać, — L. znaczy Leicester i jest

imieniem własnem, nadawanem zawsze starszym synom głównej linii tej rodziny; A.

znaczy Archibald i jest także imieniem własnem; W. oznacza Westmoreland i jest

nazwiskiem, z którem się łączy tytuł książęcy i mała bagatela, dwa czy trzy

krocie tysięcy funtów rocznego dochodu, obok kilku tuzinów zamków w trzech

królestwach wielkiej Brytanii i na kontynencie, wraz z odpowiednią ilością akrów

ziemi pastwnej i uprawnej i tym podobnych rzeczy.

— Ale Neaghton? Dlaczego Neaghton? — wo-

łał w rozpaczliwym zacierzewieniu rektor z Köpenick.
— Neaghton, jest nazwiskiem rodziny, której naczelnik tylko
nosi tytuł księcia

Westmoreland, podobnie jak Howard jest nazwiskiem
rodzinnem księcia Norfolk, a
Berkeley księcia Northumberland. Nasz przyjaciel zaś, z
bardzo zrozumiałych
względów, woli go używać w podróży, żeby nie zwracać
uwagi i nie odróżniać się
od innych. Przecie to bardzo naturalne i pan na jego miejscu
zrobiłbyś pewnie to
samo.

— O, co to, to nie! — odparł z naiwnem i pewnem
przeświadczeniem pan Swincke.
I zwracając się do księcia, zaczął go z wielką uniżonością
przepraszać za
dotychczasową śmiałość i bezceremonialność, trzymając
kapelusz w ręku i
tytułując co drugie słowo, w pomieszaniu, naprzemian jako
Altesse, Your Lordship
i Fürstliche Gnaden.

Mr. Neaghton, recte Duke of Westmoreland miał widocznie
dosyć całej tej sceny,
która robiła go punktem środkowym dla coraz większego koła
gapiów w dziedzińcu i
na ulicy. Odwrócił się bez ceremonii od kłaniającego mu się
nizko i
zabiegającego na prawo i na lewo z komplementami Prusaka i
wziął z jednej strony
pod rękę Catinellego, a z drugiej schwycił pana Sebastjana.
Ten był tak odurzony niespodzianym obrotem sprawy, że nie
opierał się, milczał z

wybałuszonemi oczyma i dawał robić z sobą, co chciano.

Mr. Neaghton wprowadził obu oberżystów do małego pokoiku, przytykającego do jadalni i stanowiącego, jak opiewał napis na tabliczce, drawingroom dla gości.

Na progu odwrócił głowę i skinął na swych towarzyszów.

— Maryuszu, panie Swincke, chodźcie, panowie — rzekł im.

Swincke rzucił się z pośpiechem, spełniając książęce wezwanie, Thevesnil poszedł

za nim wolniej, śmiejąc się z agitacji jego nerwów.

Audytorium, stojące w dziedzińcu, próbowało zbliżyć się bodaj do drzwi, poza

którymi zniknęli turyści. Cisnęła się więc na przedzie pani Rieka, zupełnie już

uspokojona nietylko co do obecnej chwili, ale i co do przyszłości Gretli, choć

gdyby ją spytać, nie umiałaby nic innego odpowiedzieć, oprócz chyba: »Teraz, to

już wszystko pójdzie dobrze«.

Szła za nią Gretli różowa, uśmiechnięta, choć drżąca jeszcze i z resztką łez w

oczach, podobna do świeżo rozkwitłej różyczki, zwilżonej wiosennym. deszczykiem.

Pchała się i ciotka Purga, która w mig przeczuła wracającą pogodę, i gruba

kucharka z chochlą w ręku i służący bez surduta, ale w białym krawacie i nawet chłopcy stajenni.

Kilkunastu gapiów ulicznych, zwabionych niedawną kłótnią i zaciekawionych jej

oryginalnem rozwiązaniem, podsuwało się nieznacznie ku
domowi.

Wtedy we drzwiach od jadalni pokazał się Armin Swincke,
poważny, uroczysty,
pełen poczucia swego dostojństwa.

— Przyjaciele moi — rzekł tajemniczo, podnosząc w górę
palec — Jego Ekscelencya,
milord, książę pan — ma teraz konferencję w ważnej sprawie,
w bardzo ważnej, o!
szanujcie jego spokój, jego dostojną wolę... Obrady toczą się o
sprawach, dobro
publiczne mających na celu. Tyle wam tylko na teraz mogę
powiedzieć.

Ale Szwajcarowie nie darmo są republikanami i szanują tytuły
o tyle tylko, o ile
mogą na ich podstawie podwyższać rachunki hotelowe.
Pojawienie się rektora laureata wywołało tylko głośniejsze
szmery i wybuchy
pozbawionej wszelkiego respektu wesołości. Prezes
towarzystwa ochrony zwierząt w
Köpenick pośpieszył zniknąć za drzwiami, mrużąc pod
nosem.

— Bydło! Gdyby to u nas, bagnetami-by to wykłóć należało i
szablami rozpędzić.

Nie potrzeba było jednak tak gwałtownych środków, bo
niezwłocznie znów drzwi się
otworzyły i ukazał się Thevesnil, który gestem bulwarowego
łobuza pozdrowił
ciekawe grono czapeczką i śmiejąc się, dał im znak
pożegnania. Zaśmieli się

wszyscy i za chwilę na werendzie nie było już nikogo.
A tymczasem w drawing-room toczyła się istotnie poważna konferencja.

Przewodniczył w niej Anglik. Pozbył się zwykłej swej chłodnej i milczącej powierzchowności, ożywił się i rozporządzał energicznie, sadzając obok siebie na wstępie obie wojujące strony.

— Cóż, Gianantonio? — zaczął, klepiąc Catinellego po ramieniu z poufałością, którejby nikt w nim nie przypuścił — czy pamiętasz te czasy, kiedyśmy włóczyli się razem po twojej pięknej ojczyźnie?

— O, Madonna mia! — zawołał Włoch, uderzając w dłonie z zapalem — jażbym miał o tem zapomnieć! To były przecie najlepsze lata mego życia — i one stały się podstawą całego mego losu dzisiaj! Panowie tego nie wiecie — ciągnął dalej, zwracając się do towarzyszków podróży księcia. — Nim stałem się z łaski milorda tem, czem jestem, nędzny charlak był ze mnie. Dawne to dzieje: ćwierć wieku temu. Miałem po ojcu trochę kapitaliku, straciłem cały w chybionych spekulacyach, jeszcze w długi załazłem. Do więzienia mnie nawet wpakowano za to. E vero! Wypuścili potem, ale każdy uciekał odemnie. Głodem marłem i już, już miałem rękę na siebie nałożyć...

W panu Sebastyanie odezwała się przytłumiona na chwilę nienawiść.

— Tfu, poganin jakiś! — mruknął, spluwając. Catinelli nie zauważył tego, czy może w swoim dobrym humorze nie chciał widzieć.

— Wtedy mnie obdartego, głodnego, zrozpaczonego spotkał milord.

Mr. Neaghton machnął ręką, jakby mu chciał przerwać.

— O, niech Ekscelencya pozwoli. Przecie uratowałeś mi życie i więcej niż życie, bo zbawienie

duszy! Milord mnie spotkał, opatrzył, pozapłacał długi, dał fundusz na utrzymanie matki, która żyła jeszcze, ale umierając z głodu jak i ja, wreszcie wziął mnie do usług i to nie jako zwykłego służącego, ale jako kuryera*).

— Potrzebowałem go właśnie, bo mój dawny kuryer zachorował i musiał mnie porzucić.

— Tak, ale mógł książę mieć za te pieniądze najlepszego i najsławniejszego od Medyolanu do Katanii. Tymczasem wziął mnie, który miałem tyle wyobrażenia o geografii i zabytkach Włoch, co o Chinach. Wziął mnie z pensją poprzednika, choć wiedział dobrze, że na nią, ani na żadną wogóle nie zasługiwałem.

— Zasłużyłeś prędko, boś miał zmysł orientacyjny, jakiego nie spotkałem u nikogo. Było to coś niesłychanego istotnie, jak w miejscu nowem człowiek ten odrazu wszystko wiedział, wszystko umiał wytłómaczyć, wszędzie zaprowadzić. Był przytem niezmordowany, a po całodziennej bieganinie nocami ślęczał nad książką, ucząc się geografii, historii i artystycznych katalogów. Tak, tak, caro mio, miałem skarb w tobie prawdziwy.

*) Kuryerami nazywano dawniej przed ułatwieniem komunikacyi kolejami, a po części i później, patentowanych przewodników dla bogatych turystów angielskich we Włoszech. Kuryerowie ci, wynajmowani w Londynie, obwożą swoich panów po półwyspie całym, zajmują się wszelkimi ułatwieniami podróży i spełniają przytem funkcye kamerdynerów.

— I długoś go miał przy sobie? — spytał Thévesnil.

— Dwa lata, do ożenienia.

— A po ożenieniu? — spytał Prusak.

Ale nie otrzymał odpowiedzi, więc nie zrażając się, powtórzył natrętnie pytanie.

— Potem... nie potrzebowalem — odparł Neaghton przez zęby, nie odwracając głowy.

Pan Armin Swincke miał już na ustach pytanie dlaczego jego książęca mość nie

potrzebował dalszych usług Gianantonia Catinelli, ale Francuz spojrzął na niego

z ukosa i odciągnął go na bok.

— Dajże pan raz pokój z pytaniami swemi! — syknął

niecierpliwie. — Milordowi

żona chorowała, począwszy od ślubu, przez pięć czy sześć lat na Maderze, potem

umarła — a on nie może znieść wspomnienia straty, której nie przeboleał

dotychczas, chociaż ją stara się zagłuszyć włóczęgą po świecie.

Armin Swincke uderzył w ręce głośno i zaczął kiwać głową.

— Wie romantisch! — zawołał. — Cóż za ciekawa historia!

— Cóż się z tobą działo przez tych dwadzieścia lat? — spytał tymczasem Anglik

Gianantonia.

— A cóż? Żyło się z łaski Ekscelencyi. Ożeniłem się za pieniądze, dane mi przez

milorda, założyłem naprzód sklepik, potem oberżę w

Campiglio, potem spróbowałem

spółki — wreszcie tu osiadłem i szłoby nie źle, gdyby...

Urwał, patrząc z podełba nader wyraziście na swego współzawodnika, Stuerlego.

Ten ostatni poczerwieniał pod tym wzrokiem, zjeżył brwi i począł sapać głośno.

— Aha, gdyby — mruknął i chciał dalej mówić, ale mu przerwał mr. Neaghton.

— Słuchaj-no pan — rzekł, zwracając się równocześnie do obu przeciwników — i ty

uważaj, Gianantonio. Mam dla was pewną propozycję.

Catinelli skłonił się z uśmiechem, przykładając rękę do piersi,
Stuerli schylił
również głowę niezgrabnie.

— Wedle rozkazu, najchętniej — wybełkotał. Milord
wyciągnął długie nogi przed
siebie i oparł
się wygodnie o poręcz fotelu, jak człowiek, przygotowujący
się do dłuższej
przemowy.

— Siadźcie, moi przyjaciele — rzekł do obu oberżystów.
Włoch skłonił się prawie do ziemi, wyrzekł z przejęciem:
Tante grazie,
Eccellensa ! — i usiadł.

Stuerli uznał za potrzebne ceremonizować się wobec
wysokiego dostojęstwa swego
gościa, aż go zniecierpliwiał.

— Ależ bo mnie wygodniej mówić do pana, gdy siedzisz —
rzekł wreszcie Neaghton.

Dopiero ten argument przekonał oberżystę z »Post«. Usiadł na
brzeżku krzesła i
swe ogromne wypukłe oczy wlepił w milorda z takim
wyrazem, jak wół, słuchający
muzyki Wagnera.

— Chcę wam obu zaproponować pewien interes — mówił
dalej milord.

Obaj oberżyści znów schylili głowy.

— Pan, mości Stuerli, masz córkę śliczną, sprytną i uczciwą
— znam ją od
wczoraj, ale mogę śmiało powiedzieć, że mało spotkałem
podobnych dziewcząt.

Tobie, Gianantonio, można pozazdrościć syna. Dzieci stworzone dla siebie — wam starym, byłoby sto razy lepiej obu, gdybyście przestali szkodzić sobie nawzajem i wspólnie dla dzieci zaczęli pracować. Ale cóż! Wyście obaj głupi, i ty, Gianantonio, i ty, mości oberżysto z »Post«, bez obrazy pańskiego honoru.

— E vero, verissimo, Mccelenza! — potwierdził Włoch, uśmiechając się i dorozumiewając się odrazu myśli mówiącego.

Ale pan Sebastyan miał zwyczaj myśleć powoli. Insynuacja milorda obruszyła jego republikańską godność obywatela wolnej Szwajcaryi, właściciela pierwszej (we własnym przynajmniej mniemaniu) oberży w Brig i kandydata na burmistrza tego miasta.

Próbował zaprotestować — ale oburzenie paraliżował wzgląd na dostojęństwo milorda.

— Śmiałybym zwrócić uwagę waszej książęcej mości... — zaczął.

Książę przerwał mu skinieniem ręki.

— Powtarzam raz jeszcze: jesteście obaj głupi, kolosalnie głupi, moi panowie oberżyści.

Pan Sebastyan otworzył usta, ale nie znalazł w nich odpowiedzi.

— Kłóćcie się, kopiecie pod sobą dołki, staliście się
pośmiewiskiem plotkarzy,
dalej zaczniecie się czubić. Co z tego będzie — łatwo
przewidzieć. Możecie obaj
przepaść, w każdym razie poniesiecie szkód bez liku. A co
najgorsze — skwasicie
młodość, możecie zwichnąć życie waszym dzieciom dobrym i
miłym. Młodość zaś, ta
nie wraca i życie zwichnięte nie naprawi się łatwo.

— Ten Neaghton jest paradny! — szepnął Thevesnil do
Prusaka, nie mogąc
wytrzymać. — Milczy, bo milczy, ale jak przyjdzie do
gadania, quand il s'y met!
Go za kazanie. Każdy z tych Anglików to urodzony pastor.
Tym razem stała się rzecz niespodziewana i całkiem
nadzwyczajna. Armina Swincke
tak zmieszał lekki ton, z jakim Francuz odzywał się o jego
książęcej mości,
że... pozostał dłużnym odpowiedzi.
Milord kończył rzecz swoją.

— Otóż, moi drodzy — mówił — ci młodzi podobali mi się
bardzo. Ciebie
Gianantonio, wiesz dobrze, zem nigdy nie zapomniał — no, a
pan, mości Stuerli,
także na złego człowieka nie wyglądasz, więc — powtarzam
raz jeszcze — proponuję
wam interes.
Chuda twarz Włocha i okrągła, jak słońce Stuerlego,
wyciągnęły się pytająco ku
niemu.

— Pożeńmy wasze dzieci — Gretli z Pierluigim. Włoch znów
z widocznym
porozumieniem

uśmiechnął się i skinął głową, patrząc wciąż przenikliwie na Anglika, pan

Sebastyan zachnął się i zaczął mocno rozmachiwać rękoma, bełkocąc niewyraźnie z nadmiaru oburzenia, protestując.

Milord znów go uspokoił obojętnym skinieniem ręki.

— Pożeńmy ich — powtórzył — a ja wyposażę Gretli i drugie tyle dam Pierluigiemu na pierwsze zagospodarowanie się.

Deus ex machina wyskoczył. W małym pokoiku zahuczało, jak w ulu. Włoch z

uśmiechem porozumienia, mówiącym wyraźnie: »Wiedziałem dobrze, że tak się skończy« — podrzucił w górę czapeczkę i okrywał ręce milorda pocałunkami.

Thevesnil śmiał się uszczęśliwiony, wołając:

— Quels types! Cristi! Quels types! Prusak był rozczulony.

— Istny romans! — mówił prawie ze łzami. — Milord w roli Opatrzności! Jakie

wzruszające! Jakie podniosłe! Ach! Wie poetisch!

Najmniej poetycznym okazał się pan Sebastyan.

Nie zrozumiał zrazu, o co chodzi. Jego współzawodnik musiał mu to objaśnić w

kilku słowach, ściskając mu grube ręce, przed kwadranssem zamierzające się z

takim impetem na Gianantonia. Nareszcie udało mu się wzniecić iskrę w umyśle pana Sebastyana.

— Nein, da sollen doch Tausendmalhundert-Milionen Teufel!... — zaczął, ale nie

skończył i padł wzruszony Catinellemu w objęcia.

Jakim sposobem, nim ktokolwiek z obradujących opuścił
drawing-room hotelu
»Post«, wszyscy mieszkańcy oberży wiedzieli o wyniku
konferencji, z temi
zmianami tylko, że wedle zdania kucharki, milord ustanawiał
Gretli uniwersalną
spadkobierczynią, zaś żółta pokojówka, chora na śledzionę,
utrzymywała na złość
ciotce Purdze, że dziewczyna wyjdzie za mąż nie za
Pierluigiego, ale za
Francuza, nikt tego nie wyśledził, ani potrafiłby wytłómaczyć.
Dość, że w pięciu
minutach dziedziniec pełny był ludzi, krzyczących: Hoch!
evviva! bravo!
milordowi, który stał na werendzie w kapeluszu
przekrzywionym, z cygarem w
ustach i z lekkim, napół ironicznym, napół dobrodusznym
uśmiechem.
Ale ironia zniknęła całkiem i chłodna twarz z czerwonymi
faworytami, podobna
zazwyczaj do marmurowej maski, rozjaśniła się ciepłym i
miękkim wyrazem, kiedy
przez tłum, rozstępujący się przed nimi, przebili się i dotarli
do swego
dobroczyńcy Pierluigi i Gretli.
Zdyszani, drżący, a śliczni oboje, jak dwa majowe kwiaty,
chcieli mu przypaść do
rąk. Ale milord nie pozwolił na to. Uderzył po ramieniu
chłopaka tak silnie, że

Pierluigi, choć był rośli i zdrow, jak młody dąbczak, przegiął się i przysiadł, potem zwrócił się do Gretli i objąwszy ją, wycisnął ojcowski pocałunek na czole.

Na zakończenie zaś kapelusz w górę rzucił i zawołał wielkim głosem:

— God bless you, children! Hep, hep, hurra!

X.

Ślub Gretli z Pierluigim odbył się we dwa tygodnie później w kolegiacie w Brig,

przystrojonej jak na wielkie święta w makaty, gobeliny i wieńce choiny. Wielki

ołtarz gorzał od światła, aż oczy bolały, a wielki pajak w środku zapalone miał

wszystkie świece, jak na procesję Bożego Ciała.

Pannę młodą prowadził do ślubu milord z wielkim bukietem przy piersiach; za nim

zaraz postępował uśmiechnięty, ale poważniejszy, niż zwykle, Thevesnil; a dalej

znów czerwieniła się okrągła, piegowata twarz ze szczecinowatym zarostem Armina

Swincke, który dla uczczenia tak romantycznej historii zdecydował się zostać dwa

tygodnie i robić z milordem (na koszt ostatniego) ciekawe i pouczające wycieczki

po kantonie Wallis. Jak wielkim był orszak weselny, jak wspaniałymi stroje, ile

wystrzelano prochu z rusznic i moździerzy, ile wypito wina, jakie masy mięs i

pieczywa wyszło z pieców, w których przez tydzień smażyło się i piekło bez
ustanku dzień i noc; jakie piramidy jadła znikwały kolejno,
wciąż zastępowane
nowymi, ze stołów, otoczonych biesiadnikami przez trzy dni i
trzy noce,
zmieniającymi się i wracającymi wciąż nanowo do ciężkiej
pracy przy stołach —
tego nie potrafi wysłować żadne ludzkie słowo i trzebaby na to
chyba języka
Rabelais i natchnień, opiewających dzieła Gargantuy. Dość
powiedzieć, że w
trakcie uczyty pan Armin Swincke wyprzysiągł

się nienawiści do Erbfeinda za Wogezami i pijąc z
Thévesnilem Bruderschaft,
uroczyście mu oddał Alzacyę i Lotaryngię.
Milord zaś — ten był poprostu przedziwny, kiedy rzuciwszy
na bok powagę księcia
Westmorelandu i trzeciego z rzędu para Wielkiej Brytanii,
puścił się solo
szkockiego giga i młodym, pełnym nadziei tancerzom zaczął
dawać lekcję
boksowania tak skutecznie, że po kilku godzinach cała męska
połowa towarzystwa
miała nosy pomiażdżone i oczy otoczone czarną mozaiką
sińców.
Równocześnie jednak był tak serdeczny i miły, że wszystkim
serca rosły, gdy go
widzieli, a ksiądz dziekan, który go z początku niechętnie
przyjął na świadka

ślubu jako inowiercę i to tylko w nadziei rychłego nawrócenia,
w końcu uczty
tego samego dnia twierdził, że człowiek tak poczciwy, jak
milord, jest
katolikiem, sam nie wiedząc o tem, i absolutnie będzie
zbawionym.

Ale Thévesnil... czyjeż pióro opisze podziwu godną
działalność jego w tych
dniach wesela, które dzięki jemu stały się dniami szaleństwa?
Kto zliczy
dowcipy, żarty, figle, wybryki śmieszniejsze jedne od drugich,
choć w gruncie
nieszkodliwe, którymi ten godny syn, wychowaniec i
przedstawiciel paryskich
bulwarów, zachwycał i bawił prostodusznych gości weselnych
z Brig i jego okolic,
a czułe serce Armina Swincke przykuł do siebie
nierozzerwalnym łańcuchem! Kto
zwłaszcza potrafi opisać, co się działo z wrażliwą duszą
laureata,

gdy naraz w podnieceniu uczty i przy falach wina,
ułatwiających zwierzenia
przyjaźni, dowiedział się, iż jego przyjaciel Maryusz
Thévesnil, ten Maryusz,
któremu poprzysiągł przyjaźń dozgonną i darował Alzację i
Lotaryngię, wypiwszy z
nim Bruderschaft, jest ni mniej ni więcej, jak owym słynnym,
znakomitym,
genialnym U. Ramis, którego imię darmo próbował odgadnąć
(U bald? Ursus?)

Udalryk?), a którego utwory Clartés et Créptiscules doczekały się zaszczytu przyswojenia niemieckiej literaturze piórem i pracą Armina Swincke. Nie — to było istotnie kolosalne i piramidalne! I on, tłumacz Lichter und Dämmerungen, nie domyślił się tego przez całych trzy tygodnie! Kto nie był zupełnie kontent, to ciotka Purga. Więc jej kombinacye tak kunsztowne doprowadziły wprawdzie do celu, ale jakoś inaczej. Więc wprawdzie oni się nawzajem haben's g'kriagt, ale cały sztuczny plan z Baedekerami jakoś zawiódł. Milord był milordem, księciem, milionerem, dawał Gretli posag i prowadził ją do ślubu, ale do angielskiej edycyi Baedekera czy choćby Guide Murray'a korespondencyi nie pisał. Thevesnil okazało się, że pisał — i bardzo znakomite rzeczy — ale także nie do Baedekera. Jeden pan Armin, choć luter i Prusak, a lutrów i Prusaków ciotka Purga serdecznie nie cierpiała, nadziei jej nie zawiódł. Patrzała też na niego z uszanowaniem ogromnem, a on zauważywszy ten objaw czci i uznania, z wyżyn swej powagi zniżył się do biednej kobie-

ciny i zapewnił jej dla obu hotelów w Brig swą protekcyę. Ale na ciotkę Purgę zapewnienie to wywarło wręcz przeciwne od zamierzonego

wrażenie. Pogodzili się wszyscy wkoło niej, ona jedna
Catinellemu nie mogła swej
krzywdy darować i antypaty przemódz.
— Protekcję dla obu oberży? Dla »Post« i dla tej... dla tej
londyńskiej? To
lepiej dla żadnej!
Ale pan Armin Swincke dotrzymał słowa. I dzięki jego
potężnym wpływom, w
najnowszym wydaniu Baedekera znalazły się dwie gwiazdki
przy każdej ze
współzawodniczących oberży, z dodatkiem altrenomirtes,
vorzügliches Haus przy
»Post«; gans modernes, hochelegantes Etablissement przy
»Hotel de Londres«.
Mr. Neaghton przyjeżdża kiedy niekiedy odwiedzić swoich
protegowanych w Brig.
Jego chłodna i sztywna postać ożywia się widokiem cichego
szczęścia młodej pary,
najpiękniejszej od Sitten po Airolo. Robi wycieczki po
okolicznych szczytach z
Pierluigim, a wieczorami słucha opowiadań ciotki Purgi i
swojskich pieśni,
które Gretli usypia drugiego już chłopaka, podczas, gdy
pierwszy wygląda z pod
fartucha babki Rieki, niemożliwie tłusty i czerwony, ale
prześliczny, jak
anielskie główki Robbiów, ze swymi ciemnozłocistymi
włosami i ogromnymi
aksamitnymi oczyma ojca.
Catinelli i Stuerli już się nie kłóca. Niema zresztą o co.
Zawarli spółkę i tak
urządzili jej inte-

resy, że »Post« i »Hotel de Londres« stały się odrębnymi częściami jednego przedsiębiorstwa, które doskonale idzie; pan Sebastyan, który ostatnimi czasy został burmistrzem, przynosi mu powagę swego stanowiska, starą rutynę i cenioną przez wielu turystów Gemüthlichkeit, Catinelli — niezrównany spryt i obrotność w interesach. Zerantem jednak obu hotelów jest Pierluigi, a Gretli nad jednym i drugim rozciąga naczelną władzę swych gospodarskich kluczy i nadzór swoich pięknych, ale praktycznych i przenikliwych oczu. U. Ramis nie napisał swej noweli: nawet nie jestem pewien, czy posłał korespondencję do »Figara«. Mniejsza o to jednak. Gości i tak nigdy nie brakuje w »Post« ani w »Hotel de Londres«. Jeżeli jednak zamiar paryskiego literata nie został spełniony, turysta zachowuje w życzliwej pamięci swoich przyjaciół w Brig. Spotkaniu i znajomości z Maryuszem Thévesnil zawdzięczam wiadomość o nich i projekt wycieczki w tę stronę, a owocem pobytu u Pierluigiego i Gretli jest powyższa wiarogodna historia.

KTO ON?

I.

Mogę chyba powiedzieć o sobie bez obawy przesady, że kobiety i ich charakter znam gruntownie. Prawie tak gruntownie, jak asyryjską i meksykańską archeologię. Od czasu, jak zajmuję się archeologią, studuję przede wszystkim kobietę starożytną, o niej tylko piszę. Pomijam wiele artykułów, broszur i dzieł jednotomowych, które dla samej ciasnoty ram do naukowej powagi nie mogą rościć prawa; wspomnę jednak moją »Boginię Astarte i jej znaczenie w mitologii porównawczej« (tomy in -o u Cotty w Stuttgardzie); »Typy niewieście w sztuce i mitologii Azteków« (tomy in -o u Brockhousa w Lipsku); »Niewiastę u Fenicyan i dawnych Meksykanów« (dotąd wyszło tomów in -o u Herdera we Fryburgu), wreszcie »Wspólne znamiona kultury aryjskiej z cywilizacją Azteków i Inkasów wykazane na podstawie słowiańskich i amerykańskich wykopalisk, a specjalnie ornamentów kruszcowych kobiecego stroju«, (Rozprawy krakowskiej Akad. Umiejętn., tomy CCLXXXVII, CCLXXXVIII, CCLXXXIX). Znam więc kobiety, to nie ulega kwestyi, między kobie-

tami zaś znam oczywiście najlepiej tę, którą znam najbliżej,
znam, muszę znać
jak nikt kuzynkę Wandę. A przecież zdaje mi się czasem,
jakbym jej nie znał
wcale...

I datuje się to od tak dawna...

W dzieciństwie, co prawda, rozumieliśmy się doskonale.

Położenie nasze tak było

podobne, a warunki życia tak nas zbliżały! Mnie odumarli
rodzice w kolebce — jej

została matka tylko, chora od kiedy pamiętam i niezdolna
wiele zająć się

jedynaczką, tem mniej zaś starszym o parę lat siostrzeńcem.

Ale ogromny nasz

pałac w Boratyczach był taki pusty, taki smutny, tak pełen
wspomnień i strachów,

a ja na łasce guwernerów, bon i służby, zdala od

dojeżdżającego tylko stryja

opiekuna, starego kawalera — taki byłem opuszczony i

biedny! Więc ciotka Aniela

wzięła mnie do siebie z całą gromadą nauczycieli i służby.

Wyporzędzono jako

tako lewe skrzydło sztydłowieckiego dworu dla naszego

wyłączonego użytku i

pozostał dla mnie na zawsze ten szereg wielkich pokoi z

niedomykającymi się

oknami i dymiącymi kominami, siedliskiem nudnych ludzi i
nudniejszej jeszcze

matematyki. Tam spałem, jadłem, uczyłem się, wegetowałem.

Na prawem skrzydle

dworu żyłem.

Było tam parę pokoików niewielkich, wypełnionych starymi meblami rococo i mnóstwem fraszek, cacek, porcelanowych gracików z saskich czasów. Najdalej stąd było do ciemnego zawsze pokoju ciotki, do którego nam dzieciom rzadko wolno

było się zbliżać i koło którego wszystko cichło i chodziło na palcach. Drzwi parapetowe prowadziły na ogród, nie takie paradne, ogromne jak z błękitnego salonu na terasę, ale malutkie, szklane, z mnóstwem kolorowych szybek, w sam raz dla nas dzieciaków. Angielka drzemała w kącie nad Tennysonem, Francuz wymknął się jak zwykle na karty i bilard do rządcy, a my z Wandzią chowaliśmy się jedno przed drugim za mahoniowe serwantki i japońskie ekrany, albo cicho, na palcach, wymykaliśmy się do parku. Dziś nie wydaje mi się on tak wielki — ot, zwyczajny ogród wiejski na Podolu. U mnie w Boratyczach większy dwa razy. Ale wówczas! Wówczas my z Wandzią wyobrażaliśmy sobie wprost, że to las dziewiczy amerykański. Strumień stanowiący w głębi jego granicę od sąsiedniego lasu, zdawał się nam jakąś ultima Thule, do której w najdalszych wycieczkach nie śmieliśmy dotrzeć, a las wyobrażnia nasza

zaludniała niedźwiedziami i tygrysami, choć było w nim tylko trochę zajęcy i saren. Gdyby zaś który z wodzów czerwonoskórych, naszych dobrych znajomych z Coopera i Mayne-Reida, wyskoczył ku nam naraz z zarośli, potrząsając piórami na głowie i tomahawkiem w ręku, bylibyśmy w strachu zapewne, ale nie zdziwiłoby nas to ani trochę. Raz, pamiętam, goniliśmy się w gęstwinie, po zarosłych ścieżkach (park był zaniedbany całkiem za życia ciotki Anieli; dopiero później Wandzia

go wyporządziła) i zdało się nam, żeśmy zabłądzili. Naprawdę przez drzewa widać było lśniąca w słońcu sadzawkę, a za nią tuż blisko stał dwór — ale nam tak miło było bać się i wyobrażać sobie uczucia zbłąkanych nad brzegiem Rio-Grande lub u stóp Gór Skalistych. Przytuliliśmy się do siebie obok ogromnego kasztana i staliśmy przez chwilę drżąc, z otwartymi szeroko oczyma, wyglądając czegoś nieznanego. — Słuchaj, Tadziu, a jak my nie znajdziemy domów? — spytała Wandzia, wpatrując mi się w oczy i przyciskając silniej do mnie. — Zbudujemy sobie chatkę i będziemy żyli jak Robinson z Piętaszkiem — odparłem

po chwili namysłu. — Ja będę chodził na myśliwskie wyprawy, będę przynosił zwierzynę i zabijał niedźwiedzie, a ty tymczasem nazbierasz dużo, dużo poziomek.

A potem przyjdą dzicy.

— O, Tadziu, nie mów, ja się boję.

— Nie bój się. Ja ich rozpedzę. Będziemy się bronić, jednych zabiję, innych

wezmę w niewolę.

— Ale oni tobie coś zrobią, gotowi cię ranić! Trzęsła się naprawdę — w oczach

kręciły się

łzy.

— A choćby ranili? To cóż? A kapitana Harry nie ranili Komansze?

Chwyła mnie rączkami za szyję i rozplakała się na dobre.

— Nie chcę, nie chcę, nie chcę, żeby cię ranili. Ciebie to będzie boleć! Niech

lepiej mnie ranią!

— Ciebie? Ale ty jesteś dziewczynka, ty nie możesz mieszać się do walki.

— To ty także nie mieszaj się i nie daj się zranić.

— Ja? ja na to jestem mężczyzna!

Nie graliśmy wcale komedyi i coraz bardziej przejmowaliśmy się naszą rolą.

Wandzia łkała głośno, a ja mimo rycerskiego animuszu, miałem ochotę pójść w jej

ślady. Naraz rozległy się koło nas piskliwe krzyki. Miss

Thompson czerwona,

zdyszana wpadła do naszej kryjówki.

— Gdzież jesteście! Co za niezdolne dzieciaki! Szukam was od kwadransa po całym parku. Hrabia August przyjechał i chce was widzieć. Był to stryj opiekun.

Wracając, Angielka wylewała na nas reszty złego humoru.

— I nie wstyd to panience dobrze wychowanej samej z młodym chłopakiem po parku biegać i kryć się przed starszymi?

Wandzia na te słowa poczerwieniała jak piwonia.

Kiedy na drugi dzień wołałem ją do parku, spuściła oczy i powiedziała, że bez

miss Thompson nie pójdzie, bo to nieładnie. I już nasze amerykańskie przygody nie powtórzyły się więcej.

Chodziliśmy za to na spacer z Angielką, a ponieważ to była jesień, czas owoców,

robiliśmy długie stacye w owocowym sadzie. Miss Thompson lubiła owoce i zjadała

ich tak ogromną ilość, że

dziś jeszcze myśląc o tem, czuję, jak mi się robi ciężko w żołądku. Zbieraliśmy

naprzód dla niej całą piramidę jabłek i gruszek, potem myśleliśmy o sobie. Raz

pamiętam otrząsaliśmy renklody. Jedna była ogromna, na którą razem rzuciliśmy

się oboje. Wandzia schwyciła ją pierwsza.

— Nie dam, nie dam, — krzyczała, śmiejąc się przekornie, i trzymała śliwkę przy

ustach, udając, że ją chce ugryźć. — Poproś pięknie, to oddam.

— Nie będę prosić, sam wezmę — krzyknąłem i próbowałem ustami schwycić śliwkę.

Ale ręka usunęła się i twarze nasze się spotkały. I naraz, nie wiem, jak się to

stało, usta moje zbliżyły się do jej twarzy.

Ona cofnęła się nagle, zaczerwieniona, i zakryła twarzyczkę rękami.

— Tadziu, nie rób tego, — szepnęła — to nieładnie.

Wtedy jej po raz pierwszy nie zrozumiałem.

Go dzień rano i wieczór całowaliśmy się przy ciotce i guwernantkach — i to nie

było nieładnie. Dla czegoż miało być teraz?

II.

Niedługo potem jakoś rozstaliśmy się. Mnie oddano do konwiktu, a Wandzię zabrali

krewni z Szydłowca po śmierci ciotki Anieli. Pisywaliśmy do siebie długie i

serdeczne listy, to jest właściwie

pisywała je Wandzia regularnie, ja odpowiadałem czasami, kiedy miałem właśnie

czas i ochotę.

Spotkaliśmy się po kilku latach u babci podkomorzyny.

Zaledwie poznałem kuzynkę.

Dorastała już, wyglądała prawie, jak panna na wydaniu. Ja, choć starszy, wstyd

powiedzieć, byłem przy niej niezgrabnym, szkolnym żakiem.

Czułem to — i stałem

onieśmielony, czerwony jak rak, myśląc o tem, jaki
nieszczęśliwy traf przyczepił
człowiekowi parę rąk, z którymi niewiadomo co począć. Ale
ona przybiegła do mnie
i zarzuciła mi ręce naokoło szyi.
— Tadiusz mój, Tadiusz złoty, braciszku mój jedyny!
Śmiała się i płakała. Takie już ma żywe i wrażliwe
usposobienie. A śliczną była
już podobno wtedy, jak teraz. Tak przynajmniej słyszałem, bo
ja z powodu mego
bezprzykładnie krótkiego wzroku nie bardzo mogłem i mogę o
tem sądzić. Zresztą
nigdy mnie to nie interesowało.
Przywitaliśmy się tedy serdecznie. Wprawdzie miss
Thompson zrobiła długą minę,
ale uważałem, że Wandzia przestała z tem się liczyć.
— Chodźmy do ogrodu braciszku, po staremu, — zawołała,
biorąc mnie za rękę —
wiesz? jak w Szydłowcu, kiedy jeszcze mama żyła...
I poszliśmy. Nie był to park szydłowiecki, zarosły jak
puszcza, pełen kryjówek i
cienia, tylko staroświecki, francuski ogród o nizko
strzyżonych szpalerach,
otwarty i pełen słońca. Ale było nam tam

dobrze. Wandzia śmiała się, biegała, bawiła mnie i siebie i w
kwadrans umiała
mnie tak ośmielić i rozruszać, że czułem się z nią swobodnym,
jak z kolegą z
Kremsmünster. Miałem to uczucie, że jestem jej potrzebny i
miły, a dotąd —

wiedziałem to dobrze — ani bardzo miłym, ani potrzebnym
nie byłem nikomu. Kiedy
na uwagę Angielki, że zbyt ze mną jest poufała,
odpowiedziała z rodzajem
oburzenia: »But he is my brother!« czułem, że mówi szczerze
i że naprawdę jestem
jej bratem. Przytem było w jej stosunku ze mną coś jakby
macierzyńskiego, jakaś
dziwna troskliwość o mnie, chęć podniesienia mnie we
własnych oczach i w
cudzych, nieustanne dodawanie mi pewności siebie i odwagi,
którą traciłem tak
łatwo, nieustanne czuwaniejademną, abym nie popełniał
zwykłych mi towarzyskich
błędów. Na przejażdżce wiedziałem, że ją będę miał przy
sobie, ile razy moja
łacińska konna jazda spleta mi figla; w towarzystwie byłem
pewny, że jej zręczny
i śmiały dowcip ochroni mnie od złośliwego języka kuzynów i
wyratuje ze
śmieszności, na jaką moja dystrakcyja, niezgrabność lub
naiwność narażała mnie
tak często.
Odtąd cieszyłem się zawsze nadzieją spędzenia z Wandzią
kilku dni co wakacyi i
dnie te stały mi się najmiłszymi w roku. Uważałem ją i ja za
siostrę i nie
miałem dla niej tajemnic. Pewny byłem, że każda rzecz
obchodząca mnie zajmie ją,
że każde moje uczucie i wrażenie znajdzie w jej sercu
oddźwięk, i że ta ostra,
złośliwa, niemiło-

sierna dla młodzieży panienka, której bali się jak ognia
wszyscy moi kuzynkowie,
choć po kolei każdy w niej się kochał, dla mnie będzie miała
zawsze ciepły,
promienny, pełen przywiązania uśmiech siostry.
Nie dziw też, że kiedy w ciągu pewnego roku szkolnego (jeśli
się nie mylę, w
siódmej klasie) odkryłem naraz w sobie miłość bezgraniczną
do złotowłosej i
trochę tylko piegowatej Lieschen, siostrzenicy oberżysty z pod
Złotego Jelenia w
Kremsmünster, pospieszyłem wypowiadać się Wandzi z tej
miłości. Wszyscy starsi
uczniowie benedyktyńskiego konwiktu, wymykający się na
piwo do ustronnej,
najlepiej przed profesorami ukrytej knajpy za miasteczkiem,
kochali się w tej
Lieschen. Ja na nią nie zwracałem wcale uwagi, dopóki
koledzy nie zaczęli mnie
nią prześladować i ona sama nie zrobiła awansów »dem
polnischen Grafen« (miałem
najwięcej kieszonkowych pieniędzy ze wszystkich kolegów).
Wówczas przejrzałem,
przeczytałem w sercu wielkie słowo »miłość« i powiedziałem
sobie: »Ta, albo
żadna«. A ponieważ zdawałem sobie z tego sprawę, że mój
stryj będzie cokolwiek
odmiennego zdania, horoskop przyszłości rysował się przede
mną w tragicznych
kształtach wszelkich możliwych zgonów, jakimi od początku
świata nieszczęśliwi

kochankowie szukali połączenia w śmierci, nie mogąc go znaleźć w życiu.

Byłem oczywiście najmocniej przekonany, że w Wandzi znajdę powierniczkę pełną zrozumienia

i współczucia. Tymczasem zadziwiła mnie ona znowu i to bardziej, niż za pierwszym razem. Doszedłem właśnie do kulminacyjnego punktu liryki w moim opowiadaniu i nie miałem jeszcze czasu zwrócić się ku tragicznym horoskopom (coby po części mogło być usprawiedliwić zachowanie się mojej kuzynki), kiedy naraz Wandzia zerwała się cała w ogniu, z błyszczącymi oczyma i zaciśniętymi ustami.

— Głupi jesteś i ty i twoja Szwabka — syknęła ze złością. — Trzeba było przy niej pozostać i piwo z nią szynkować.

I naraz, ni stąd ni zowąd, rozplakała się i wybiegła z pokoju. Co to miało znaczyć, nie rozumiem dotąd.

Pogodziliśmy się wprawdzie z Wandzią, choć nie mam pojęcia o tem, co ją rozgniewało; zrozumiałem to jednak; że nie ze wszystkich tajemnic mego serca należy się jej zwierzać. I odtąd nie mówiłem już jej ani o Lieschen, która zresztą tego samego roku wyszła za mąż za ogrodnika klasztornego, ani o czarnej Mariele, która zajęła jej miejsce przy ladzie i w moim sercu.

Skończyłem wreszcie konwikt, pożegnałem poczciwych profesorów, a zwłaszcza nieocenionego ojca Willibalda, który mi zaszczerpił zamiłowanie do archeologii, i wróciwszy do domu, nie zastałem Wandzi. Oddano ją dla dokończenia edukacji do klasztoru. Pamiętam, jak dziś, co to było dla mnie za rozczarowanie. Zająłem się jednak czem innym

i zapomniałem. Przyszedł czas studyów uniwersyteckich: genialny Lipphardt przykuł mnie do swego archeologicznego rydwanu. Powoli zapomniałem O świecie całym. Nie dziw: zacząłem zbierać materiały do mojej »Bogini Astarte«. Minęło kilka lat. Przebyłem je przeważnie za granicą. W krótkich odwiedzinach kraju nie spotykałem Wandzi, nie słyszałem nawet o niej. Przychodziła mi jednak na myśl przy pisaniu mego wielkiego, mego pierwородnego dzieła. Jakby ona doskonale umiała słuchać, jakbym z nią mógł swobodnie i gruntownie rozprawiać o wykopaliskach assyryjskich i o strojach Azteków! Chciałem jej nawet o tem pisać, ale za obszerne-by to było na list. Dałem pokój. Ona bodaj czy nie pisała do mnie parę razy, ale na pewno nie wiem. Nie pamiętam.

III.

Wróciłem właśnie z dłuższej naukowej wycieczki do Azji
Mniejszej i wpadłem do
Krakowa na sam początek karnawału, oczywiście nic o tem
nie wiedząc. Stryjowi
artretyzmy nie dawały się ruszać — nudził się i z nudów uroił
sobie, żeby mnie
ożenić. Ledwie się przywitałem, zapowiedział mi, że muszę
wejść w świat, bywać
na rautach
i balach, że dość już kwasić się wśród pobitych czerepów i
starych szpargałów,
że trzeba przestać być dziwolągiem, mumią i mamutem, a
zacząć być młodym i tak
dalej.

Miałem wielką ochotę zawrócić się, zabrać nierozpakowane
jeszcze kufry i uciec
na kolej. Ale chowany byłem w tradycyjnym poszanowaniu
rodzinnej władzy, a
przytem nie ma co obwijać w bawełnę: stanowczość imponuje
mi u innych tem
bardziej, im mniej sam. Jej mam w charakterze. Zostałem
więc, przeklinając losy,
i wieczorem zamiast wyjmować z kufra i porządkować
zeszyty i notaty
archeologiczne, poszedłem na bal do Morskich.
Być nieśmiałym, niezgrabnym, krótkowidzem — i iść z tem
na bal, to już dość
złego. Iść z przymusu, klnąc i myśląc o rozkoszonym
wieczorze, jakiby się mogło

spędzić w pantoflach, przy kominku, herbacie i Bogini
Astarcie — jeszcze gorzej
o wiele. Ale nie móż się wśród tej powodzi światła, kwiatów,
perfum, brylantów
i koronek wcisnąć w jakiś ciemny kącik; — być przedmiotem
uwagi i uwag większej
części towarzystwa, wyróżniających grzeczności jednych a
zapewne cichych
złośliwości drugich, to już męka nie do zniesienia. Ale cóż —
trzeba było ją
przebyć. Przez pół godziny ciocie, kuzynki i przyjaciółki
nieboszczki mojej
matki rzucały mną jak piłką, robiły wiwisekcję zewnętrznych
i wewnętrznych moich
przymiotów, powtarzały dysputy o podobieństwie mojem do
tych lub innych członków
rodziny i robiły niemożliwe pytania i uwagi co do moich
podróży, studyów i
planów na przyszłość. Wreszcie najgorsza ze wszystkich
przyjaciółka babci
podkomorzyny, równie cie-

kawa i gadatliwa jak głucha kanoniczka, pochwyciła mnie za
rękę i poprowadziła
do oranżeryi, jak ofiarę, zapowiadając obszerniejszą rozmowę,
kiedy naraz jakiś
traf szczęśliwy rzucił na nas całą falę gości, płynących z
głównego salonu. Fala
nas rozdzieliła i spocony, zziębnięty, ledwie przytomny,
znalazłem się w jakimś
buduarze.

— Uf! — wyjąknąłem, ocierając chustką czoło.— A to łaźnia!

— Cóż, wymknąłeś się Smokowi? — zaśmiał się ktoś za mną.

Obróciłem się i poznałem kuzyna mego, Gucia.

— Strzeż się, aby cię znów nie złapała — mówił dalej,

ściskając mi rękę. — Od

godziny wszystkie mamy i ciocie mówią o tobie. Jesteś

przecie najlepszą partyą.

Pewnie z dziesięć maryażów kroi się dla ciebie. Ale Smok,

vulgo ciocia

kanoniczka, ta jedna była bezinteresowna. Prezentowali cię

księżniczce

Matyldzie?

— Być może, nie wiem napewno.

— Ale cóż znowu: nie wiem napewno. O czymże będziesz

wiedzieć? Przecież to

podobno napięte dla ciebie przez stryja Augusta i księstwo

Henryków, chyba że...

ale to już od ciebie będzie zależało. Ależ księżniczkę widzieć

musiałeś? Ta w

srebrnej gazie z niezapominajkami. Uważałeś?

— Nie... nie pamiętam.

— Gadaj-że z nim! Ręczę, że cię prezentowali, aleś ty pewnie

myślał wtedy o

swoich foliantach. A kuzynkę Wandzię widziałeś?

— Jest tu?

— Czy jest? Od godziny siedzisz na balu, na którym ona jest królową — i pytasz.

O simplicitas — a raczej o archeologio! Ledwie przyjechała,

pytała się o ciebie.

A ty...

— Gdzie jest?

Gucio włożył cwikier i zaczął się rozglądać po sali, podniósłszy portyere.

— Tam jej niema — rzekł powoli i posunąwszy się parę kroków, rzucił okiem na sąsiedni salon. Za chwilę był przy mnie.

— Jest, wyszła do oranżeryi — rzekł. — Idź do niej i przywitaj się. Byle to tylko nie zaszkoziło projektom księżnej Henrykowej — dodał, śmiejąc się.

W końcu oszklonej galeryi, pełnej palm, kamelii kwitnących i odurzającej woni hyacyntów stała młoda kobieta cała w bieli, z gwiazdą brylantową we włosach.

Kilku mężczyzn otaczało ją, zdawała się ich nie słuchać. Oczy miała schylone na bukiet z parmeńskich fiołków, które jedne po drugich obrywała trzonkiem od wachlarza.

— Przyprawiam kuzynce zgubę, — ozwał się, wchodząc do oranżeryi Guccio. —

Wyobraź sobie, Tadzio nie wiedział, że tu jesteś.

Młoda kobieta drgnęła i fiołki posypały się deszczem na posadzkę.

— Co za szkoda, — ozwał się jeden z mężczyzn, pochylając się lekko ku jej dłoni;

— złamała pani wachlarz.

— Prawda, — rzekł Guccio, wciskając głowę ponad jego ramię, — taki śliczny wachlarz. Patrz, Tadziu, coś ty narobił.

— Ja? — wyjąknąłem zmieszany do najwyższego stopnia, — skądże ja?

Ale kuzynka Wandzia podeszła do mnie w tej chwili i rękę oparła mi na ramieniu.

— Jak się masz, Tadziu! — rzekła — przejdźmy się trochę. Opowiesz mi coś przecie o sobie.

W pierwszej chwili nie mogłem się na to zdobyć. Byłaż to naprawdę ona, ta

Wandzia, z którą bawiliśmy się w Robinsona, której później opowiadałem moje

przygody w konwikcie? Ona, ta królewska piękność, przed którą pospiesznie

rozstępowały się tłumy, za którą gonił szmer podziwu?

Ale tak — to była Wandzia. Olśniewająca i majestatyczna z pozoru, to prawda, ale

taka, jak dawniej spokojna i dobra. Jedna chwila wystarczyła, aby mnie o tem

przekonać. I oto siedzieliśmy w kącie na niskim szezlongu osłoniętym dokoła

pomarańczowemi drzewami, ona słuchała mnie po staremu ze swym łagodnym,

zachęcającym uśmiechem, a ja opowiadałem jej — o Bogini Astarce i jej znaczeniu

w mitologii porównawczej.

Przerywano nam dość często: nie zwracaliśmy uwagi.

Słyszałem parę razy jakieś

przypomnienia i dopominania się tańców, ufryzowane głowy z symetrycznym

rozdziałem po środku pochylały się kilka razy nad nami i zawsze z naszej kanapki

szła ta sama, jednostajnie grzeczna i chłodna odpowiedź.
— Przepraszam najmocniej. Zmęczona jestem. Nie będę tańczyć z nikim.

Noc zeszła mi, jak we śnie. Ach, bo nikt tak nie umiał słuchać o fenickiej

archeologii, jak ona! Wreszcie zaczęto się rozjeżdżać.

Wandzia podniosła się,

szepnęła mi, ściskając moją rękę: do jutra, prawda? — i

popłynęła przez salony.

Stałem trochę zmięszany jak zwykle, nie bardzo wiedząc, co mam z sobą zrobić.

Nagle ktoś mnie uderzył po ramieniu. Obróciłem się: oczywiście Guccio.

— No winszuję, winszuję, — zaśmiał się. — Ale przynajmniej odkupże jej wachlarz.

— Cóż znowu? Dajże mi pokój z tym wachlarzem.

— No, no, w czepku się rodziłeś. Ale że księżna Henrykowa będzie zła, to będzie.

IV.

Poszedłem nazajutrz do Wandzi, jak jej obiecałem. Ciągnęło mnie tam zresztą.

Pilno mi było pokazać jej najciekawsze przedmioty, przywiezione z Pamfilii i

Fenicyi i umówić się, kiedy zacznę jej czytać moją Astarte.

Miałem już,

pamiętam, trzy pierwsze tomy gotowe.

Moja kuzynka zajmowała cały pałacyk na Plantach, urządzony bardzo wykwintnie.

Dowiedziałem się później, że była tam wśród panien pod względem majątkowym, czem

ja wśród kawalerów, po-

dobno nawet szala jej przeważała parę razy moją, mimo, że Boratycze warte milion. Babcia podkomorzyna zapisała jej wszystko. Ale zdaje mi się, że jej to było równie obojętne jak mnie, którego zapis ominął. Wśród wspanialszych niż przedtem ram, ona sama o tyle wspanialsza i piękniejsza, była przecie dawną, poczciwą Wandzią. Wstała na moje przyjęcie i podała mi obie ręce.

— Poczciwy braciszku, rzekła. Jak dobrze, żeś przyszedł.

Wczoraj w tym gwarze i ścisku tak mi źle było spotykać się z tobą po tylu, tylu latach. Teraz nikt nam nie przeszkadzał. Miss Thompson spoczywała w grobie dzięki nadmiernej ilości spożytych naraz brzoskwiń. Stara zbankrutowana hrabina, zajmująca jej miejsce, pojmowała rolę swą całkiem biernie: robiła w milczeniu siatkę. A my gawędziliśmy. Jakkolwiek uniwersytet od dawna skończyłem i nie byłem już młodzikiem, karnawał ten był niejako pierwszym moim występem w wielkim świecie, od którego dotąd udawało mi się wymykać. Musiałem składać wizyty, bywać w teatrze, który mnie nudził, i na balach, które mnie wprost zabijały. Jediną pociechą dla mnie była

myśl, że znajdę i tu i tam Wandzię i że rozmawiając z nią,
zapomnę o tem, co się
dziać będzie na scenie i w balowej sali.
Powiedziałem to jej raz. Siedzieliśmy o szarej godzinie w
małym pokoiku u niej.
Hrabina poszła na nieszpory. Światła jeszcze nie podali, tylko

poza wielkim salonem, przez drzwi otwarte, widać było lampę
w jadalni, w której
nakrywano do obiadu.

Ona przez chwilę milczała.

— Więc naprawdę jestem ci na coś potrzebna? — szepnęła
wreszcie. — A ja myślałam
inaczej. Tak długo nie dawałeś znaku życia, nie odpisywałeś
mi... tyle lat.

Zdawało mi się, żeś zapomniał zupełnie.

Zacząłem się usprawiedliwiać. Przerwała mi, kładąc rękę na
mojem ramieniu.

— Ale dajże pokój, Tadziu mój. Na myśl mi nie przyszło cię
obwiniąć. Czyż nie
wiem, jak byłeś zajęty, jak czas twój drogi? I cóż zresztą
korespondencya ze

mną, rozumiejącą tak mało, mogła ci ciekawego przynieść?

— Ależ nie, owszem. Właśnie, że miałem zamiar pisać do
ciebie, zbierałem się na
bardzo długi list i dlatego bodaj nie napisałem. Odkładałem z
dnia na dzień i
tak jakoś zeszło.

Poruszyła się.

— Doprawdy — rzekła — nie żartujesz?

— Cóż znowu? Chciałem ci opisać cały plan mojej Astarty.

— A — tak!

— Nie uwierzysz, jaką ty masz zdolność do archeologii, jak ją rozumiesz, jak umiesz słuchać o niej! Między fachowymi archeologami nikogo równego tobie nie spotkałem. I skąd się to tobie wzięło?

— Dobry z ciebie nauczyciel, mój Tadziu — odparła, śmiejąc się cicho. — Zresztą,

— dodała poważniej — czyż nie wiesz o tem, że jeśli kogoś... że jeśli ktoś nas

obchodzi bliżej, nie może nam być obojętne to, co mu jest blizkie i drogie. A

cóż dla ciebie bliższe i droższe na świecie od archeologii?

— Pewnie, że nic, — odrzekłem z przekonaniem.

Rozmowa urwała się jakoś. Po chwili milczenia Wandzia zwróciła ją na inny

przedmiot. Ale zbyt mi ciążyła na sercu wdzięczność dla mej kuzynki, abym do

przerwanego wątku nie wrócił.

— Czy wiesz, Wandziu, — rzekłem — że mnie wprost przestrasza stosunek mój do ciebie?

Smuga światła płynąca po posadzce z jadalni przez ciemny salon do buduaru

rzucała blady odbłask na fotel, na którym siedziała Wandzia.

Odsunęła go w głąb

pokoju niezwykle u niej szybkim i nerwowym ruchem i dopiero wtedy odpowiedziała

mi.

— Dlaczego tak myślisz?

— Bo za wiele miejsca zajmujesz w moich myślach, w moich uczuciach, w całym moim życiu. Stałaś mi się potrzebą życia i nie wyobrażam sobie jak teraz bez ciebie potrafiłbym istnieć, obracać się w świecie, pracować.
— Tyle lat dawałaś sobie rady przecie.
— Bo ciebie nie spotkałem, przynajmniej taką, jaką dziś jesteś. Ale teraz...
Nie, wierzaj mi, strach

mnie wprost przejmuję na myśl, że prędzej czy później stosunek nasz się zmieni, że ciebie stracę.
— Dlaczego stosunek nasz miałby się zmienić? — szepnęła cicho.
— Dlaczego? Ależ dla bardzo prostej przyczyny. Wczoraj jeszcze Guccio mi mówił, że masz pół tuzina starających się, i dawał mi do zrozumienia, że zrobiłaś już wybór. Mówił nawet, że tego, kogo wybrałaś, znam doskonale, choć ja, otwarcie powiem, nie domyślałem się wcale, kto to może być. A może mi powiesz?
Wandzia milczała przez chwilę, wreszcie odpowiedziała jakimś zduszonym głosem, jakby jej brakowało oddechu.
— Guccio, jak zwykle, pozwolił sobie niemądrych żartów. Nie powinieneś być brać tego na seryo.
— I mnie się też tak zdawało. Cieszę się, że ci o tym wspomniałem i dowiedziałem

się prawdy, bo mi kamień z serca spadł. Ale co nie jest dziś,
może być jutro.

Wyjdiesz za mąż, a ja...

— Ależ ja wcale nie mam zamiaru wychodzić za mąż...

— A przecież możesz wyjść, a wtedy komuż ja będę czytał
moje archeologiczne
prace, kto ich zechce słuchać, jak ty słuchasz?

Wstała i podeszła zwolna do mnie, potem zaś jak dawniej,
kiedy skarżyłem się na
różne niedole konwiktu, oparła się jedną ręką o poręcz mego
krzesła, a drugą
lekko przesuwając mi po włosach, odgarniając je z czoła.

— Bądź spokojny, Tadziu — rzekła powoli — ja nie wyjdę za
mąż. Będę ci zawsze
siostrą dobrą, gotową ci osładzać smutki, krzepić ducha i...
słuchać dziejów
Bogini Astarty.

Służący wniósł kandelabry do salonu i lampę do buduaru.
Wstałem i wziąłem do

ręki zeszyt otwarty, leżący na stosie całym innych.

— Stanęliśmy właśnie na rozdziale osiemdziesiątym
czwartym, — rzekłem,
przeglądając zapisane arkusze.

— Nie, odłóżmy to na wieczór, — rzekła cicho, siadając w
ciemnym kącie saloniku,
napół ukryta za ekranem łąkowym. — Obiad będzie za chwilę,
szkoda byłoby
przerywać. Przeczytaj mi lepiej coś ze Słowackiego. Masz go
pod ręką na stole,
obok twoich manuskryptów.

Wyznaję, że nie lubię poezji, która niepotrzebnie ludziom
zabiera czas, dający
się daleko pożyteczniej użyć. Proszę tylko pomyśleć: gdyby
Słowacki skierował
talent swój i prace ku archeologii! O ile więcej pociechy
miałaby z niego
ojczyzna, o ile więcej korzyści nauka! Ale kto ma tyle, jak
Wandzia, uczucia i
rozumienia dla mitologii porównawczej, temu słabostkę dla
Słowackiego można
wybaczyć.

Odsunąłem więc z tłumionem westchnieniem rękopis i
otworzyłem mały tomik w
eleganckiej oprawie. Trafiłem na Anhellego.
Hrabina nie wracała — byliśmy sami. W domu cicho było i
pusto, z zewnątrz, od
Plant przycho-

dziły rzadkie odgłosy miejskiego ruchu i gwaru, dalekie
turkoty powozów, zwrotka
pieśni nuconej przez rzemieślników, wracających z roboty i
smętny, przeciągły
jęk wiosennego wiatru, wstrząsającego gałęzie drzew w
pobliżu. Wandzia siedziała
nieruchomą, z twarzą ukrytą w dłoniach.
Przyszedłem wreszcie w czytaniu do Ellenai i do jej rozstania
z Anhellim i z
życiem.
"Obróciwszy ku Anhellemu oczy zalane łzami wielkimi,
rzekła Ellenai: Umiłowałam
ciebie, bracie mój, i opuszczam.

A powiedziawszy, gdzie ją miał pochować, że pod sosną,
która była w smutnym
parowie, rzekła: Czemże ja będę po śmierci?
Oto chciałabym być jaką rzeczą żyjącą przy tobie, Anhelli,
pajęczkiem nawet,
który jest miły więźniowi i schodzi jeść z jego ręki po złotym
promyku
słonecznym.

Jam się przywiązała do ciebie jak siostra, i jak matka twoja, i
więcej
jeszcze" ...

W tem miejscu musiałem przerwać. Z za ekranu, za którym
siedziała Wandzia,
wychodziło łkanie tłumione, wrywające się rozpaczliwie z
piersi i ust.

Podbiegłem do niej. Siedziała skulona, pochylając się naprzód
spazmatycznym
drżaniem i starając się chustką zdusić łkanie.

— Wandziu, — zawołałem przestraszony, — co tobie?
Mocowała się przez chwilę z sobą. Wreszcie

otarła oczy nerwowym ruchem i próbowała się uśmiechnąć.

— Nic to, — szepnęła. — Nerwy kobiece. Nie zwracaj uwagi.
Czytajmy dalej.

Ale ja już postanowiłem Słowackiego jej nie czytać.

V.

Stryj August leżał z obandażowanymi nogami przy kominku,
na którym mimo ciepłego

kwietniowego słońca palił się wielki ogień. Aksamitny szlafrok zapięty był na wszystkie guziki, krawatka zawiązana w nieposzlakowany węzeł na śnieżnym gorsie koszuli. Na stoliku nie było żadnej flaszeczki z lekarstwem ani pudełka z proszkami, tylko świeże książki i dzienniki, kilka cacek salonowych i parę wazonów z kwiatami. W tym pokoju chorego, który od roku nie podnosił się z mechanicznego fotelu, wszystko lśniło się od elegancji i wielkoświatowego zbytku. Nawet w ciężkiej chorobie stryj był tem, czem zawsze — gentlemanem. Kiedy wszedłem, wskazał mi fotel naprzeciw siebie, potem odchrząknął i otworzywszy złotą bonbonierkę, dostał z niej dwie pastylki. Był to nieomylny znak, że konferencja trwać będzie dłużej. — Oho, małżeństwo moje jest na porządku dziennym, — pomyślałem. Nie myliłem się. — Masz lat dwadzieścia sześć, kochany Tadziu, od lat pięciu skończyłeś studia

Było to zwykłe zagajenie tego rodzaju przemów. Stryj był wielce systematyczny i zwyczajów nie zmieniał. Wiedziałem z doświadczenia, że wstęp potrwa dziesięć minut, potem przyjdzie argumentacja, mogąca dociągnąć do pół godziny i że przed

jej ukończeniem wszelkie uwagi i argumenta z mojej strony
nie są dopuszczalne.
Zapaliłem papierosa, którego rezerwuję sobie na takie
uroczyste chwile dla
utrzymania jasności umysłu, bo zwykle nie palę — i
słuchałem cierpliwie. Po
kwadransie nastąpiło to, co przewidywałem z góry.
Dowiódłszy mi jak dwa a dwa
cztery, że żenić się muszę i to żenić prędko, stryj wysunął
naprzód kandydaturę
matrymonialną księżniczki Matyldy.
Panna była przystojna, miła, dobra itd., jak wszystkie zresztą
panny, któremi
mnie traktowano. Posag nie był wielki, prawda, ale sytuacja
towarzyska
niepospolita, splendor imienia, koligacje. "Sam wiesz przecie:
tytułu nie mamy.
Odrzuciliśmy go niemądrze i niepotrzebnie, gdy go
ofiarowywano po rozbiorze,
potem, gdy synowie naszych podstarościch pozostawali
baronami i hrabiami, starać
się nie wypadało, przytem i twój ojciec i ja ciągle chorzy, nie
mogliśmy wziąć
udziału w życiu publicznem, pchnąć się naprzód — i trochę
zapomniano o nas.
Rodzina nasza zeszła z pola. Alians z księżętami i to takimi,
podniesie ją. A
przytem są w tem małżeństwie warunki szczęścia dla ciebie".

Mówił w ten sposób jeszcze kwadrans, przekonywająco, ale
bardzo spokojnie.

Uderzyło mnie nawet, że spokojniej i obojętniej, niż zwykle.
Zdawało się, jakby
spełniał obowiązek, nie wkładając w to serca.
Skończył nareszcie i znów otworzył bombonierkę. Był to
znak, że mogę odpowiadać.
Odpowiedziałem krótko, że wszystkie uwagi stryja uznaję za
słuszne, ale z
księżniczką żenić się nie mogę, bo mi się nie podoba.
Ku memu wielkiemu zdziwieniu, przyjął tę odpowiedź, jakby
był na nią
przygotowany. Zrobił kilka zarzutów pobieżnie, obojętnie
prawie, żeby się zbyć.
wreszcie podniósł na mnie swe stalowe oczy z zapytaniem:
— Więc może masz kogo innego na myśli?
— Nie mam nikogo.
Popatrzał na mnie chwilę zimnym swym, przenikliwym
wzrokiem.
— Ani nawet Wandzi? — spytał wreszcie powoli.
— Wandzi?
Nie mogłem przez chwilę myśli zebrać. Osłupiałem poprostu.
Żebym ja miał wobec
Wandzi występować w roli konkurenta? Ja i ona? I coś
podobnego mogło przyjść
komuś na myśl!
— Powiedz szczerze — indagował dalej stryj — nie myślałeś
o niej?
— Ależ stryju — wybąknąłem wreszcie; — my z Wandzią
jesteśmy jakby rodzeństwo!

Stary poruszył się niecierpliwie w fotelu.

— Co za głupstwa gadasz, — wybuchnął; — nieboszczka Anieli była przyrodnią siostrą twojej matki. Piękne mi rodzeństwo. A zresztą od czegoż są dyspensy? Przytem, powiem ci otwarcie, byłaby to dla ciebie lepsza partya od księżniczki, o wiele lepsza. Jeśli z tamtą wyszedłem naprzód, to dlatego tylko, że miałem wobec Henryków, hm, pewne zobowiązania, par acquit de conscience, rozumiesz. Ale nie oczekiwałem rezultatu. Wiem przecie co się dzieje, słyszę o Wandzi i o tobie...

— Zaręczam stryjowi, że ani Wandzi, ani mnie nie powstało w głowie...

Ruszył ramionami z coraz większą niecierpliwością.

— Nie bądź-że dzieckiem i nie graj ze mną komedyi... Toż całe miasto mówi o was

i o tem, że jesteście sobą zajęci. Ty asystujesz jej ciągle i nie wychodzisz od

niej, ona tańczyć przestała dlatego, bo ty nie umiesz.

— Ależ przysięgam mój stryju, że między nami niema nic podobnego... że jeśli

bywam, to dlatego, że czytam Wandzi moją Boginię Astarte, z której stryj żartuje

zawsze, a na której ona umiała się poznać.

Stryj zaśmiał się.

— Nie jestem ja doktorem filozofii — rzekł — i nie wiem, jak wy młodzi w waszem

uczonym pokoleniu odbywacie konkury. Może teraz taka moda, żeby to robić za

pomocą nudnych szparga-

łów. Ale co Wandzia, to ta chyba lepiej się poznała na autorze Astarty, niż na Astarteie samej. Czułem, że należy raz wyprowadzić mego stryja z dziwnych uprzedzeń, w jakich się znajdował.

— Żeby stryja przekonać, jak się myli i jak odmiennym jest stosunek mój z

Wandzią, powtórzę stryjowi to, co przed kilku dniami jeszcze z ust jej słyszałem.

Stryj podniósł na mnie znów pytający wzrok swój.

— Wandzia zapewniła mnie, — mówiłem dalej powoli, uroczystym tonem, — że nigdy za nikogo za mąż nie pójdzie.

Stryj poruszył się tak silnie, że aż noga mu się uraziła i jęknął z bólu.

— Nie może być — rzekł wreszcie. — Przesłyszało ci się. Nie zrozumiałeś.

— Proszę spytać jej samej.

— Ależ ja wiem, mam dowody, a przynajmniej poszlaki...

Nie, to niemożliwe.

Powtórzyłem mu naszą ostatnią rozmowę. Ruszał ramionami, uśmiechał się

ironicznie, a potem rwał gniewnie siwe faworyty.

— Nie rozumiem ja was, — szepnął wkońcu. — Vous cherchez midi a quatorse heures,

— a tak byłoby łatwo...

Nie mówiliśmy o tem więcej tego wieczora. Kilka razy tylko uważałem, kiedy

zrobiła się pauza w rozmowie, że stryj podnosił oczy na mnie, wzdychał zcicha i

ruszał ramionami.

W parę dni potem był raut u księstwa Hen-

ryków, na którym stryj kazał mi być koniecznie właśnie dlatego, że układy matrymonialne nie przysły do skutku. Wandzi nie było, wymówiła się zmęczeniem, co, jak uważałem, zdarzało się jej coraz częściej. Tem nudniejszą była dla mnie ta pańszczyzna.

Stanałem na boku i przysłuchiwałem się muzyce, zakryty wielką wachlarzową palmą.

Naraz nazwisko Wandzi obito się o moje uszy.

Oglądnałem się. Trzech młodych ludzi, rozwalonych na ottomanie, paliło

papierosy, prowadząc głośną i ożywioną rozmowę.

— Bo proszę was, co ona w nim mogła znaleźć? — kończył ten sam, który wymienił

nazwisko Wandzi. — Ona śliczna, rozumna, pełna życia, istne słońce wśród naszych

gwiazd wielkoświatowych, a on, ten mól książkowy...

Zacząłem słuchać uważnie. Czy może przypadkiem o mnie była mowa? I znów w

połączeniu z nią?

— O to słońce bodaj opaliłeś sobie skrzydła, mój Fredziu, — ozwał się drugi; —

dlatego taki zły jesteś i surowy w sądzie.

— Jeśli opaliłem skrzydła, to chyba w dobrym towarzystwie.

Przyznajcie sami,

komu z was ona nie zawróciła głowy?

— Nie mnie...

— Zapewne, bo odkąd twoje serce wzięła w arendę Fanny,
poza cyrkiem i woltami
swej wybranej nie miałaś oczu na nic.

— Mniejsza z tem, — zaczął trzeci, zachowujący dotąd
milczenie. — Podobała się
moja piękna kuzynka Fredziowi, podobała się i mnie. Ale pal
dyabli, głowy sobie
nie rozbiłem i nie rozbiję, przekonawszy się, że z tej mąki
chleba nie będzie.
Toż prosta rzecz, że za wszystkich nas nie mogła wyjść razem.
Gdyby jednak
zrobiła rozsądny, możliwy wybór! Nie byłoby choć żal. Ale
pomyśleć sobie, że
mając tylu nas, zawróciła sobie głowę tym niezdara...
— Co to niezdara: powiedz skończonym głupcem, idyotą.
Odetchnąłem z pewnem uspokojeniem. Oczywiście nie
chodziło o mnie, skoro
wybranego Wandzi nazywali idyotą. Ale któż to mógł być?
Zachodziłem w głowę
daremno. I zrobiło mi się bardzo przykro. Więc ona, moja
mądra, dobra
siostrzyczka? byłąby w stanie tak źle umieścić swe uczucie?
Kilka razy w następnych dniach będąc u Wandzi próbowałem
zwrócić na to rozmowę.
Robiłem aluzye bardzo wyraźne. Nie pomogło. Śmiała się,
przerywała mi lub
obracała słowa moje w żart. Nic się nie dowiedziałem.
Tak minął zielony karnawał, nudniejszy od białego, bo
umartwienia balów,

koncertów, rautów, skomplikowały się trudniejszą jeszcze do
zniesienia
przykrością, jaką dla mnie było słuchanie rozmów i dysput ó
turfie, koniach,
dżokiejach, zakładach. Wyrwałem się z tego piekła i uciekłem
na wieś. Wandzia
wyjechała do wód.

Spotkałem się z nią dopiero w jesieni. Wody nie posłużyły jej.
Była bledszą, niż
zwykle i cokolwiek mniej ożywioną i wesołą.
W kilka dni po moim przyjeździe chodziliśmy razem nad
wieczorem długą kasztanową
aleją, ciągnącą się w głębi szydłowieckiego parku ponad
stawem. Słońce
zachodziło czerwone, luną jaskrawą barwiąc wodę. Od lasu
zalały ciepły,
wilgotny powiew — i pachło mokrą zielenią. W polu
śpiewały, zawodząc, dziewczęta
kończące żniwo i turkotały głucho wozy obładowane snopami.
Mówiliśmy o obojętnych rzeczach, ale rozmowa się rwała.
Kilka razy zaczynałem
mówić o kobietach w Fenicyi i Kartaginie (zbierałem właśnie
materiały do dzieła,
które w dwa lata potem wyszło u Brockhousa), ale wbrew
zwyczajowi moja kuzynka
nie zdawała się tem interesować. Posądzam ją, że nawet nie
słyszała mnie.
Odpowiadała półsłówkami, nie do rzeczy, zamyślona dziwnie.
Kiedy wreszcie

podrażniony tem zamilkłem, szliśmy obok siebie dość długo,
nie mówiąc i
patrzając w ziemię.

— Czy wiesz, Tadziu, — rzekła wreszcie cichym głosem, nie
podnosząc oczu, — że

pan Mścisław oświadczył się w Kissingen o moją rękę?

— Hrabia Mścisław? — powtórzyłem zdumiony, —

największy magnat w Galicyi i

najświetniejsza partya w całej Polsce. Ależ to nadzwyczajne!

Mówiono, że żeni

się z Branicką?

— Zdaje się, że nie, jak na teraz przynajmniej.

Nie odstępował nas przez cały czas pobytu w Kissingen, przed
wyjazdem zaś...

— A ty cóż odpowiedziałaś mu? — przerwałem niespokojnie,

— czy go przyjęłaś?

Spojrzała na mnie szeroko rozwartymi oczyma, które nie

wiem czemu wydały mi się

w tej chwili bardzo smutne.

— A ja mu... odmówiłam — rzekła powoli.

— Bój się Boga, — zawołałem przerażony, — ależ to

szaleństwo! Drugiej partyi

takiej nie znajdziesz! To był dla ciebie wielki los!

— Być może, — szepnęła, — ale cóż, kiedy mi do tego

wielkiego losu nie tęskno!

— Może nie wiesz, kto jest Mścisław? Mniejsza, że bogaty,

jak nikt u nas, że

piękny, że wykształcony, jak mało kto, ale to charakter czysty

jak łza, a

dzielny, jakby w marmurze kuty. Znam go przecie od lat tylu, słyszę o nim tyle.

Spytaj zresztą kogo chcesz o niego.

Szła koło mnie ze spuszczoną nisko głową.

— Być może, — szepnęła — ciotka Felicja powtarzała mi to słowo w słowo, i wuj

Wiktor, i Marynia, i Lola. Przez sześć tygodni rano i wieczorem nie słyszałam

nic innego.

— I pomimo tego odmówiłaś?

— Odmówiłam... Ale uspokój się. Pan Mścisław udał się do ciotki Felicji, jako najbliższej krewnej, a ona wzięła mnie w istne obleżenie i wymogła...

— Że przyrzekłaś?

— Nie, ale... że decyzję odroczę.

— Na długo?

Podniosła na mnie znowu oczy swoje, te śliczne, ogromne modre oczy, głębokie i

lśniące, jak morze. I znów zdało mi się, że kryje się w nich jakaś skarga, jakiś

smutek bezbrzeżny, choć cichy.

— Dopóki nie zobaczę się z tobą i... nie zapytam cię o zdanie.

Głos jej głuchy był jakiś i bezdźwięczny. Ale nie zwróciłem na to uwagi,

uradowany tem, co powiedziała.

— Poczciwa siostrzyczko, — zawołałem, ściskając jej rękę, — myślałaś o mnie, nie

chciałaś sobą rozporządzać bezemnie! Dziękuję ci, dziękuję z serca. Wielki to

wprawdzie obowiązek i trudna odpowiedź.

— Nie dawaj jej odrazu, — przerwała szybko, — rozważ, namyśl się...

— Ale cóż tu się namyślać, — zawołałem — byłbym szaleńcem, gdybym ci dał inną odpowiedź, jak...

Znów mi przerwała słabym, jakby zmęczonym głosem.

— Proszę cię, czekaj jeszcze. Nie odpowiadaj mi — do jutra przynajmniej. I

pomyśl, nim odpowiesz...

Zatrzymała się przez chwilę i zdało mi się, jakby się mocowała z sobą.

— Pomyśl sobie, co z tobą będzie, Tadziu, — kończyła szeptem prawie, jakby słowa nie chciały jej przecisnąć się przez gardło. — Przypomnij sobie, coś sam mi kiedyś mówił, że się tak boisz

mego... mego zameżcia, że ono cię zrobi samotnym i smutnym na świecie.

Przypomnij sobie, jak się cieszyłeś, gdy ci powiedziałam, że nikim... nikim z

tych, o których myślałeś, nie jestem zajęta, że za męża nie wyjdę i po staremu

będę ci dobrą, wierną siostrzyczką...

— Ależ to zupełnie co innego, — zawołałem, zapalając się własnymi słowami —

Mścisław nie jest wcale jednym z tych salonowych fircyków, jak ci, co się

starali o ciebie w Krakowie... Byłbym niepoczciwym egoistą, gdybym cię chciał

takiego męża pozbawiać.

— Nie spytałeś mnie, czy go kocham, czy go kochać potrafię?

— Ale potrafisz z pewnością. Wierz mi, ma on wszystko, co może wzbudzić miłość.

A zwłaszcza... Bo najważniejszego jego przymiotu zapomniałem ci wymienić.

— A tym jest?

— Archeologia, wyobraź sobie, archeologia! to assyryjska, fenicka, kartagińska

— akurat to samo, co jest moją specjalnością. I w dodatku ten człowiek nie

wchodzi mi w drogę, owszem pomaga. Czyż zapomniałaś, że jeździł ze mną do Tarsu

i Tyru? Że razem ze mną robił wykopaliska w Pamfilii i

Syryi? Prawda, że głównie

z zamiłowania sztuki a może i wrażeń turysty. Prawda, że jest raczej amatorem,

niż uczonym, ale przecież rozumie się, interesuje... O Astarcie napisał artykuł

w Przeglądzie — jedyną krytykę mającą wartość,

jaka dotąd się pojawiła. Wydając cię za niego, nie tracę cię wcale...

Układałem już sobie w myśli — jak będę moją »Niewiastę fenicką« czytać im dwojgu

— jak z nimi razem będziemy urządzać archeologiczne wyprawy i zbierać wspólnie wykopaliska.

Doprawdy, ślicznie-by to było. Nie traciłbym Wandzi, gdyby wyszła za Mścislawa —

owszem — zbliżyłbym się lepiej do tego ostatniego, a to
wyszło-by niewątpliwie
na dobre moim pracom.
Mówiłem w tym sensie dość długo. Ona nie odpowiadała mi
nic i nie podnosiła
oczu. Byłem pewny, że ją przekonałem. Poszedłem spać w
rózowym humorze i śniło
mi się, że we troje odkopujemy wśród ruin Kartaginy skarb
królowej Dydony, wobec
którego odkrycia Schliemana są dziecinną igraszką.
Nazajutrz rano służący, przynosząc śniadanie do mego pokoju,
— oddał mi bilecik
od Wandzi.
»Piszę do ciebie, żeby cię zawiadomić o mojej ostatecznej
decyzji we wiadomej
sprawie. Wysłałam w tej chwili posłańca do hrabiego z
odповідzią stanowczą —
odmowną. Wybacz mi — argumenta twoje choć tak
wymowne, nie przekonały mnie.
Będziesz musiał po staremu zadawałniać się jedną słuchaczką
prac twoich. Proszę
cię, nie wspominaj o tym przedmiocie. Poco tem psuć nasze
gawędy, skoro zdania
nasze się różnią? Dlatego piszę ci o tem«.
I proszę mi powiedzieć, czy nie mam racji

w mojem zdaniu o kuzynce Wandzi i czy nie słusznie
twierdzę, że znając kobiety
tak dobrze jak je znam, a ją lepiej chyba od innych kobiet,
przecież czasami
przyznać muszę, że jej nie znam, że jej nie rozumiem?...

VI.

Dwie godziny temu przyjechała do mnie moja kuzynka z pożegnaniem. W tej chwili wracam z przedpokoju i przez okno widzę jeszcze zdaleka, na gościńcu jej kabriolet i siwki, niknące w kurzawie. Rozstajemy się na czas dłuższy.

Towarzysze wielkiej naukowej wyprawy, jaką urządzam do środkowej i południowej Ameryki w celu zebrania materiałów do pomnikowego dzieła »O wpływach Fenicyan na kulturę Azteków i Inkasów«, są już w Londynie lub czekają na mnie w Wiedniu.

Wyjeżdżam tam dziś wieczorem, a wrócę... Wyprawa obliczona jest na trzy lata, ale trwać może cztery, pięć... któż wie?

I oto uścisnąłem ręce mojej poczciwej siostrzyczki, patrzałem na łzy jej, dwoma cichymi strumieniami płynące, słyszałem ostatnie: »Bóg niech cię prowadzi i przyprowadzi, braciszku«! I to wszystko może po raz... Ona była taka blada, taka przezroczyta, tak od jakiegoś czasu słania się chodząc i zdaje się, jakby topniała w oczach. Czyżby broń Boże... Ale nie. Nie myślmy o smutnych rzeczach i nie psujmy sobie pierwszych wrażeń po-

dróży, od lat tylu upragnionej, wymarzonej, wciąż odkładanej
aż dotąd!

Nie wiem czemu jednak nie mogę o niej myśleć, cieszyć się
nią. Wandzia stoi mi
wciąż w oczach, słowa jej ostatnie brzmią w uszach bez
ustanku.

Kiedy wczoraj wieczorem żegnałem się z nią na tarasie
sztylówieckiego pałacu
zeszła na dół aż do powozu i ściskając mi rękę ostatni raz,
szepnęła mi:

— Do widzenia. Jeszcze do widzenia przed wyjazdem,
Tadziu. Ja tam jutro na
chwilkę do Boratycz wpadnę, żeby... żeby ci dać krzyżyk
ostatni na drogę.

Przyjechała. Zaprowadziłem ją zaraz do lewego pawilonu, w
którym się mieszczą
moje archeologiczne zbiory. Zostawiam je pod jej opieką i
chciałem dać jej na
wyjezdnem kilka wskazówek, o których przedtem
zapomniałem. Ona słuchała mnie w
milczeniu, z oczyma spuszczone i z zaciśniętymi nerwowo
ustami.

— Tadziu, — rzekła naraz, kładąc mi rękę na dłoni — to
wszystko, co mówisz i co
chcesz powiedzieć, słyszałam od ciebie wiele razy. I wierz mi,
słuchałam
uważnie, pamiętam dokładnie. Nad twymi zbiorami, które tak
kochasz, będę czuwała
dniami i nocą, dlatego, boś w to serce swe włożył, bo one są
częścią duszy
twojej, czemś, co mnie łączyć będzie z tobą, gdy ty będziesz
daleko. Oko moje,
myśl moja będą tu ciągle, póki starczy sił

i życia. Nie bój się więc. I... nie mów dziś o tem. Dziś
chciałabym, abys do
mnie należał, abym o tobie tylko mogła myśleć i mówić.
Przerwała i oddychała ciężko, trzymając się ręką alabastrowej
kolumny,
przywieszonych z Balbeku. Spojrzałem na nią i przeraziłem się.
— Wandziu, ty chora jesteś! — zawołałem.
Była bardzo blada, prawie tak blada i przezroczysta, jak
alabaster, o który
opierała się ciężko. Przypatrzyłem się jej wtedy po raz
pierwszy uważniej i
przeraziłem się jeszcze bardziej. Go się stało z tej królewskiej
piękności,
przed którą dziesięć lat temu klęczał cały Kraków! Cień został
ledwie, jeszcze
idealnie piękny, ale jakiś nieziemski, wyzuty niemal z ciała
jak anioły Fra
Angelica, i z pasmami srebrnych nici wśród bujnych,
ciemnych warkoczy.
I wtedy przyszło mi na myśl, że może wróciwszy, nie zastanę
jej już, że może
zamkną się na zawsze, nim wrócę, te oczy patrzące na mnie,
odkąd je pamiętam,
tak słodko, pełne cichego a tak gorącego dla mnie uczucia. I
zrobiło mi się
straszno i przykro, prawie tak straszno i tak przykro, jak
wtedy, gdy skarb bez
ceny, perła moich azyatyckich wykopalisk, statua bogini
Astarty rozbiła się na
kawałki w Tryście przy wypakowywaniu jej z okrętu.

— Wandziu moja, — jęknąłem, otaczając jej wątłą i nikłą postać ramieniem —

Wandziu moja najdroższa, jedyna!

Przytuliła się do mnie i biedną swą główkę

oparła mi na piersiach, jak zmęczona śmiertelnie ptaszyna.

— Już mi dobrze, — szepnęła bardzo cicho — nie bój się, już przeszło.

Ale nie przeszło widać, bo kolana pod nią uginały się, i gdybym jej nie trzymał, upadłaby z pewnością.

— Ty naprawdę nie jesteś zdrowa — rzekłem niespokojnie — ja cię tak nie mogę pozostawić, ja...

Urwałem. Cisnęło mi się na usta: »Nie mogę jechać w tej chwili«, ale oczywiście o wstrzymaniu wyjazdu nie mogło być mowy. Ona zrozumiała mnie.

— Gdyby tak daleko rzeczy nie zaszły, i moi towarzysze podróży nie czekali na mnie w Londynie...

Przerwała mi z uśmiechem, kładąc żartobliwie swą rękę na moich ustach.

— Nie wstyd to takie dzieciństwa mówić, członkowi Akademii Umiejętności? —

rzekła. — Czy myślisz, żebym pozwoliła na wstrzymanie wyjazdu twego, na pokrzyżowanie planów i nieobliczone szkody dla nauki, dla ciebie? Choćbym konała, ostatnim wysiłkiem wyprawiałabym cię. Ale zresztą o czym tu mówić? Ja

przecież jestem zdrowa, całkiem zdrowa! Twój wyjazd nerwy mi poruszył trochę,
ale ta odrobina osłabienia przejdzie prędko bez śladu.
Spojrzałem na nią z wdzięcznością i mniejszym już
niepokojem.

— Jakaś ty pocziwa, Wandziu moja — szepnąłem — jaka pocziwa!

— Dajże mi spokój — rzekła, starając się uśmiechnąć —
jestem tylko szczerą i nie
chcę cię martwić bez żadnej racji. Ot, podaj mi rękę i
chodźmy do ogrodu, bo tu
stęchlizna oddech zapiera.

Szliśmy powoli aleją, ale rozmowa nie kleiła się. Mnie w
myśli wciąż się kręciła
moja biedna Astarte połamana z rysami Wandzi na twarzy.
Ona wracała do wspomnień
lat minionych, do chwil razem spędzonych i przypomniawszy
jedną z nich, urywała
nagle.

— Czy wiesz — rzekłem po jednej z takich pauz, ażeby
przerwać milczenie — że
Mścisław ma mi towarzyszyć w pewnej części mej podróży?
— Doprawdy? — odparła obojętnie. — Nie mówiłeś mi o
tem.

— Bo w ostatnich dniach dopiero napisał mi o swoim
zamiarze, a wśród kłopotów i
pakowań przedwyjezdnych wyleciało mi to z głowy. Plan
wyprawy zainteresował go,
chce przez pewien czas towarzyszyć, jako wolontaryusz.

— Cieszę się z tego — rzekła — będziesz miał miłego towarzysza, a wyznaję, że i spokojniejszą będę, wiedząc, że będziecie razem.
— Jeśli mam być szczerym — odrzekłem, uśmiechając się — to wolałbym was dwoje zostawiać razem.
Ruszyła lekko ramionami.

— Wiesz przecież, mój Tadius, że go nie kochałam, nie mogła więc być z nas para.
— Możebyś pokochała kiedyś.
— Nie mogłabym nigdy — odrzekła z naciskiem, stłumionym, ale stanowczym głosem.
— Czy wiesz, Wandziu, że mi czasem przychodzi na myśl, czy to, co słyszałem przed laty O tobie, nie było prawdą? Inaczej nie umiałbym sobie wytłumaczyć odmowy danej Mścisławowi, nie mówiąc już o innych.
Podniosła głowę i spokojnie ale łagodnie spojrzała mi prosto w oczy.
— Mówili ci ludzie, że jestem kimś zajęta? Kiedyś, przed laty, wspominałeś mi o tem.
— Czy nie mieli racji?
Uśmiechnęła się niewyraźnie jakoś i odwróciła odemnie głowę.
— Może i mieli rację — szepnęła.
— A więc to była prawda — zawołałem — a ja myślałem...
Ale teraz przynajmniej powiesz mi, kto to był... musisz mi powiedzieć!

Odsunęła się zlekka, unikając mego wzroku
i potrząsając głową w milczeniu.
Czyżby się tej miłości wstydziła? Więc prawdą było to, co o
tem ludzie gadali
przed laty? Więc on nie był jej wart, tak dalece, że przez tyle
czasu mnie,
najbliższemu bratu, nie odważyła się wymienić jego
nazwiska?
A może go kochała jeszcze?
Myśli kotłowały mi się w głowie, krzyżując

się i łamiąc. Zrobiło mi się niezmiernie przykro i ciężko.
— Wandziu — rzekłem do niej, przyciskając ją do siebie. —
Wandziu moja, ja mam
prawo wiedzieć, ja brat twój, najbliższy tobie. Któż cię więcej
kocha niż ja?
Komuż powiesz, jeżeli nie mnie?
Wyrwała mi się i niepewnym krokiem zaczęła iść sama po
drugiej stronie alei.
— Nikomu, nikomu — rzekła wreszcie, nie patrząc na mnie.
— A gdybym cię prosił, jak przyjaciel najlepszy, gdybym
żądał jak brat... nie
powiedziałabyś?
— Nigdy!
Robiło mi się coraz przykrzej.
— Czy wiesz, Wandziu, że twoje milczenie dziwne może
budzić podejrzenia... że
może potwierdza ludzkie gadania o tem... takie dziwne.
Zwróciła się do mnie po raz pierwszy blada, z paląciami się
oczyma.
— Cóż ludzie mówili?

— Nazywali go niegodnym ciebie. Wstrząsnęła się.
— To nieprawda — rzekła gwałtownie. — Jestto człowiek
honoru, zacny i prawy, jak
niewielu.

Dzięki Bogu i za to, pomyślałem.

— Ale zarzuty ich były innego rodzaju.

— Mianowicie?

— Wedle nich był to mól książkowy, niezdara i...

— I? Mów szczerze?

— Przepraszam cię, ale sama chcesz: idyota.

Ku memu niemałemu zdziwieniu kąty ust, ściągnięte nerwowo
przed chwilą, zaczęły
nagle u Wandzi drgać, jakby z ochoty do śmiechu. Ale było to
zapewne coś
spazmatycznego.

— Słyszałeś to naprawdę?

— Niestety!

— Słyszałeś wielki nonsens, mój Tadziu. Ten, który... o
którym słyszałeś, jest
rzeczywiście trochę... trochę ekscentrycznym, trochę
jednostronnym, może nawet
odrobinę... dziwakiem.

— A widzisz! I ty takiemu mogłaś oddać serce! Uśmiechnęła
się smutnie, ale znów
jakby zagadkowo czegoś.

— Poczekaj — kończyła — jest on takim, ale dlatego tylko, że
jest człowiekiem
wielkiej myśli, wyjątkowego talentu i wyjątkowej pracy. Serce
jego ukochało

ideał bardzo wysoki i bardzo promienny, oczy zapatrzone w słońce nie zwracają się na małości życia, nie dziw, że czasem noga mu się potknie o jaki czczy konwenans światowy, nie dziw, że go nie rozumieją, nie ocenią mniejsi i gorsi od niego.

Mówiła z zapalem, rozogniona, drżąca. Cała dusza jej była w tych słowach.

Słuchałem zdumiony, przerażony prawie.

— Ależ moja Wandziu, ty go kochasz dziś jeszcze! — zawołałem.

Spojrzała na mnie swym miękkim, aksamitnym wzrokiem i zwolna pochyliła głowę.

Nie wiem czemu, poczułem w tej chwili niechęć do tego nieznanego człowieka, który umiał tak zupełnie zawładnąć tem sercem, dotąd, myślałem, oddanem mi wyłącznie.

— Więc tak go kochasz, tak bardzo, nadewszystko? Więcej odemnie?

Uśmiechnęła się znowu.

— Więcej od ciebie? Nie, mój Tadius. Jak ciebie.

— Ależ przez litość, dlaczego? Takie uczucie, tyle lat — ty piękna, bogata, czarująca... i ...dlaczego?

Przez chwilę nie odpowiadała mi.

— Bóg nie chciał — szepnęła wreszcie.

— Ależ on wiedział o tem? Wstrząsnęła głową.

— Nie — odrzekła — ani się domyślał. Nie wie o tem nic... aż do dziś.

— Więc żyje dotąd? I jest wolny? Skinęła głową w milczeniu.

— Ale w takim razie... Dlaczegoż nie zwierzyłaś mi się...

Może on nie śmiał,

może niżej stał od ciebie, może jakie przeszkody... Możebym mógł pośredniczyć,

zapewnić ci szczęście...

— Niechże Bóg broni — rzekła poważnie. — Któż wie, czy ta miłość dałaby mu

szczęście? Zresztą — on mnie nie kochał... przynajmniej nie tak. Gzy sądzisz, że

moja godność pozwoliłaby na połączenie z nim w takich warunkach? A przytem — on

szczęśliwy tak jak jest...

— Ale ty!

— Ja, cieszę się jego szczęściem, żyję i żyć będę myślą o nim, modlitwą za niego

— tak jak żyję modlitwą za ciebie i myślą o tobie, mój Tadziu.

Przez chwilę szliśmy w milczeniu. Miałem takie wrażenie jakby przedemną otwarła

się przepaść. Żal za tą biedną kobietą, najlepszą towarzyszką i przyjaciółką od

lat tyłu, rozpierał mi poprostu piersi.

— Więc on nigdy nie będzie wiedzieć, więc ty z nim nigdy, nigdy...

Podniosła rękę w górę i uśmiechnęła się łagodnie.

— Ależ któż to być może? — krzyknąłem niemal z rozpacz.

— Przecież ja znam

prawie wszystkich, których ty znasz i znać możesz. A
tymczasem będę się,
szukam, kombinuję — i nikogo podobnego, nikogo.
Położyła mi rękę na ramieniu.
— Nie szukaj i nie męcz się daremnie. Nie trafisz. I na co
tobie?
— Czy go choć znam?
Znów uśmiechnęła się, ale nic nie odpowiadała.
— Dajmy pokój temu — rzekła wreszcie. — Wierz mi,
niepotrzebnie się tem
zgryźleś. Był to sen lat moich młodych, sen złoty, ale sny nie
sprawdzają się.
Zostało mi z niego więcej, niż zwykle sny zostawiają: trochę
jasnych wspomnień i
spokojne, siostrzane uczucie, którego nie zmieni

ani zmniejszy nic w życiu a skończy — śmierć chyba.
W chwilę potem rozstaliśmy się. I oto ona już odjechała
odemnie, a ja stoję
wciąż, myśląc o jej ostatnich słowach, i wciąż bije mi się w
mózgu pytanie, kto
jest ten człowiek, którego ona ukochała tak gorąco, od tak
dawna, w tak zupełnej
tajemnicy przedemną? Chodzę po salach muzealnych i po
galeryach napełnionych
podróżnymi kuframi, słucham z roztargnieniem pytań i uwag
służby, gotującej
wszystko do drogi, a w myśli mam jedno i jedno:
— Kto on?

W OTCHŁAŃ! Szkic z życia

— I cóż woźnemu powiedzieć?

— Co powiedzieć?

— Czy pan profesor będzie mógł przyjść na tę konferencję?

Bo pan dyrektor kazał
prosić o odpowiedź.

— O odpowiedź? Powiedz jemu... powiedz tercyanowi, żeby
ruszał i żeby go razem z
konferencją dyabli wzięli.

Dzień był obrzydliwy, jak tylko u nas w Polsce może być
obrzydliwy dzień

marcowy. Deszcz, połączony ze śniegiem, padał od rana.

Wiatr siekł w twarz, jak

biczami, zimno wilgotne przenikało do kości, ale ani wiatru
było dosyć, aby

porozpędzać chmury, ani zimno było dość silne, aby śnieg
topiący się stęzał. A

przytem miasto ohydnie brukowane — na chodnikach błoto
po kostki, środkiem ulic,

w kałużach olbrzymich, czarnych jak przepaście — po kolana
i dalej.

Jednym słowem — ohyda. W piecu zapalić, w szlafrok

watowany wleźć i siedzieć z

fajką przy kominku — i tyle.

Miałem zrana w gimnazyum trzy godziny. W klasach było zimno, jak w psiarni.

Chłopcy ochrypli i zakatarzeni, aż wykładu słyszeć nie było od ka-

szlu i kichania. Porozdawałem dwójek na prawo i na lewo, ile wlaźło, paru

zapisalem do katalogu i kazałem w niedzielę siedzieć po dwie godziny... Wróciłem

do domu zziębnięty, przemokły do nitki, w błocie cały, a zły...

Na szczęście żonka, przewidując, co ze mną dzieć się będzie, przygotowała na

obiad ulubione moje sznycelki wiedeńskie, kazała dobrze napalić, a po obiedzie

sama przyniosła mi do kominka kawę, fajkę własnoręcznie nałożoną i ciepły plaid

do okrycia nóg.

— Poczytaj sobie trochę, ja zaraz przyjdę z robotą, tylko porządki porobię.

Dobrze przynajmniej, że popołudniu lekcyi nie masz i wychodzić nie potrzebujesz.

Pocziwa Kostusia! Oczywiście, że nie myślałem wychodzić na szarugę i zimno. Był

to czwartek — a we czwartek przez dziesięć miesięcy na dwanaście, przychodzą do

mnie sąsiedzi z drugiego piętra, emerytowany radca sądowy z żoną i bratem,

starym kawalerem, który przy nich mieszka. Kostusia nam przyrządza kawę, tak,

jak to ona umie, z wiejską śmietanką i domowem pieczywem, a my sobie przy

kominku robimy partyjkę wiścika.

Bo, trzeba wiedzieć, wiścik to moja słaba strona, a i radcy także, i jego brata również.

Więc tak przez cały rok; we czwartek u nas, w niedzielę u nich partyjka.

Niedroga — parę szóstaków różnicy bywa, byle jakiś interes miała gra. I tak miło czas poobiedni schodzi...

Właśnie myślałem sobie o partyjce i o obowiązku zrewanżowania się na radczyni,

która mnie haniebnie ogrywa, kiedy naraz — dzwonek.

Myślę: może wcześniej dziś

przyszli goście, to i owszem; czemu nie? Ale gdzieżtam!

Tercyan z wezwaniem na

konferencyę po skończonych lekcjach wieczornych o piątej.

Jakaś sprawa

dyscyplinarna, niecierpiąca zwłoki.

Sprawa dyscyplinarna... Pewnie znowu którego z tych

nicponiów złapali w knajpie,

albo też który palnął jakąś impertynencyę profesorowi. Osły!

Nie mogli to sobie

cieplejszego dnia wybrać na swoje głupstwa!

Ale cóż? Nie było rady! Tercyana posłałem do tysiąca

dyabłów, ale dyrektora —

nie mogłem, choć chciałem, dalipan chciałem! Trzeba było ruszać do szkoły w

deszcz, śnieg i błoto. A gimnazym odemnie o dobre dziesięć minut, i to po takich

wertepach iść trzeba, że Boże zachowaj!

Niema co. Biorę buty i kalosze, surdut i płaszcz futrzany.
Żona mi usta
szalikiem zasłania, żebym się nie zaziębił. Czapka na uszy,
głęboko, żeby wiatr
nie zerwał i — w drogę.
Idę — a tu już ciemno się robi, a wiatr, i śnieg, i deszcz
lodowaty kole wciąż w
twarz szpilkami i zasypuje oczy. Idę i ślizgam się, potykam,
wpadam w kałużę. A
w domu ogień tak ślicznie pali się na kominku, kawa pachnie i
lada chwila goście
zadzwonią.
Bodajże tego hultaja, który mi tę biedę spro-

wadził! Ale czekaj-no bratku, czekaj! Dam ci ja! Popamiętasz,
co to znaczy
starego profesora na taką szarugę z domu wypędzać! I to we
czwartek! We
czwartek!!
W sali konferencyjnej zastałem już kilku profesorów,
klnących jak ja, bo lekcyj
po południu nie mieli i w błocie brnąć musieli umyślnie. Stary
Wilmer
szczególniej, gniewający się o mniejsze rzeczy niż ta, był teraz
wściekły.
— Otóżto młodzież nasza! — wołał, wymachując rękami i
wysuwając naprzód, do
twarzy najbliższych stojących, kościste swe palce — otóżto nasi
uczniowie! Żadnego
poszanowania, żadnej dyscypliny, żadnego nad profesorem
miłosierdzia! W taki

czas psa-by nie wypędził, a ten hultaj Sikora ściąga nas tutaj gwałtem.

— To o Sikorę chodzi?

— A jakże! O kogożby, jak nie o tego nicponia! I pomyśleć, że ja już byłem w pantoflach i szlafroku, i dla fantazyi tego urwisza musiałem aż tu się wlec!

— Akurat, jak ja!

Właściwie tam o tej fantazyi Sikory byłoby dużo do powiedzenia, i przypuszczam, że hultaj chłopak wolałby widzieć nas siedzących po domach przy kominie, niż tu, sądzących jego sprawę... Ale cóż? On był naprawdę powodem. Nikt, tylko on! Więc kolega Wilmer miał rację.

Dzwonek się rozległ; za chwilę cichy gmach szkolny zatrzęsł się hałasem kilkuset chłopaków,

wybiegających z klas, z książkami pod pachą, ze śmiechem, gwarem, krzykami, nie troszcząc się o śnieg i błoto.

Sala konferencyjna zapełniła się profesorami) wracającymi z lekcji. Była to podłużna, sklepiona izba, niegdyś refektarz klasztorny, o wązkich oknach i brudnych, nagich murach, okrytych pleśnią i ciemnymi, mokremi plamami. Lampa, zawieszona w pośrodku sklepienia, rzucała niepewne światło na długi stół, okryty

zielonem suknem i zarzucony papierami, a dokoła stołu na
kilkanaście twarzy,
schylonych nad nim z wyrazem znużenia i niechęci. Resztę
sali zalegały cienie
szare, posepne, od których wiało pustką, zimnem i wilgocią.
Ach! Jakże to inaczej wyglądało w tej chwili u nas! Na
kominku pali się ogień,
pryskając wesoło i rzucając iskry. Żona nakryła stoliczek
obrusem z kolorowymi
szlakami, poustawiała talerzyki, koszyki z ciastami i
pieczywem, garnuszki ze
śmietanką. Ona to wszystko tak ładnie i zgrabnie urządza, aż
popatrzeć miło.
Teraz kawę wlewa w stare saskie filiżanki wyprawne, a
radczyni woła:
— Dosyć, ach, dosyć! U pani doktorowej kawa taka wyborna,
ale taka mocna!
Gotowani dostać palpitacyi serca!
Jak im tam ciepło i dobrze! A nam, jak tu zimno, i smutno, i
wstrętnie — i jak
ohydnie wracać będzie po nocy! Przeklęty Sikora!
Dyrektor zajął miejsce w końcu stołu i dotknął dzwonka.
Rozmowy się uciszyły. On
ręką musnął

siwe faworyty, poprawił okulary, świecę przysunął do samej
twarzy, za świecą,
zdaleka, rozwinął szeroki arkusz kancelaryjnego, szczelnie
zapisanego papieru, i
zaczął czytać bezdźwięcznym swym, monotonnym głosem.

Był to protokół zajęcia, jakie wydarzyło się wczoraj rano, na pierwszej godzinie, w oddziale A. siódmej klasy, podczas lekcji profesora Kuderkiewicza.

Zeznanie profesora brzmiało w protokóle, jak następuje:

"Dnia marca r. odbyłem przez pierwszych dwadzieścia minut, jak zwykle,

wykład nowej lekcji, następnie zaś, dla powtórzenia jej i objaśnienia na

podstawie tego, co zadałem, lekcji poprzedniej, wezwałem do tablicy ucznia

Stefana Sikorę. Sikora z początku odpowiadał gładko i przytomnie, potem zaczął

się plątać i mięszać. Starłem się naprowadzić go na dobrą drogę, parę razy

podpowiadałem mu sam -- nie pomogło nic. Przytem w trakcie pytania Sikora

zdradził zupełną nieznaną form gramatycznych i widoczny brak podstaw

naukowych, co tembardziej mogło zadziwiać, że uczeń ten uważany był aż do

ostatnich czasów za bardzo pilnego. Kiedy zwróciłem na to uwagę Sikorze, że jego

odpowiedzi każą mi wątpić o możliwości przepuszczenia go do ósmej klasy, Sikora

zadał mi naprzód rozdrażnionym tonem parę bliższych pytań w tym względzie,

domagając się stanowczej odpowiedzi, czy ma przecie jakąś

szansę promocji, czy nie, a gdy mu powiedziałem, że nie mogę mu czynić nadziei z

mego przedmiotu, tembardziej, że, jak okazało się przy ostatniej konferencji, szansę jego równie słabe są w kilku innych przedmiotach, a specjalnie w matematyce, łacinie i niemieckim, Sikora rzucił z impetem kredę o ziemię i odszedł na miejsce samowolnie, wołając głośno: W takim razie niema potrzeby pytać mnie lekcyi. Zawezwany przezemnie dwukrotnie, aby wrócił do tablicy, odpowiedział mi, z miejsca nie wstając, że słuchać nie myśli i że mu wszystko jedno. A gdy wtedy zwróciłem jego uwagę na konsekwencye, na jakie się naraża podobnem wykroczeniem przeciw szkolnej dyscyplinie, odpowiedział mi podniesionym głosem, że go mogą wypędzić i nawet zabić, i że to jest ostatnia usługa, jaką mu może wyrządzić gimnazyum, bo mu już życie obrzydło. Ponieważ czas, przeznaczony na lekcję, miał się ku końcowi, a rozdrażnienie ucznia Sikory tak było bijące w oczy, że musiało wywoływać obawę jakiegoś gwałtownego kroku z jego strony, uznałem za właściwe dalej sprawy nie podnosić i nie zwracałem się już więcej do niego. Niezwłocznie po skończonej lekcyi, po której Sikora nie wstał wraz z innymi, jak tego przepis wymaga, udałem się do Dyrekcyi, aby jej fakt wyżej opisany zakomunikować. Uczeń Stefan Sikora, wezwany przez Dyrektora

do wytlómaczenia swego postępowania, zeznał co następuje. Słowa, zarzucone mi przez pana profesora Kuderkiewicza, wymówiłem istotnie, i to w tensam sposób, jak to pan profesor przedstawia. Zarówno z ich obraźliwego znaczenia, jak ze skutków, jakie dla mnie mogło pociągnąć zachowanie się moje, zdawałem sobie sprawę. Nie miałem jednak specjalnej intencji obrażenia pana profesora, przeciw któremu nienawiści nie czuję i którego o niesprawiedliwość względem mnie nie posądzam. Byłem rozdrażniony i chory. Od kilku tygodni, wskutek zbyt forsownej pracy, całkiem sypiać nie mogę po nocach. Miałem też inne osobiste przykrości w tych czasach. I to jedno mogę na usprawiedliwienie moje przytoczyć".

Dyrektor skończył czytanie, papier położył przed siebie, świecę odsunął, gładząc faworyty i rozejrzał się przez chwilę po naszym gronie. Poczem zaczął w ten sposób:

— Przedstawiłem panom speciem facti i nie mam wcale zamiaru wpływać na decyzję konferencji w tej sprawie. Dla informacji jednak tych panów, którzy w siódmej A. nie wykładają, uważam za mój obowiązek dodać, że Stefan Sikora, uczeń naszego zakładu, od pierwszej klasy należał zawsze do najpilniejszych i

najporządniejszych chłopców, nie był aż do tego roku ani razu na konferencji wykazany, co sam przed chwilą w katalogach sprawdziłem: obyczajnie miał wzorowe i by-

wał zazwyczaj stawiany za przykład innym uczniom. Nie było przeciwko niemu dotąd nigdy skargi. W tym roku zaczął się opuszczać, jak się zdaje, nietyle z lenistwa, co z przeładowania pracą, bo ma podobno na utrzymaniu rodzinę. W pierwszym półroczu z dwóch przedmiotów otrzymał niedostateczny postęp w końcu kursu i wskutek tego musiał uiścić opłatę szkolną, ze względu jednak na jego dotychczasową pilność i dobre zachowanie, pozwoliłem na wyasygnowanie dla niego połowy tej sumy z kasy pomocy dla biednych uczniów. Tak więc stoją rzeczy. Tem smutniejszym jest fakt, im mniej spodziewany, im mniej zwykły w naszym zakładzie, w którym, dzięki Bogu, na karności nigdy nie zbywało. Raczej teraz, panowie, wyrazić o tem swe zdanie. Odchrząknął, okulary poprawił i skinął głową w przeciwną stronę stołu. Przez chwilę panowało milczenie.

— Fakt smutny niezaprzeczenie — zaczął powoli i z namysłem kolega Kościejewski, profesor nauk przyrodniczych.

— Szkoda, że kolega Wiliński chory — dorzucił jego sąsiad
— jako gospodarz
siódmej A., onby najwłaściwiej mógł sąd wydać w tej
sprawie.
— Karność jest kamieniem węgielnym wychowania, a
cementem dla szkoły — ozwał się
profesor ojczystej literatury, kochający się w sentencyach.
— Nie należy zapominać jednak, że chłopak

przyznał się do winy i że ją tłumaczy rozdrażnieniem i
przepracowaniem —
wtrącił, łagodząc, katecheta.
— Najmocniej popieram zdanie księdza kanonika i
przyłączam się do niego — dodał,
wstając profesor Kuderkiewicz.
Wszystkich oczy zwróciły się ku niemu.
— Nie dziwcie mi się, panowie — mówił dadaj — i nie
posądzajcie o zbytnią
pobłażliwość. Ja jestem nieszczęśliwym powodem tej sprawy,
a choć oczywiście nie
mogłem jej puścić płazem ze względu na dyscyplinę szkolną,
nie mogę jednak zbyt
surowo obwiniać Sikory. Jest on istotnie przepracowany i
roznerwowany do
ostateczności. Uważałem to od dłuższego czasu i żałuję
serdecznie, że mi to nie
przyszło na myśl wczoraj rano. Może ostra uwaga była iskrą,
co zapaliła ten
palny materiał. Niechże panowie pozwolą mi prosić o
wyrozumienie dla biedaka.

— Bez kary ujść nie może przecie — mruknął Wilmer niechętnie, kręcąc siwą głową.
— Bez kary... nie, ale sądzę, że karcer wystarczy.
— Szesnaście godzin i niech pana kolegę wobec klasy przeprosi — zdecydował senior grona, łysy matematyk Neuhäuser.
— Możeby wystarczyło dwanaście — wtrącił katecheta.
— Kara nie powinna się mierzyć długością trwania, ale wpływem na duszę karanego
— ozwał

się magister sententiarum, jak lubiliśmy nazywać profesora literatury. — Wnoszę ośm godzin.
— Możeby i sześć wystarczyło — dorzucił jakiś pobłażliwy głos z kąta.
— Ja z mojej strony jestem zdania... — zaczął powoli kolega Kościejewski.
Nie skończył. Okiennice uderzyły gwałtownie o szyby, które pękły i z łoskotem rozbryzwały się w kawałki. Wszyscy drgnęli i zerwali się. Wicher wpadał do sali przez rozbite okno, miotając śnieg z deszczem lodowatym zmieszany, jęcząc i świszcząc przeraźliwie.
Prąd zimnego, wilgotnego powietrza rozbiegł się po izbie. Lampa zakołysała się, rzucając w górę czerwone połyski. Któryś z młodszych panów podbiegł, aby okno napędce zasłonić.

— Jestem z mojej strony tego zdania — rozpoczął nanowo przyrodnik.

Przerwałem mu, zrywając się z krzesła.

— Za pozwoleniem. Proszę o głos.

Kolega Kościejewski przystanął i wypatrzył się na mnie swemi wypukłemi oczyma.

Przywykł do tego, że mu przerywano, nie czekając końca powolnej i rozwlekłej mowy.

Mnie ten prąd zimna i świst wichru śmignął, jak batem.

To my mamy po nocy na taką wichurę dla jednego błazna lecieć przez pół miasta,
grzęznąć w błocie, topić się w kałuży, trząść się od zimna,
zamiast sobie
wiścikiem się bawić przy kominku

i kawie? I temu hultajowi nic za to nie będzie? A,
niedoczekanie!

— Za pozwoleniem — powtórzyłem. Wszyscy umilkli i zwrócili się w moją stronę.

— Moi panowie! Zaszedł fakt, u nas dotąd, Bogu dzięki, niebywały. Uczeń wyższej klasy odmówił profesorowi posłuszeństwa, odmówił ze świadomością winy, jaką popełnił, a do tej obrazy dodał szyderstwo, propozycję wypędzenia go z gimnazjum.

Nie wchodzę w motywy faktu; żałuję nieszczęśliwego, jeśli zbytek pracy, a może i nędza rozstroiły mu nerwy. Faktu to ani zmienia, ani może zatrzeć. Szanuję

wyrozumiałość obrażonego kolegi, ale niech mi pozwoli sobie powiedzieć, że tu nie o niego chodzi. Chodzi o godność zakładu, chodzi o nasze bezpieczeństwo i naszą powagę, chodzi o karność wśród młodzieży. Karność i dyscyplina są kamieniem węgielnym wychowania, powiedział słusznie jeden z kolegów, a dość jednego wypadku pobłażliwości nie w porę, aby karność znieść, młodzież rozzuchwalić, a nas wydać na pastwę zniewagom pierwszego lepszego urwisza. I dlatego, ażeby temu niebezpieczeństwu zapobiedz, aby szkołę ochronić od upadku, młodzież od wykolejenia, nas od awantur, wnoszę o ukaranie przykładowe winnego i proponuję wypędzenie. Kto z panów nie chce zguby zakładu i młodzieży, będzie głosował za mną! Przez chwilę zaległa cisza, potem odezwały się tłumione szmery i szepty. Nie spodziewano się

tego, tem mniej odemnie. Tyle razy broniłem na tem miejscu młodzieży, zwłaszcza gdy chodziło o karę, mogącą złamać całą przyszłość ucznia. Tyle razy kłóciłem się o to zajadle z suchym, pedantycznym Wilmerem, który sam jeden między nami reprezentował stale system bezwzględnej represyi. Teraz on jeden kiwał

energicznie siwą, szczecinowatą czupryną i patrzył na mnie potakując, nie bez zdziwienia, ale z widocznym zadowoleniem. Inni profesorowie, zdziwieni także, kręcili się niespokojnie i ruszali głowami. Zaledwie skończyłem, ozwały się protestacye. Przecież to był uczeń wzorowy! Przecież ja sam zajmowałem się nim tak szczerze, starałem się dla niego o lekcyę, wyrabiałem mu stypendyum! Przecież to było pierwsze jego wykroczenie w gimnazyum! Odpowiedziałem na to jednym słowem:
— Zasada!
— Zasada, zasada! Ale my tu przecież nietylko sędziami jesteśmy, ale i ojcami być powinniśmy.
— Kolega sam młody byłeś, nerwowy... Pamiętasz, jakieś to figle płałał staremu Stecewiczowi w Bernardyńskim gimnazyum? A teraz chcesz za głupstwo biedakowi świat zawiązywać?
— Kolega sam masz przecie dzieci — szepnął dyrektor, łagodząc mnie.
Na to wstałem i zacząłem mówić.
Nie chwałąc się, dość jestem wymowny. Teraz zaś byłem rozdrażniony, cały w gorączce. Nie wiem

już, jakich dobierałem argumentów, to pamiętam, że cofnął się do przyczyn

ogólnego upadku, żem z kolei dotykał różnych ran i nędz
społeczeństwa i żem
najróżnorodniejszych dobierał włókien, aby z nich spleść
sznur na biednego
Sikorę.

Z początku przerywano mi, protestowano ruchami ręki i
głowy. Powoli uciszano
się, patrzano na mnie z coraz większym przejęciem,
zaczynano potakiwać i
przyzwalać. Wkońcu usposobienie zostało zmienione całkiem,
gdy przytoczyłem
fakt, zaszyły niedawno w jednym z zakładów, gdzie po paru
wypadkach tolerowanej
niekarności doszło do tego, że jeden z uczniów strzelił do
profesora.

— Ha, trudno; masz kolega słuszność.

— Tak, tak; biję się w piersi... myliłem się. Przekonałeś mnie.

— Niema co. Dura lex sed lex. Trzeba dać przykład. Trzeba
zabezpieczyć się.

Katecheta jeden próbował sytuację ratować.

— Ależ on ma matkę starą, którą utrzymuje, a zbyt wielki
biedak, aby

gdzieindziej się przenieść!

Zakrzyczano go.

— I ja mam matkę, a prócz matki żonę i dzieci. Czy chcecie,
księżusiu, aby mnie

taki nicpoń kiedy zastrzelił i zostawił matkę, i żonę, i dzieci
bez opieki i

kawałka chleba?

Dyrektor już nie gładził faworytów, ale markotny widocznie,
raz po raz nerwowo

poprawiał okulary.

— Przystępujemy do głosowania — rzekł —

skoro nikt więcej nie żąda głosu. Wniosek dalej idący,
propozycję wykluczenia,
poddaję pod głosowanie naprzód. Kto jest za tem?
Wszystkie ręce podniosły się, z wyjątkiem katechety i paru
innych profesorów.
Niektóre z wahaniem i niechęcią, ale podniosły się.
Czternaście przeciw czterem.
— Wniosek przyjęty — rzekł dyrektor spokojnie i dodał,
zwracając się do
prowadzącego protokół: — Chciej pan zapisać.
Potem pochylił się nad papierami i zaczął w nich coś szukać
zawzięcie.
Może mi się przesłyszało, ale zdawało się, że z ust starego
wyrwał się szept
tłumiony:
— Biedny, biedny chłopak!

* * *

— Ależ to z kolegi Demostenes prawdziwy!
— Takie zwycięstwo oratorskie! Najlepszy adwokat nie
powstydziliby się. No, no!
— Mieć wszystkich przeciw sobie, prócz jednego Wilmera, i
wszystkich przeciwną
na swoją stronę przez kwadrans, przekonać...
— Ależ to z doktora surowy sędzia! Niech cię nie znam!...
— Nie daj Boże z wami się kłócić! Frazesy te, krzyżujące się
wkoło mnie przy
wychodzeniu ze szkolnego gmachu, były mi dziwnie
nieprzyjemne. Czułem niesmak i

rozdrażnienie. Czemu? Nie wiedziałem. Naprawdę
powinienem

był cieszyć się, postawiwszy na swoim i otrzymawszy tak
świetne powodzenie.

Ale... nie cieszyłem się wcale. Przeciwnie.

Pożegnałem kolegów przy bramie i szybkim krokiem
poszedłem w moją stronę. Wicher
ustał zupełnie. Na niebie podniósł się księżyc w pełni, jasny,
srebrny; dokoła

przeciągały szybko jedne za drugimi chmury rwąc się i
strzępiąc, przeganiając
się nawzajem i łącząc na krańcach widnokregu w szare,
matowe mgławice.

Rzuciłem w górę roztargnionem okiem i szedłem przed siebie,
nie spiesząc, z

głową zwieszoną na dół. Zdawało mi się, jakby jakiś ciężar
mnie przygniatał i w
dół pochylał. Co to było? Co się działo ze mną? I jak to
przyszło?

Stefana Sikorę pamiętałem od pierwszej klasy, uczyłem od
drugiej. Od czwartej do

szóstej włącznie byłem jego klasowym gospodarzem.

Interesowałem się jakiś czas

tym chłopakiem. Potem jakoś przestał mnie zajmować. Kiedy
się ma sześćdziesięciu
w klasie...

Stanął mi teraz w oczach taki, jakim widziałem go raz
pierwszy, posepny,

milczący, pokorny, wzorowy. Przypomniałem sobie, ile razy
tak go nazywałem wobec

jego kolegów. Zdolności nie miał, ale wytrwałość żelazną i
poczucie obowiązku
rzadkie. Przychodził często do klasy niewyspany, żółty, z
fioletową obwódka
dokoła oczu, krwią zaszłych.
— Znów nie spałeś, Sikora? — spytałem go kiedyś. — Nie
szanujesz się.

— Lekcyj trzeba było się uczyć, proszę pana profesora, a ja z
korepetycyi
dopiero koło dziesiątej wracam.
— I późno spać poszedłeś?
— Ja całkiem spać się nie kładłem.
Było to coś przed rokiem, może przed dwoma. Chciałem
nawet zwrócić na to uwagę
kolegów na konferencji, chciałem dowiedzieć się o powodach
tej nadmiernej pracy,
ale wyleciało mi z głowy jedno i drugie. Tyle miałem roboty!
Czyż byłem w stanie
zajmować się domowymi sprawami każdego z uczniów?
I naraz, w tym roku straciłem Sikorę z oczu. W siódmej nie
wykładałem. Obiło mi
się o uszy jego nazwisko raz i drugi, z dodatkiem, że się
zaniedbał, że nie
dostanie promocyi. Miałem ochotę spytać o to jego samego,
albo gospodarza klasy,
ale kolega Wiliński rozchorował się i przestał bywać w szkole,
Sikora nie
nawijał mi się na oczy. Zresztą, co mówić? Zapomniałem
poprostu.

I teraz... Chłopczysko wypędzone, wypędzone nietylko z
jednego gimnazjum, ale ze
średnich szkół wogóle, bo gdzie taki biedak znajdzie środki
utrzymania się w
obcym mieście i to po wypędzeniu od nas? Wypędzony i
złamany — i to przezemnie.
Przezemnie, oczywiście. Gdyby nie moja filipika i nie moje
oratorskie sukcesy,
chłopak dostałby karcer, na jaki zasłużył — i na tem
skończyłoby się. Ale nie.
Laury Demostenesowe i Cy-

ceronowe nie dały mi spokoju — tylko, że zamiast Katyliny i
Filipa koszta płacić
miał biedak z siódmej klasy...
Wszystkiemu winien był ten ohydny wicher marcowy — no, i
wiścik przy kominku...
Zakląłem pod wąsem, i spuściwszy głowę jeszcze głębiej,
szedłem naprzód, nie
uważając jak i któredy, brnąć w błocie, ochlapując się czarną
wodą kałuży. Naraz
posłyszałem za sobą szybkie kroki i głos jakiś, zdyszany,
stłumiony, zawołał na
mnie z tyłu:
— Panie profesorze! Proszę pana profesora!
Przystanąłem i obejrzałem się. Za mną stał Sikora.
Światło księżycowe padało mu na twarz, robiąc ją jeszcze
bledszą. Był bardzo
wysoki, kościsty, ale niezmiernie chudy i przygarbiony tak, że
głowa chowała się

w ramiona. Mimo zimna, miał na sobie tylko lekką surducinę,
wiszącą na nim, jak
na szaragach. Włosy jasne, długie, sterczały w górę
pozlepianymi kosmykami.

Czapki nie miał na głowie. Trzymał ją w ręku; drugą rękę
trzymał przy ustach,
chwytając powietrze.

— Przepraszam — wyjąkał — biegłem... tak prędko... żeby
dopędzić... koniecznie.

— Czegóż chcesz? — spytałem go sucho.

Miałem w tej chwili bardzo nieprzyjemne uczucie. Chłopca
było mi żal, bardzo
żał... Doświadczałem, patrząc na niego, pewnego wyrzutu
sumienia. Z drugiej
strony byłem trochę niespokojny. Taki

chłopak nieszczęsny, rozdrażniony, rozszalały... Bóg wie, co
mu do głowy
przyjdzie... A tu noc, pustka... i on dwa razy większy odemnie.
Ale Stefan Sikora nie zdawał się mieć złych zamiarów. Stał
bardzo pokornie z

czapką w ręku, przyciskając piersi rękami i próbując oddech
złować. Oczy jego,
wpadłe w głąb, daleko, patrzyły na mnie z trwożliwym
wyrazem ptaka, nad którym
krąży, hypnotyzując go swym wzrokiem, jastrzęb.

— Proszę mi darować — zaczął urywanym głosem. —

Czekałem na pana profesora w
gimnazjum... bałem się przystąpić... więc teraz dogoniłem...
Proszę mnie

posłuchać, powiedzieć, poratować... Pan profesor był dla mnie
zawsze dobry, a
teraz... nie wiem, do kogo się udać; a tu takie nieszczęście,
takie
nieszczęście...

— Czemużeś wcześniej do mnie nie przyszedł?

— Pana profesora w szkole nie było.

— A do domu?

— Do domu nie śmiałem.

— Cóż ci mogę zrobić, czego chcesz odemnie?

— Oni mówią, że mnie wypędzą, a dla mnie to... gorzej
śmierci. Pan profesor mnie

zna, wie, że to nie ze złości. Każdą karę, byle nie to...

— Zapóźno już. Konferencja już się odbyła.

— Ależ to nie może być! Ja sam nie wiedziałem, co robiłem!
Ja przeproszę!

Ruszyłem ramionami i westchnąłem mimowoli.

— Konferencja odbyła się... kłamka zapadła.

Chłopiec zatrzymał się i wpatrzył się we mnie szklistymi
oczyma, jakby
skamieniały.

— A cóż z matką będzie, z bratem? — jęknął ochrypłym
głosem. — Co ja zrobię?

Spuściłem głowę mimowoli, aby wzroku jego uniknąć.

— I niema ratunku... żadnego? Milczałem, nie podnosząc
oczu.

— Żadnego? żadnego? — powtórzył, zaciskając dłonie i
kurcząc się cały, jak chory
w bólach.

— Po ludzku... niema — rzekłem z trudnością. — Ale Pan Bóg...

On zatrzęsł się nerwowo.

— Pan Bóg — syknął — Pan Bóg... Oni mówili, że niema Boga, że Go niema, bo gdyby był, nie byłoby takiej niesprawiedliwości na świecie, nie byłoby takiej nędzy, takiego ucisku...

— Oni? Kto to: oni? Machnął ręką.

— Kto są, to są. Mniejsza z tem. Gorzej to, że widać ich prawda, nie moja.

— Bój się Boga, Sikora, co ty mówisz? Zaśmiał się przykro.

— Co mi tam! Mnie już wszystko jedno. Szedł koło mnie ze spuszczoną głową, z

zaci-

śniętymi kurczowo pięściami. Długie włosy wiatr mu rozwiewał. Wiły się w trupio bladym świetle księżyca, jak węże.

Straszny był. Nie mogłem teraz oka z niego spuścić, ale nie bałem się o siebie.

Ten nieszczę-

śnik w rozpaczy coś okropnego musiał mieć w myśli.

— Słuchaj, Sikora — rzekłem, zatrzymując się — słuchaj... Stefanie.

Imię chrzestne, którem go nazywałem, wydało mi się w moich ustach czemś dziwnym.

Tak przywykłem nazywać moich uczniów tylko po nazwisku!

Tak wyłącznie urzędowe miałem z nimi stosunki i rozmowy!

— Słuchaj, Stefanie — powtórzyłem, kładąc mu rękę na ramieniu — nie rozpaczaj!
Coś obmyślimy dla ciebie. Pomówię jeszcze z panem dyrektorem, z panami profesorami... Może się da to nieszczęście odwrócić. A w najgorszym razie... ja ci nie dam zginąć... Ja będę starał się coś zrobić...
On spojrzał na mnie i przez chwilę cieplejszy jakiś promyk błysnął w jego oczach, ale w tejże chwili zastygły znów i zmartwiały.
— Dziękuję panu profesorowi — rzekł — ale... nie wiem, czy na co się już to przyda. Ja i tak już zgubiony. Nie płynąć mi już dalej przeciw wodzie. Koniec, i tyle.
— Ależ, zlituj się chłopcze! Co ty mówisz? A jeśli cię zostawią w gimnazyum, w czymże twoją zgubę widzisz? Myślisz może o szkolnej opłacie, którą kazanoby ci teraz uiszczać? I na toby się poradziło, tylko nie trzeba rozpaczać.
Byłem cały rozgorączkowany, mówiąc to. Nie zastanawiałem się nad trudnościami, żeby nie powiedzieć nad niepodobieństwem odrobienia tego,

co się stało, i cofnięcia dopiero co zapadłej uchwały, ani też myślałem nad rolą dziwną, jakaby mi przy tem przypadła w udziale. Ogarnęła mnie jedna myśl i zaciężyła naraz na duszy, jak zmora, przeniknęła mózg, wbiła się cierniem

okrutnie bolesnym w serce.

Ten chłopak złamany, stracony, wydany na pastwę rozpacz
bez granic — złamane
istnienie całej rodziny, zniszczona bezpowrotnie nadzieja tylu
lat, dźwignia i
pociecha tylu ofiar i smutków. Za godzinę, za dwie, stanie się
może
nieszczęście, jedno z tych, na które lekarstwa i ratunku niema,
może zgasną te
oczy, patrzące na mnie tak ponuro, takiego bólu pełne. Jak
kwiat, zerwany przed
czasem, zwiędnie, złamie się to młode życie... I to przezemnie,
przezemnie, z
mojej winy.

On mnie słuchał obojętnie prawie, o tyle apatyczny, o ile
przed chwilą był
podrażniony.

— Ja panu profesorowi bardzo dziękuję — rzekł — ale tak mi
się zdaje, że dla
mnie już niema ratunku. Widzi pan... ja wiem, co pan profesor
myśli o mnie
teraz. Myśli pan, że zwaryowałem. Tylko co prosiłem o pomoc,
o radę... pan
profesor mi ją daje łaskawie, a ja, ja ją odtrącam i desperuję.
Ale... ja nie
wiem sam, jak to mam powiedzieć, mnie się zdaje, że ze mną
tak się dzieje, jak z
człowiekiem, co szedł w nocy poomacku i naraz mu błysnęło
przed oczyma, na jedną
chwilkę, ale dosyć, aby drogę rozjaśnić. Może on myślał, że
dobrze idzie, aż
naraz zoba-

czył, że nie wyjdzie, że mu ani w tył, ani naprzód,, ani w bok.

Moczary

wszędzie. Kłaść się i ginać. Tak i mnie. Ja od wczoraj jak waryat chodzę,

błądny, rzucał się na prawo i na lewo, i tak rzuciłem się do patia profesora,

myśląc: a nuż się uratuję? Pan profesor poczciwy, widzę, chciałby pomódz... aż

tu mi jasno naraz, że to wszystko na nic.

— Ależ dlaczego? — przerwałem. — Wytłómacz mi, dlaczego?

On mi nie odpowiadał przez chwilę. Oparł się plecami o słup latarni i stał z

twarzą zwróconą ku księżycowi, który go oblewał smugą smutnego światła, jakby go

owijał przejrzystym całunem. W świetle tem blada twarz młodego chłopca,

zamyślona i posepna, zdała mi się inną całkiem od tej, którą znałem od dawna.

Koło tego wysokiego, chudego chłopaka, o kanciastych ruchach i ostrych,

niekształtnych rysach, przechodziłem od tyłu lat, nie zwracając na niego uwagi,

nie widząc go prawie. Był dla mnie jedną z dwóchset czy trzechset pozytywek,

które miałem nastroić tak, aby nakręcone, recytowały żądane zwrotki.

Przypatrzyłbym mu się może, gdyby robił jakie awantury, albo narażał cierpliwość

moją na zbyt twarde próby. Ale nie. Był zawsze cichy i pilny, nie wybijał się

naprzód, nie zostawał w tyle. Stał zawsze taksamo
wyprostowany, poważny, czasem
trochę zdenerwowany i bojaźliwy, bez uśmiechu, z oczami
spuszczonemi na dół, ale
niezmiernie uważny i pełen uszanowania. Wypełniał jedno
miejsce w klasie,

jak kamyk w mozaice, a któż uważa na pojedyncze kamiki?
Chyba — gdy który
wypadnie.

On — jakby odgadł myśli moje. Zwrócił ku mnie twarz
powoli i zaczął zcicha:

— Dlaczego, pyta pan profesor? Trudno to powiedzieć. Nie
wiem, czy mnie pan
zrozumie. Czy, to panu zdaje się może, że chłopak, jak w
szkole siedzi i uczy
się, i z klasy do klasy przechodzi, to już wszystko? Ja wiem,
że niejeden z
panów profesorów to myśli. A przecie człowiek nie machina.
Choć do rana nad
książką ślęczy, to mu przecie w mózgu kotłuje, w sercu kipi, i
raz ptakiem
poleciałby w górę. to znowu z żalu i gorzkości skryłby się pod
ziemię, sam
siebieby zagryzł. Ale czy to panowie wiedzą? Czy przyjdzie to
panom na myśl? Kto
z panów spyta którego z nas o co innego, niż o lekcję zadaną?
Kto spyta ucznia,
czy zjadł obiad, czy miał kącik spokojny, aby się wyspać i
lekcji nauczyć, czy

zimą znalazł się choć ogarek, aby przy nim preparację
szkolną zrobić? Kto
ciekawy wiedzieć, z kim on przestaje, co słyszy przez cały
dzień, czego się
nauczy oprócz lekcji zadanej, co mu się kręci w głowie i w
sercu? Byle cicho
siedział i lekcję wydał. Umiesz? masz pierwszą. Nie? dwójka!
A dlaczego nie
umiał? Co to kogo obchodzi! A może nie tak jest, jak mówię?
Zamilkł, czekając odpowiedzi. Ale ja milczałem także.
Cóżbym mu odpowiedział?
Mógłbym mu zaprzeczyć? Co ja wiedziałem o nim — o nich
wszystkich? Że miał matkę
wdowę, że jej kore-

petycyami pomagał? Wiedziałem to samo o tylu innych. Ale
co więcej o nich
wiedziałem? Naprawdę nic. Ten się uczył, tamten nie; ten był
karny i spokojny,
tamten zuchwały, ten się od roku zaczął opuszczać, tamten
chorował, inny z
wesołego stał się ponury, jak wilk — dla czego to wszystko?
Kto z nas o to się
troszczył? Przy konferencji rzuciło się pytanie, ubolewanie —
i zapominało się o
tem zaraz. Zapewne. Mogłem powiedzieć na
usprawiedliwienie moje, że wina ciążyła
raczej na warunkach, w jakich byłem, w jakich byliśmy
wszyscy, niż na mnie
samym; faktu nie zmieniało to wcale. Prawda! Miałem po
sześćdziesięciu uczniów w

klasie, po dwadzieścia godzin lekcji w gimnazyum, dziesięć
godzin prywatnych
wykładów, żonę z czworgiem dzieci i matkę staruszkę na
utrzymaniu, a na to
wszystko dwa tysiące guldenów rocznie i trochę krwawo
zapracowanego grosza za
lekcje prywatne. Nieraz wchodziłem do klasy, nie wiedząc,
jak dotrwam do końca
godziny, tak mi ze znużenia pękała głowa i paliło wyschłe
gardło. Czyż mogłem w
tych warunkach wiedzieć i pamiętać o tych setkach biedaków,
którzy mego wykładu
słuchali? Czyż mogłem z nimi się zapoznać w szkole, w której
czas nigdy na
przerobienie lekcji nie wystarczał? Czyż mogłem im
poświęcać parę wolnych godzin
wieczorem poza szkołą, tych parę godzin, które należały się
rodzinie własnej — a
tak często były dalszą pracą, nie — wytchnieniem? Więc nie
byłem winien? Ale
miałem przecie wo-

bec moich uczniów obowiązki — po ojcu najwyższe
obowiązki nauczyciela — a czy
spełniałem je, nabawiwszy młode głowy aorystami i supinami,
czy je spełniałem, nie
dając nic ich sercom, nie troszcząc się o ich sumienia, nie
pytając o zdrowie
ich ciała i o zdrowie ich dusz? A więc była wina... Czy moja?
Czy warunków, w

jakich się znajdowałem? Czy społeczeństwa i sfer
rozstrzygających, które takie
warunki wytworzyły? Któż wie? To pewne, że na wyrzut,
zawarty w pytaniu Stefana
Sikory, nie miałem, nie mogłem znaleźć odpowiedzi. To
pewne, że i dla mnie
trzeba było błyskawicy piorunu, aby rozświecić wnętrze
jednej z tych dusz, które
Bóg stworzył przecie na coś więcej, niż na maszyny do
recytowania frazesów
greckich i formułek algebraicznych.

Sikora tymczasem mówił dalej po chwili milczenia:

— Pan profesor kiedyś był łaskaw wstawiać się za mną o to
stypendyum; w piątej
dostałem od pana lekcję, w szóstej drugą lekcję. Pan profesor
dobry był dla
mnie, ale gdyby pan o moim życiu wiedział, możeby stał się
jeszcze lepszy. Bo
że ciężkie było moje życie, to ciężkie. Ojciec mój był
rzemieślnikiem w
Kleparowie, wie pan? To miasteczko na podgórzu, z jakie
dwanaście mil stąd. Domu
swego nie miał, tylko warsztat, ale roboty nie brakło. Radnym
był w mieście i
raz go do Rady powiatowej wybrano, tak go ludzie szanowali.
Człowiek był
nieuczony, ale prawy

i ambitny. Do mnie, od kiedy zapamiętam, mówił: "— Ucz
się, chłopcze, ucz się.

Nauka, to będzie twój fach. Młodszemu bratu oddam warsztat, ty będziesz księdzem albo doktorem". Dostatku u nas w domu nie było, ale biedy tak dalece nie znaleźliśmy również. Ot, grosz grosza dopędzał. Potem jednak szło gorzej. Ojciec wdał się w jakąś spekulację, na której stracił co miał, i dług zrobić musiał; irytacja przyczyniła się do powiększenia choroby, na jaką dawno cierpiał. Powoli długi rosły, rosła i nędza. Nie było za co trzymać czeladzi. Nie było też i roboty. Ojciec jednak nie dawał za wygraną swoim planom co do mnie, choć mu odradzali ludzie:—"Niech będzie, co chce, ja chłopaka do szkół odwiozę. Będzie biedę cierpiał, niech cierpi. I w domu niema zbytku. Kiedyś mi podziękuję, jak panem zostanie". Bo już to, proszę pana, o to mu chodziło najwięcej, żebym się wybił z tej kondycyi, w jakiej sam zostawał. "— Niech już ja haruję całe życie, powiada; niech się męczę i poniewieram, byle choć jedno dziecko zaznało lepszego życia, niż moje. A że mu tam przyjdzie pracować o głodzie i chłodzie, w poniewierce i smutku, nic to. Byle dopchać się kiedyś". Ja się tem przejąłem od małego. Ambicyę miałem, jak ojciec, twardy byłem i uparty. Niech co chce się dzieje, niech będzie głód, bicie, poniewieranie, ja swoje zrobię. Zdolności tak

bardzo nie miałem, ale nauka szła mi dobrze. Musiała iść.
Prędzejbym umarł, niż
dał się zawstydzić. Ojcu, bywało, aż oczy się świecą,

gdy świadectwa kwartalne ze szkoły przegląda. "— Moja
krew, mówi, klepiąc mnie
po twarzy, moja krew; twarda bestya. Ten pokaże ludziom, że
nie do dratwy
stworzony". Kiedy mnie miał do gimnazjum odwozić po raz
pierwszy, ojciec
zaprowadził mnie do księdza proboszcza na pożegnanie.
Ksiądz kanonik znał mnie
dobrze, bo sam w szkole normalnej mnie uczył. Pogłaskał
mnie, pochwalił, dał
obrazek i książeczkę, potem zaś ojca odprowadził trochę na
stronę. Ale ja, jakto
zwyczajnie dziecko, ciekawy, słyszałem wszystko. "—
Uparliście się przy swoim,
panie Sikora, mówi ojcu; niech wam Bóg pomaga i bodajbym
fałszywie prorokował.
Pamiętajcie jednak, co wam mówiłem. Nie radzę, nie radzę".
Ojciec rękami tylko
rozłożył. "— To już późno odmieniać, księżu kanoniku
dobrodzieju. A i gdybym
mógł, nie chciałbym. Jaż się też ze wszystkiego ściagnę,
wykosztuję, ale niechże
choć ten chłopak szydła i hebla do ręki nie bierze". "—
Będzie-ż mu z tem
lepiej? spytał ksiądz, kiwając głową; — i będzie-ż on od was
dlatego lepszy,

szczęśliwszy?" "— Ha, mam nadzieję, powiada ojciec.
Czemuż nie miałby być? Młody
jest, zdrow, głowę ma otwartą. Gorszi od niego zdobywają
sobie pieniądze i
stanowisko. Czemu jemu niema się udać?" "— A wy
obrachowaliście się z siłami?
pyta dalej kanonik. Bo to, pamiętajcie, kosztuje. Wy zdrowia
nie macie, żona
także, drobiazgu czworo czy pięcioro, chłopak jeden kaleka —
jak wydołacie?" "—
E, proszę księdza kanonika, co

tam? Chłopca byle pchnąć, sam dalej pójdzie". I tak też mnie
pchnęli. Ojciec
mnie umieścił na stancyi u znajomego szewca. Było nas
czterech chłopaków: dwóch
uczniów i dwóch z warsztatu. Spaliśmy na siennikach w
warsztacie, a do uczenia
się my dwaj mieliśmy kącik przy kuchni, gdzie był skład
starych rupieci. Jak tam
z tą nauką szło? Od rana do nocy w ciasnej stancyi gwar,
hałas, krzątania jak w
ulu. Czeladnik bije chłopca w warsztacie, gospodyni krzyczy
w kuchni, dzieci
płaczą się pod nogami, płaczą i wrzeszczą wniebogłosy, do
sklepiku raz po raz
ktoś przychodzi. Aż w głowie kręci się od tego hałasu i w
uszach szumi. Ale
niema co. Uszy, bywało, zatkam sobie kułakami, przycupnę w
kątku, książkę na

kolana położę i kuję, kuję. Nicby to jeszcze nie było. Ale na nieszczęście moje dostał się do majstra naszego (nowy chłopiec, starszy trochę, zdrów i tęgi, ale nicpoń. Był on w gimnazyum, ale uczyć się nie chciał, więc go ojciec do terminu oddał. On jednak i terminu się nie trzymał. W czterech coś był, nim do nas przyszedł. I ledwie przyszedł, pokazał co umie. Znienawidził mnie, za to widać, że choć biedak, przepychałem się przez gimnazyum, w którym on sam nie wytrwał, i że mogłem dobić się czegoś lepszego, niż on. I zaczęło się dla mnie piekło. Niktby nie domyślał się, co taki chłopak zły i mściwy może drugiemu chłopcu złego wyrządzić, gdy nikt go nie broni. A o mnie któż się troszczył? Że bił mnie po kilka razy dziennie, bez

żadnego powodu, to jeszcze może było mniejsze, choć Bóg jeden wie, jak mnie bolały nietyle kułaki, co niesprawiedliwość. Nikt bardziej nie czuje niesprawiedliwości od takiego, dziecka, jakim byłem wtedy. Siedzę sobie, bywało, w moim kąciku nad książką, on wypatrzy chwilkę, kiedy nikogo niema, nadbiega, i dalejże na mnie, jak wilk. Za uszy, za włosy, po twarzy, po karku,

gdzie trafi. Ja z początku prosiłem go, płacząc: "— Franek, Franek, com ja tobie zrobił? Za co mnie męczysz? Czy zabić chcesz? A on do mnie:"— A proś, a proś, paniczyku, a skowycz, to może ci parę kułaków mniej wlepię. A będziesz tu nad swemi bibliami ślęczał, a będziesz pana udawał! Masz, masz za to!" Próbowałem skarżyć się. Nikt nie słuchał. Bronić się nie mogłem, alem później przynajmniej już nie prosił się. Zęby zacisnę, bywało, i tyle. Potem, jak sam zostanę, to mi tak czarno robi się na sercu, jakby mnie żywego zasypali ziemią w grobie. Schowam się w kącie, zatkam usta, żeby nikt łkania nie słyszał i godzinami tak trzęsę się tam, jęcząc pocichu i pytając, czemu to śmierć nie przychodzi po mnie... Bóg wie, coby ze mną się stać mogło. Ale widzi pan, umiałem wtedy modlić się. Więc jak mi bardzo już ciężko i źle, to klęknię w tym samym kącie i wołałam do Matki Bożej, żeby mnie ratowała, żeby miała choć Ona litość nademną. I zaraz mi lżej, zaraz już czuję, że nie jestem całkiem sam, że ktoś jest, co widzi moją niedolę i pomoże mi prędzej czy później.

Zawsze też, bywało, nim pójdę do szkoły, zabiegnę przedtem po drodze do

kościola, choć na chwilkę. Tak mi zdawało się wtedy, proszę pana, że mi cały dzień dobrze pójdzie, jak go zacznę pacierzem. Zwyczajnie — dziecko! Było mi jednak z tem dobrze. Frane kto zobaczył. — "Gdzie on łązi przed szkołą?" pyta raz mego kolegi z gimnazyum. Kolega ten — już go dawno w szkołach niema — głupi był, ospały, obojętny na wszystko. Mamałygą nazywali go w klasie. Franka bał się, jak ognia, choć ten nic mu złego nie robił. Na mnie wszystko krupilo się. Oczywiście, że objaśnienie żądane pospieszył dać Frankowi. "— Aha, to tak, już wiem! Panicz na księdza się kieruje!" Zaczął mnie jakiś czas tym księdzem i nabożeństwem dopiekać. Choć naprawdę, co mu to szkodziło? Ale taki już był. Potem naraz dał spokój. Dał spokój i zmienił się dla mnie. Jak przedtem dokuczał, bił, męczył, tak teraz stał się spokojnym, prawie dobrym. Ale nie na dobre mi to wyszło. Widzi pan, byłem do tego czasu czystym i uczciwym. On mi i tego pozazdrościł. Pozazdrościł i tej chwilki spokoju i pociechy, jaką mi dawała modlitwa. Odtąd i tego już nie miałem. Stałem się, jak tyle innych dzieci — zwierzęciem. I to były moje pierwsze trzy klasy. Innemu dziecku choć czasem słonko zaświeci. Najbiedniejszy chłopak ze wsi ma choć trochę śmiechu, zabawy,

wesela w życiu. Ja od tego odwykłem całkiem. W czwartej dostałem pierwszą lekcję. Ostatni czas był, bo i tych parę centów,

które przedtem ojciec dawał, choć tak rzadko, przestały całkiem przychodzić.

Trzeba było o sobie myśleć samemu. Miałem czterech chłopaków. Jeden zdolny, ale leniwy, tak, że każdą preparację trzeba było z niego kleszczami wydusić. Reszta łby zakute, jak kawałki drewna. Choć łopata im wkładaj do głowy, choć obuchem wbijaj... nic i nic. Wstaję, bywało — jeśli wogóle położę się w nocy choć na krótko — o piątej, żeby jeszcze trochę własne lekcye powtórzyć. O szóstej — do chłopców. " — Wstawać! Do roboty!" "—Zaraz, zaraz! Jeszcze chwilkę!" odpowiadają. " — Już wstaję!" "— Jak tylko tamci wstaną, to i ja". Jednego wyciągnę, drugi się nazad kładzie. Takie nygusy były! Wreszcie powyciągałem, pozasadzałem. Do lekcyi: nieszczęście! Żaden nie umie. Męczyłem się z nimi w wilję pięć, sześć godzin... zdawało się, umieją; teraz... nic! Więc prędeż, naprzemian do jednego, do drugiego. Ten łacinę zapomniał, ten matematyki nie rozumie, tamten nie powiedział mi nic o zadaniu niemieckiem. Więc od jednego do

drugiego. Z tym powtarzaj jedno, tego pytaj o drugie, tamtemu
znów coś innego
tłómacz. "— Proszę pana, a ja nie rozumiem jeszcze tego!"
"— Proszę pana a co to
znaczy?" Tak wkółko, a tu gospodyni na śniadanie woła i łaje,
że wczoraj nie
przerobiłem wszystkiego... i już, już zapóźno będzie do
szkoły. Wrócę do domu...
lekcyje poobiednie przerabiam z chłopakami. Z jednym
zaczniemy, dwaj drudzy już
się pobili w kącie, trzeci na ulicę poleciał. Leć, łap,

bij... Ledwie skończysz, i do własnej preparacji chciałbym
spojrzeć — znów czas
do szkoły. Wieczorem to samo. Nieraz, bywało, dziesiąta już a
ja jeszcze
korepetycyi przeklętej nie skończyłem, a tu własnych lekcyj
kupa, do uczenia się
huk, a na to... noc tylko. A jak taka nauka idzie po
całodziennem wymęczeniu!
Plamy czerwone i czarne płatki latają przed oczyma, a litery w
książce tańczą i
kręcą się, jak szalone: w uszach szumi, jak pod kołem
młyńskim, a w mózgu
młotem wali. Gdzie mi preparację robić? Zlewam, bywało,
głowę zimną wodą raz po
raz, nie pomaga nic. W oczach ćmi, w głowie rwie, w uszach
huczy... i ani rusz,
choćby zdanie jedno zrozumieć. A tu nie żarty! Trzeba
zrozumieć, trzeba się

nauczyć, inaczej — dwójka i co za tem idzie. Oj, panie profesorze! Słyszałem ja, że litują się dziś ludzie nad różnymi nędzarzami, ba, nawet towarzystwa opieki nad zwierzętami zakładają podobno. A przecie niema chyba nędzniejszych, niema tak nędznych, jak my. Parobek, żołnierz, terminator u szewca, więzień w kryminale, oni mają królewskie życie w porównaniu z życiem ubogiego ucznia. A jednak... nad uciśnionemi bydłętami jest ochrona, nad takim biedakiem zaś... Tak mi przeszła czwarta. W piątej miałem inne lekcye, po dwie naraz, nie lepsze od tamtych. Czasem uczeń był zdolniejszy, ale za to nieraz nie płacili i tych para papierków, za które się zgodziłem. A ile wymówek, pretensyj, niechęci!

Cóż? Człowiek oswoił się z tem, w tem wyrósł, a przecie bolało. A jeszcze w dodatku jeden i drugi uczeń dostał złą klasę w końcu kursu, choć Bóg widzi, że pracy i męki nie żałowałem dla niego. Co wtedy trzeba było nacierpieć się, jak mi tem w innych miejscach, gdzie uczyłem, ludzie dopiekali! Ale to wszystko nic nie było jeszcze, póki ojciec żył. Bieda była, bo była, ale moja własna. Nikt na mnie nie ciążył. Głód cierpiałem, to sam, a kąta zabrakło, to jeszcze znalazłem

na to radę. Gorzej przyszło. I przyszło za tem, co było,
żałować. A to, co było,
nie. było przecie wesołe. Choć o mnie mówią, że skryty i
chowam się w siebie,
jak jeź, oczy mam przecie i widzę innych ludzi, widzę, jak
inni żyją. Słyszę,
jak mówią o wiosnie życia, o złotych latach młodości, o
prawach do szczęścia, do
rozkoszy, do pełnej czary życia. Słyszę o porywach
młodzieńczych, o wzbijaniu
się orlimi lotami w górę, o jasnych niciach, jakie młodość
wplata w życie
człowieka. A moja młodość, jakąż była i jest, proszę pana?
Czy ja miałem chwilkę
wolną i szczęśliwą, chwilkę na marzenie, na zabawę, na
przyjemność? Czy mogłem
znaleźć przyjaciela i związać się z nim, serce z sercem?
Przeczytać, zaśpiewać,
choćby powietrzem świeżem odetchnąć swobodnie? Nie i nie.
Parę pierwszych
wakacyj spędziłem prawda w domu, wśród żydów i błota,
wrzasku rodzeństwa,
łajania klątw matki, i stękań chorego ojca. Potem i tego nie
miałem. Co lato
szukałem korepetycyi, żeby

parę groszy zarobić na niezbędne wydatki, bo z domu nie
dostawałem nic już
zgoła. Męczyłem się z łaciną i matematyką dziesięć miesięcy
szkolnych, męczyłem

się z niemi i dwa miesiące feryi. A przeczytać coś, a
dowiedzieć się o świecie
Bożym... Skąd? Jak? Podczas szkoły — nie było na to ani
chwili. Gdy nie miałem
ani uczniów przygotowywać, ani własnej preparacyi na
głowie, padałem na siennik
jak kłoda, i spałem jak zabity. W lecie bywałem u ludzi
prostych, bo panowie
innych korepetytorów brali, niż ja. Choć i była chwilka wolna,
skąd książki
dostać? A mnie na nią nie było stać. Burzan co w stepie
rośnie, i pokrzywa w
lesie, i te mają rosę, mają soki w ziemi, którymi żyją, patrzą
na słońce Boże i
na Boży świat. Ale ja — nie. I ot przyszło tak, że tej nędzy
trzeba było
żałować.
Ojciec umarł. Zostały same długi. Pogrzeb zapłacił ksiądz
kanonik. Dobrzy ludzie
dali chleba na parę tygodni. A potem matka przypomniała
sobie, że ma
ośmnastoletniego syna. I słusznie. Więc trzeba było i ją i
pięcioro rodzeństwa
utrzymywać. Ale jak, jak? Gdybym był taki zdolny, jak inni,
albo taki obojętny,
albo taki gładki w obejściu, możebym i potrafił. Nie byłem.
Pan mnie zna, jakim
jestem. Nie miałem też nigdy szczęścia wielkiego ani z
lekcyami, ani z ludźmi.
Ot, z biedą się żyło samemu, nic więcej. A teraz trzeba było
wyżywić
sześcioro... Matka tu się przeniosła. Próbowwała szyć, bieliznę
brać do prania —

ale gdzie-

tam! Roboty nie było, a gdyby była, nie byłoby sił. Dzieci —
maleństwo. Jeden
starszy, piętnastoletni, ale ten kaleka na obie nogi. Więc żadne
nie może
zarobić nic. A każde jeść musi. I każde do mnie woła: daj!
Jak ja panu opiszę ten rok ostatni? Ale poco opisywać? Ot,
spojrz pan na mnie.
Miałem jeszcze trochę sił i zdrowia przed paru laty, a teraz,
oto co ze mnie ten
rok zrobił! Dawniej męczyłem się, ale i odpoczywałem, choć
czasem; teraz dzień i
noc, jedno i jedno. W dzień lekcye, w nocy przepisywanie. A
jeszcze mogłem się
nazwać szczęśliwym, bo mi choć roboty nie brakło, jak
innym. Ale sił zabrakło.
Całkiem zamoczyło mi głowę w końcu. Przestałem rozumieć
lekcye. Drugiemu
jeszcze wytłómaczyć potrafię, ot, więcej z przyzwyczajenia;
sam nauczyć się
Czegoś — niesposób. I com już robił, jakem się męczył... nie i
nie. I stanęło
przedemną jak widmo: drugi rok w siódmej klasie, utrata
lekcyj, bo któż
repetentowi da korepytycyę; opłata szkolna, na którą nie
miałem centa, nie to —
guldena. Zacząłem tracić całkiem głowę, z rozdrażnienia,
znużenia, niepokoju,
bywałem czasem poprostu nieprzytomny. Tak i wczoraj...

— Ja to wszystko przedstawię gremium profesorów —
rzekłem, biorąc go za rękę i
ściskając go z całej siły. — Ja będę starał się... ja, ja... Ach!
Gdybym był o
tem wiedział wcześniej!
On potrząsnął głową w zamyśleniu.
— Czy to ja jeden taki? — rzekł powoli. —

Teraz każdy się ciśnie do szkoły, a ledwie dziesiąty ma czym
łyżkę ciepłej
strawy zapłacić i kącik Jakiś, choćby pod schodami. Pan
profesor wszystkich nie
może wspomódz, nikt tego nie potrafi. Chyba... oni...
— Któż to, ci oni? — spytałem. — Drugi raz już o tem
wspominasz. Któż to jest?
Uśmiechnął się.
— Ot, różni ludzie bywają na świecie — rzekł wymijająco. —
Słyszało się różne
rzeczy. Jak tak człowiek żyje w nędzy i poniewierce, jak mu
głodno i chłodno i w
rękach rwie się wszystko, a potem spojrzy na innych, którym
słońce świeci
zawsze, to mu różne myśli przychodzą. Przychodzą samemu,
przychodzą i drugim.
Pókim był mniejszy, to odpędzałem te myśli, jak grzech, i nie
chciałem takiego
gadania słuchać. Może i lepiej byłoby.. Ale ot, widzi pan,
człowiek dojrzał
przed czasem i zbrukał się to i wiarę stracił. Niedarmo żyłem
od dziecka w

kałuży. A straciwszy raz wiarę, pytam, czemu nie miałem myśleć i słuchać o tych rzeczach, które przedtem zdawały mi się grzeszne? Pókim wierzył w nagrodę wieczną i pociechę za grobem, a bałem się wiecznej kary, można było znosić ucisk i mękę. Pacierz ulgę przynosił; mówiło się: nic to! znieś, cierp, Bóg ci wynagrodzi! Ale potem, teraz... Więc też i słuchałem tego i owego, od czego niegdyś-bym uciekł. I tak przyszło, co mam się z tem taić! — że mi niektórzy radzili szkoły porzucić, poduczyć się łatwego rze-

miosła, osiąść przy warsztacie i ludzi garnąć do siebie. »— Pomożemy ci, powiadali, na początek, nie damy i potem zginąć. Choćbyś do matury dociągnął, z rodziną przez uniwersytet nie przepchasz się, ani przez pierwsze lata po skończeniu uniwersytetu. Jako rzemieślnik dasz sobie rady, z pomocą przyjaciół. Takich ludzi nam brak. Rzemieślnik, co prawie szkoły średnie skończył, potrafi mieć wpływ, pociągnąć ku sobie... I krzywd własnych i cudzych pomści się łatwiej«... Cóż? Mają rację. Wiem o tem, wiem oddawna. Ale ot, strach brał mnie zawsze. Myślę sobie: niech-no skończę, niech zdam maturę, zobaczymy wtedy. A

może to naprawdę źle? Może naprawdę jest Bóg i wieczność, i
lepiej cierpieć tu,
niż tam...

— Ależ Bóg jest — przerwałem mu — nie bluźń, chłopcze.

Bóg jest, a ci, którzy
cię podmawiają przeciw Bogu, to wrogowie twoi, co chcą cię
wepchnąć w przepaść.

Ruszył ramionami.

— Być może tak, być może i nie — rzekł. — Każdy człowiek
ma swoje przeznaczenie.

Ja widać, żem dziś los mój wyciągnął. Gdyby mnie nawet z
łaski zostawiono w
szkole, zbyt trudno przyjdzie przepchać się przez nią do
końca. A może za rok,
za dwa tej pomocy nie znajdę, jaką mogę dziś mieć. Więc
lepiej...

Spuścił głowę na piersi, oczy przymknął i milczał przez długą
chwilę. Brwi

ściągnęły mu się na czole z widocznego wyężenia myśli.

Patrzałem

na niego, nie mogąc oczu oderwać. W ziemię wrośłem. Tysiąc
uwag, argumentów,
ostrzeżeń i grózb cisnęło mi się na usta. Chciałem
nieszczęsnego przekonać,
wstrzymać nad przepaścią, otrzeźwić z obłędu, w jaki go
uwiedli fałszywi
prorocy. Nie byłem w stanie. Słowa więzły mi w gardle,
zamierały na ustach. A on
wciąż milczał, zamyślony posepnie. Podniósł nareszcie głowę.

— Tak, niema rady — szepnął do siebie półgłosem — niema rady. Skończyło się.

Zwrócił się do mnie i rękę wyciągnął.

— Dziękuję panu profesorowi raz jeszcze. I przepraszam za tę napaść, bardzo

przepraszam. Chciałeś pan najlepiej... ale już zapóźno.

Zapóźno! Słowa te obity się o duszę moją głucho i ponuro, jak jęk. Byłyż prawdą?

Pytanie stanęło przed memi oczyma, krwawemi zgłoskami wystające na ciemnym tle

nocy i wbijać mi się zaczęło w duszę, zaczęło każdą zgłoską palić mi sumienie.

Zapóźno! Dlaczego? I z czyjej winy?

Księżyc chmurą się przysłonił, rzucając garście blasków z pod ciemnej zasłony. W

mgłach wilgotnych, zapełniających puste zaułki i place i owijających mury

miejskie szarymi puchami, wysoka, pochylona postać Stefana Sikory zacierała się

zwolna i znikła wreszcie na zakręcie ulicy. Obok latarni, przy której staliśmy

obaj, zostałem sam jeden, patrząc w mgłę ciemną, co go pochłoneła jak otchłań

bezdena oceanu. Czy go wróci kiedy i jakim? A jeśli nie wróci — kto temu

winien?